

Amanda
Filipacchi

MIŁOŚĆ
JEST
STRASZNA



Filipacchi Amanda

Miłość jest straszna

"Miłość jest straszna" to powieść o uczuciu: o jego braku, utracie, nadmiarze i towarzyszącym mu obłędzie. Troje śledzących się nawzajem bohaterów odkrywa, że czasami najlepszym sposobem na znalezienie miłości jest obejrzenie się za siebie.

Lynn Gallagher, właścicielka doskonale prosperującej galerii sztuki na Manhattanie, z pozoru ma wszystko, ale kiedy przygląda się człowiekowi, który obsesyjnie za nią chodzi, dostrzega, że brakuje jej jednego - nieosiągalnego celu, marzenia, za którym mogłaby podążać. Postanawia rozwiązać swój problem całkiem niecodziennie. Sprawy przybierają wprost surrealistyczny, gorzko-zabawny obrót...

Jeden

Na pomysł, by kogoś prześladować, Lynn wpadła z powodów zdrowotnych, ale nie czerpała z tego projektu aż takich korzyści, jak liczyła. Z kondycją fizyczną nie było u niej źle, za to zdrowie psychiczne pozostawiało wiele do życzenia.

W wieku trzydziestu dwóch lat ni stąd, ni zowąd odkryła, że na nic nie ma ochoty. Dawniej nigdy tak nie było, żeby niczego nie chciała, i tęskniła teraz za tym stanem. W jej otoczeniu nie było nikogo takiego, kto by niczego nie chciał. Zaczęła wręcz zazdrościć wszystkim, którzy czegoś chcieli. Obiekt pożądania był nieważny, liczyła się sama siła pragnienia. A już szczególnie zazdrościła swemu osobistemu prześladowcy, który straszliwie jej chciał.

Rzeczony prześladowca nie miał takiego problemu ze zdrowiem psychicznym jak Lynn, a jeśli nawet, był to problem krańcowo różny. Lynn jednak mu zazdrościła, ponieważ w swej głupocie wierzyła, jak większość ludzi zresztą, iż problem krańcowo się różniący od jej problemu uszczęśliwia. Zazdrościła temu człowiekowi i dlatego wiernie kopiowała jego zachowanie.

Alan Morton, prześladowca Lynn, wypatrzył ją sobie na siłowni. Z lubością siadywał na atlasie stojącym naprzeciwko jej atlasu i gapił się na nią. Było mu wolno. W tym klubie sportowym nie funkcjonował przepis, który mówiłby: „Nie wolno siadać na atlasie, który stoi naprzeciwko atlasu, na którym kobiety rozchylają i zwierają nogi. Nie wolno tam siedzieć i gapić się na nie”. Umyślnie więc korzystał ze swoich praw, ćwicząc ciało, które miękło i słabło za każdym razem, kiedy Lynn rozwierała nogi.

Był tłustawy, ale któregoś dnia stanął przed nią i zaczął się obracać dookoła własnej osi.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zagaił - ale czy zechciałaby mi pani powiedzieć, które z moich mięśni wymagają wzmożonej pracy, by pani mogła się nimi później delektować? - I żeby dowieść, iż nie miał na myśli niczego obraźliwego, gdyż jako człek wrażliwy dostrzegł wyraz subtelnej odrazy na jej twarzy, dodał: - Z radością odwzajemniłbym się za taką przysługę. Na przykład chętnie bym wskazał, że moim zdaniem marnuje pani czas, tak pracowicie rzeźbiąc mięśnie ramion. Powinna pani się raczej zająć mięśniami brzucha, które nie otrzymują porcji codziennych ćwiczeń w ramach takich czynności jak wędrówki po sklepach i dźwiganie sprawunków.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem, jak w transie. Uznał, że to już jakiś postęp. Lepsza obojętność niż awersja. Wykorzysta to, że aż tak pozytywnie zareagowała.

- Znam się na tym, bo podczas trzech treningów towarzyszył mi osobisty trener. Podejrzewam, że pani nigdy nie miała trenera. Nie odpowiedziała.

- Z chęcią podzielę się z panią niektórymi jego wskazówkami. Za darmo - dodał, znacząco unosząc brwi.

- Dziękuję, ale nie, poradzę sobie - odezwała się w końcu.
- No cóż, nie mnie tu polemizować!

Uznał, że pewnie skończyła ćwiczyć na ten dzień, bo powędrowała w stronę damskiej szatni. Sam poszedł do męskiej i się przebrał. Po wyjściu z siłowni szedł za nią w pewnej odległości. Zauważył, że zniknęła we wnętrzu galerii sztuki, kilka przecznic dalej.

Dwa tygodnie później Patricia, asystentka Lynn, pokazała palcem jej prześladowcę; stał na chodniku przed galerią. Przyglądał się Lynn, z czołem przyciśniętym do szyby, z dłońmi przyłożonymi do skroni, tak że osłaniały oczy.

- Patricia, powiedz, czy mi już odbija, czy też między jego twarzą a moją istnieje przerażająca różnica? - spytała Lynn.

- Istnieje całkiem spora różnica. Ale na twoją korzyść, więc się ciesz.

- Nie, ja mówię poważnie, Patricia. Jego twarz płonie, jest żywa. Ja mam twarz trupa.

- Nie powiedziałałabym tego - odparła jej asystentka i dodała: - A skoro już o wilku mowa, on cię tak molestuje od dwóch tygodni. Czy przypadkiem nie powinnyśmy bardziej panikować?

- On tego nie ułatwia. Wygląda tak głupkowato.

Alan nie zaliczał się do mężczyzn obdarzonych potężną sylwetką. Był zaledwie cal wyższy od Lynn, która miała pięć stóp i sześć cali wzrostu. I nie był też ani szczupły, ani muskularny. Ale miał za to niebieskie oczy i włosy blond, co mu poprawiało humor, kiedy czuł się niepewny w kwestii swojego wyglądu. Nie była to gęsta, bujna

czupryna, niemniej te rzadkie kosmyki były absolutnie, niezaprzeczalnie blond. Lubił ubierać się na czarno albo ciemno, bo słyszał, że te kolory wyszczuplają, i w skry-tości ducha uważał, że są bajeranckie.

- Ale przynajmniej ma żywą twarz - powtórzyła Lynn.

-Naprawdę mi się wydaje, że moja twarz sprawia wrażenie martwej.

- Mężczyźni nie lubią kobiet o martwych twarzach. Tymczasem za tobą uganiają się tabuny facetów. A więc twoja twarz nie sprawia wrażenia martwej - stwierdziła Patricia, uważnie przyglądając się Lynn.

Lynn chętnie nosiła pończochy oraz kostiumy kremowej bądź ciemnoszarej barwy. Ludzie, którzy nie ubierali się skrajnie, nazywali jej styl eleganckim albo klasycznym. Czasami nawet czesała jasne włosy w kok tancerki. Zdaniem Patricii taka konserwatywna aparycja zasługiwała na miano śmiałej i wyzywającej. Ponadto Lynn była smukła i bezwłosa, pomijając stosowne miejsca. Patricia nie wiedziała, że jedną z największych życiowych przyjemności jej chlebodawczyni jest pozbywanie się niepożądanego owłosienia. Nie była w tym względzie specjalnie obdarzona przez naturę i nie miałyby nic przeciwko posiadaniu większej ilości niepożądanego uwłosienia, żeby móc czerpać przyjemność z jego pozbywania się.

- Nikt i nic mi się nie podoba - oświadczyła Lynn.

- Wiem.

- Sztuka już mnie tak nie ekscytuje jak kiedyś. Dokąd miałabym pójść, żeby znaleźć i piękną sztukę, i pięknego mężczyznę?

- Do jakiegoś psychoterapeuty?

- Poznałam wielu, ale żaden nie był piękny, podobnie jak sztuka na ich ścianach.

Lynn Gallagher, zaliczająca się do grupy pięciu najbardziej wpływowych nowojorskich handlarzy współczesną sztuką, wiodła stosunkowo normalne życie uczuciowe. Jej najdłuższy związek trwał rok, najkrótszy jedną noc. Najdłuższy okres celibatu trwał sześć miesięcy, najkrótszy odcinek czasu dzielący dwóch mężczyzn wyniósł dwie godziny. Zdarzyło się to zresztą tylko raz.

Dla Lynn związki uczuciowe i samotność miały swoje plusy i minusy, ona jednak, w odróżnieniu od większości kobiet, nieznacznie wolała to drugie.

Przyglądała się teraz Patricii, która wypluła starannie przeżuty kęs owocu kaki do papierowej serwetki i wyrzuciła go do kosza na śmieci. Jej asystentka była niczego sobie dziewczyną, obdarzoną długimi, ciemnymi włosami, uderzająco podobną do Fridy Kahlo. Brwi miała tak gęste, że nieledwie nadawały jej - tak czy owak urodziwej twarzy - wygląd kobiety jaskiniowca. Gdyby o tym wiedziała, skubałaby je porządniej, tego Lynn była pewna. Lynn, która nigdy nie rozstawała się z pęsetą, jeśli ta nie została jej skonfiskowana przez służby bezpieczeństwa na lotnisku, często czuła potrzebę, żeby wyskubać brwi Patricii, bo uważała je za niepokojące. Kiedy Patricia coś do niej mówiła, Lynn prawie zawsze odwracała wzrok, żeby móc się skoncentrować na słowach asystentki.

- Obejrzymy slajdy? - spytała Patricia.

- Skoro musimy... - odparła Lynn.

Poszukiwanie nowych talentów stanowiło kiedyś najlepszy element jej pracy. Teraz był to żmudny obowiązek.

Wstała ociężale i podeszła do rzutnika. Patricia zabrała się do otwierania kopert, z których wyjmowała stykówki i slajdy.

Pokazywała je kolejno Lynn, ale ta przy każdym

kręciła głową i mówiła „nie”. W miarę jak upływały minuty i przewijające się przed nią obrazki nie wywoływały najłżejszego entuzjazmu, stawała się coraz bardziej smutna. Obecnie te sesje trwały znacznie krócej niż kiedyś.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Judy, właścicielka nieco gorzej prosperującej galerii, zaprzyjaźniona i rywalizująca z Lynn od sześciu miesięcy. Lynn wyłączyła rzutnik i błyskawicznie się odwróciła. Nie chciała, by ktoś ją przyłapał na jałowym wgapieniu się w dzieła sztuki.

- Cześć. Idę właśnie na spotkanie, ale postanowiłam wstąpić do ciebie na słówko. Jak się masz? - spytała Judy, całując Lynn w oba policzki.

- Jak zawsze.

Judy rozejrzała się po pustych ścianach.

- Tak, widzę. - Przysiadła półgębkiem na biurku Lynn, w czerwonej, plisowanej spódnicy nad kolanami wyciętej w łuk. Zawsze ubierała się na czerwono, bo cztery lata wcześniej stwierdziła, że stworzenie zapadającego się w pamięć, konsekwentnego wizerunku istotnie zwiększa szanse na życiowy sukces. - Nie wiem, czy wiesz, ale jest jedno proste rozwiązanie twojego problemu. - Czyli?

- Nałóg.

Lynn zmarszczyła czoło.

- Gorąco polecam - ciągnęła Judy. - Jedną z moich największych przyjemności polega na tym, że składam sobie przyrzeczenie, że nie będę piła, paliła, brała koki albo heroiny, względnie jadła ciastek, a potem i tak to robię. To przyjemność, którą można aplikować sobie codziennie. Łaknienie ustawicznie się odnawia i dzięki temu można zawsze na nim polegać, no chyba że je zniszczysz, idąc na przykład na odwyk czy coś w tym stylu. Ale nawet

wtedy szkody wcale nie są takie nieodwracalne. Niemniej jednak kluczem w tym wypadku jest podjęcie postanowienia, wmówienie sobie, że zostaniesz czegoś pozbawiona, i w rzeczy samej pozbawienie się tego czegoś na kilka godzin, wszystko po to, by twoje łaknienie zaczęło rosnąć i żebyś ty mogła nagle mu ulec. Założę się, że na tym właśnie polega niebo: na uleganiu.

- Jesteś groźna - stwierdziła Lynn. - A twoja broń to logika.

- Dzięki, ale tak naprawdę to nie logika, tylko zdrowy rozsądek. I wcale nie jestem ani groźna, ani też żadna ze mnie jakaś niesamowita ćpunka. Jestem tylko troszkę uzależniona od koki, troszkę od alkoholu, troszkę od heroiny; dostatecznie, by osiągać owo osobliwe napięcie między łaknieniem a zaspokajaniem go. W tym momencie Judy zauważyła Alana.

- A to kto? Stoi tu i cały czas zagląda do środka.

- Nie wiem, jakiś nawiedzony, po prostu go ignoruj - wyjaśniła Lynn.

Judy usłuchała.

- W każdym razie, jak powiedziałam, całkowicie kontroluję swoje nałogi. I ty też możesz trzymać swoje pod kontrolą, pod warunkiem że będziesz pamiętała o utrzymywaniu tej bardzo ważnej równowagi między pozbawianiem się a pozwoleniem, między łaknieniem a jego zaspokajaniem.

- Zapamiętam to sobie, ale nie jestem pewna, czy rzeczywiście potrzebuję nałogu.

- Jak sobie chcesz. Do tego zawsze będziesz mogła się uciec, jeśli nie znajdziesz niczego lepszego. Pozwól jednak, że zapytam: Czy naprawdę, tak naprawdę, szukałaś? Czy naprawdę nie ma nic, czego byś chciała?

- Chcę chcieć, ale nie sądzę, by to się liczyło jako chcenie.
- Moim zdaniem się liczy - odparła Judy, chcąc być miłą, choć w rzeczywistości wcale tak nie uważała.

Lynn wzruszyła ramionami.

- Więc nie masz żadnych innych pomysłów oprócz komunałów?

- A może tak antydepresanty?

- Wolę ich nie brać, jakoś nie pasują do mojego problemu. W końcu dawniej zawsze czegoś chciałam i nie widzę powodu, by znowu tak nie miało być.

- A wiesz, dlaczego straciłaś ochotę na cokolwiek? Zastanawiałaś się nad tym?

- Oczywiście, że się zastanawiałam! No powiedz, nie zastanawialiśmy się nad tym? - spytała Lynn, zwracając się do Patricii.

- A owszem - potwierdziła Patricia. - Dyskutowaliśmy o tym godzinami, analizowaliśmy to i rozbieraliśmy na czynniki pierwsze. Nie potrafiłyśmy znaleźć powodu.

- A czego właściwie przestałaś chcieć? - spytała Judy.

- Wszelkiego typu rzeczy. Mężczyzn. Podróży. Odkrywania nowych artystów, pchania ich na drogę kariery, przyglądania się, jak moje wysiłki przynoszą owoce. Chodzenia na zakupy. Kupowania rzeczy, pięknych ubrań. Kiedyś nie mogłam się doczekać sezonu baletowego, niektórych przyjęć, wieści o znajomych. Kiedyś naprawdę się tym emocjonowałam. I czerpałam z tego sporo przyjemności. Tęsknię za silnym pragnieniem czegoś. Kiedyś byłam taka jak on - wyznała, wskazując swojego podglądacza i prześladowcę w jednej osobie, i dodała: - Wewnętrznie.

- Dopadła cię anhedonia - stwierdziła Judy.

- Niekoniecznie. Nadal czerpię tyle przyjemności co zawsze z najrozmaitszych rzeczy, jak na przykład zapach róż, towarzystwo bliskiej osoby, atmosfera pięknego dnia. - I z wyrywania włosów, dopowiedziała w myślach. - I wciąż odczuwam silne emocje, doświadczam szczęścia i smutku. Po prostu utraciłam wielki głód. Łaknę głodu. Już nawet nie jestem tak ambitna jak kiedyś. I w nieoczekiwanych chwilach zalewają mnie fale mdłości.

- No to niezły pasztet. Obiecuję, że postaram się coś jeszcze wymyślić, ale teraz muszę już pędzić. Zadzwoń do ciebie - rzuciła Judy na odchodnym.

- Posłuchaj, Lynn. Mam pomysł - powiedziała Patricia. - A gdybyś tak zainteresowała się czymś, co nie jest związane z tobą, na przykład innym człowiekiem. Wielu ludzi z tego właśnie powodu zajmuje się działalnością charytatywną.

- Hm. Nie jestem pewna, czy to by coś zmieniło. Uważasz, że on prowadzi jakąś działalność charytatywną? A mimo to popatrz na niego, jest szczęśliwy - powiedziała Lynn, wskazując swojego dręczyciela.

- Jak by nie było, interesuje się drugim człowiekiem.

- Fakt. Może sama też powinnam kogoś prześladować, bo wtedy z całą pewnością byłabym mniej skupiona na sobie. I w ogóle jest w tym coś ożywczego.

Patricia obrzuciła ją spojrzeniem, które Lynn wzięła za wyraz rozdrażnienia. Doświadczenie nauczyło ją, że terror wzrokowy ze strony własnej asystentki należy bezwzględnie ignorować i zwyczajnie ciągnąć swoje.

- Problem polega na tym - mruknęła - że aby zostać czyimś prześladowcą, trzeba tego kogoś pragnąć...

Doświadczenie nauczyło Patricię, że takie denerwu-

jąco denne wypowiedzi jej chlebodawczyni najlepiej potraktować taką samą poetyką.

- Niekoniecznie - odparła, udając roztargnienie i zaabsorbowanie pracą, by dodać autentyczności i niewinności równie beznadziejnemu komentarzowi, który zamierzała wygłosić. - To problem typu „jajko czy kura”. Być może musisz kogoś najpierw prześladować, żeby go pragnać.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Patricia podniosła wzrok i stwierdziła, że jej szefowa gapi się na nią, nie mrugając.

- To, co właśnie powiedziałaś - mruknęła Lynn - jest kompletnie absurdalne i głupie, a jednak ma wielką głębię, choć ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. To mi przypomina tę starą teorię o uśmiechu, która mówi, że ludzie czują się szczęśliwsi, jeśli najpierw się uśmiechają, zamiast zaczekać, aż poczują się szczęśliwi, i dopiero wtedy się uśmiechnąć.

Lynn nie traciła czasu. Często traciła różne inne rzeczy, na przykład klucze, kapelusz, ochotę, portfel, ale czasu nigdy.

Obiekt wybrała w pewnej cukierni w Chelsea, naprzeciwko jej galerii, trzydzieści siedem minut po tym, jak podjęła postanowienie, że będzie kogoś prześladować. Kupiła sobie bezę, żeby nabrać energii przed polowaniem na ofiarę, i zaraz potem - ba-bam! - stało się. Wszedł do cukierni i w tym momencie pomyślała: To ten. Już go widywała wcześniej w okolicy. Nigdy się nie uśmiechał. Na oko trzydziestoparoletni, bezbarwnie przystojny, ciemnowłosy, wysoki i opalony. Nie przepadała za opalonymi, ale teraz była gotowa zmienić nastawienie.

Zaniepokoił ją

tylko sweter omotany wokół ramion. Gej to nie najlepszy kandydat na heteroseksualne prześladowanie. Miała nadzieję, że może po prostu jest Europejczykiem.

Z ulgą wychwyciła lekko francuski akcent, kiedy poprosił o pain au chocolat, croissanta i palmiera. Mimo tak sporego zamówienia ciało miał muskularne. Niewykluczone, że kupował te ciastka dla znajomych. A może obsesyjnie chodził na siłownię. Kiedy się odwrócił, by wyjść, zdeprymował ją zamykany medalion na jego szyi. Wciąż stała, przez chwilę nie wiedząc, co dalej, ale ostatecznie postanowiła medalion również przypisać francuskiemu obywatelstwu i ruszyła za nim w pościg.

Była zadowolona, że już go widywała. To by się znakomicie składało, gdyby mieszkał gdzieś w pobliżu. Nie miała najmniejszego zamiaru wziąć się na kogoś, kto mieszka gdzieś daleko. Prześladowanie na daleki dystans na pewno przysparza powodów do irytacji.

Owładnięta entuzjazmem często towarzyszącym rodzeniu się nowego hobby, była gotowa iść za nim daleko, nieprzyjemnie się więc rozczarowała, kiedy wszedł do jakiegoś budynku, nawet nie doszedłszy do następnej przecznicy. Omal nie jęknęła głośno, z czystej frustracji, że tak oto wmurowało ją w chodnik i nie może wykorzystać prześladowczego zapachu, który nie przestawał w niej buzować.

Nie bardzo wiedząc, co zrobiłby teraz przeciętny prześladowca, Lynn wyjęła komórkę i poinstruowała Patricię, że ma ją zastąpić na stanowisku przed budynkiem, dopóki jej ofiara stamtąd nie wyjdzie. Wróciła do galerii, by tam czekać na telefon od asystentki.

Odebrała telefon o piątej trzydzieści i przejęła pałeczkę od Patricii.

Mężczyzna pokonał kilka przecznic i wszedł do budynku mieszkalnego, gdzie wejścia strzegł portier.

Ta kolejna kłoda pod nogi była wprost rozwścieczająca. Za wszelką cenę chciała kontynuować swój projekt.

Podeszła do wysokiego, siwego portiera.

- Czy tamten mężczyzna tu mieszka? - spytała. - Tak.

- A jak się nazywa?

- Przykro mi, nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji.

- Och. Po prostu jest podobny do mojego znajomego - próbowała dalej. - Chciałam wiedzieć, czy to przypadkiem nie ta sama osoba.

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniony do ujawniania nazwiska tego pana.

- A czy jest coś, do czego jest pan upoważniony?

- Owszem, jest. Że gdyby pani chciała, mógłbym zadzwonić do pana Duponta i... - Urwał nagle wstrząśnięty tym, co mu się wymysknęło.

- I spytać, czy miałby coś przeciwko ujawnieniu jego nazwiska? - podpowiedziała drwiąco.

- Coś tak jakby. - Położył dłoń na wewnętrznym telefonie, grożąc, że zaraz podniesie słuchawkę.

- Nie, nie. Proszę nie zwracać głowy panu Dupon-towi taką błażostką. - Niespecjalnie zainteresowana jego nazwiskiem, ale świadoma, że typowi prześladowcy są przynajmniej odrobinę nachalni, dodała: - A gdybym tak spróbowała zgadnąć, jak ma na imię?

- Nie mam czasu na zgadywanki. Jestem zajęty - odparł portier.

- Czyżby?

- A owszem, jestem. Pracuję. Pani mi przeszkadza w pracy.
- Przeszkadzam panu w staniu tutaj?
- Nie inaczej. Płacą mi za stanie tutaj i nicnierobienie. Pani mi w tym przeszkadza.
- Błagam, niech mi pan powie, jak on ma na imię.
- Nie. A tak w ogóle to w czym problem? Zawahała się.
- Coś straciłam, i zdaje się, on mi pomoże to coś odzyskać.
- A co takiego pani straciła?
- Niech pan nie będzie taki ciekawy.
- Ja tylko wykonuję swoją pracę, szanowna pani. Więc co pani straciła? Może ja pomogę?
- Pan mi na pewno nie pomoże.
- Sprawdzanie nie boli.
- Straciłam ochotę na cokolwiek - powiedziała w końcu.
- Proszę pani, proszę mi nie zabierać czasu.
- Rozumiem. Czas to coś bezcennego, ale ochota na coś czy też pragnienie czegoś są czymś jeszcze bardziej bezcennym.
- Niezupełnie - odparł. - Ochota, pragnienie, pożądanie... to są przekleństwa. Ma pani szczęście, że ich pani nie czuje.
- Doprawdy? Domyślałam się, że pan nie może się od nich uwolnić? - spytała Lynn.
- Nie. Nie mogę. Choć zrobiłbym wszystko, żeby się uwolnić. Jak się ich pani pozbyła, jeśli wolno spytać? Jeśli mi pani powie, to może ja zdradzę imię pana Duponta.
- Ja się ich nie pozbyłam, powiedziałam już panu, że je straciłam. Przypadkiem. Nie wiem jak. Zrobiłabym

wszystko, żeby je odzyskać. Wydaje mi się, że on mógłby mi pomóc.

- Kolejny powód, żeby pani nie pomagać. Powinna pani zrozumieć, że los jej sprzyja, że strata przyniosła pani szczęście, a jednak pani tego nie rozumie. I ja wiem dlaczego. Pani kłamie, mówiąc o stracie. Twierdzi pani, że straciła ochotę na cokolwiek, a mimo to koniecznie chce pani poznać imię pana Duponta. Nie jest tak?

- Wcale nie. Pytam o nie dla celów medycznych.

- Czy mam poinformować pana Duponta o pani niepokojącej wizycie?

- Nie, proszę się nie bać, moja wizyta nie jest ani niepokojąca, ani też warta tego, by go o niej informować.

- I dobrze. W takim razie zechce mi pani wybaczyć, bo muszę wracać do pracy - powiedział, nieznacznie odwracając spojrzenie i ujmując mu ostrości.

- Rozumiem - odparła Lynn. - Płacą panu za to, żeby pan nie robił nic, codziennie i w określonym zakresie, i mógłby pan mieć kłopoty, gdyby pańscy chlebodawcy stwierdzili, że nie wywiązał się pan z zadania.

Mężczyzna w dalszym ciągu stał doskonale nieruchomo. Lynn była tak wstrząśnięta jego podobieństwem do hiperrealistycznych rzeźb Duane'a Hansona, że instynktownie przybliżyła twarz, by zachwycać się detalami, naturalistycznymi niedoskonałościami jego skóry, małymi włoskami wystającymi z nozdrzy. Nawet nie drgnął pod wpływem tych drobiazgowych oględzin, bo tak był pochłonięty swoją pracą.

Odeszła.

Codziennie prześladowanie pana Duponta wymagało ogromnej siły woli z wielu powodów, z których wcale nie

najmniej ważnym był ten oto, że Lynn zawsze nosiła dość wysokie obcasy, nie nadające się do długich spacerów w tempie wysokiego mężczyzny.

Niestety, im bardziej Lynn się zmuszała, by mieć ochotę na pana Duponta, tym ta ochota była mniejsza.

Potrzebuję pomocy, pomyślała. I w związku z tym wydała swojej asystentce mnóstwo poleceń: miała jej pomóc, by nie zarzuciła projektu, miała być jej trenerem w tej dziedzinie i miała też tak się nad nią pastwić, by chcąc nie chcąc, Lynn jednak chodziła za tym mężczyzną krok w krok.

Prześladowca Lynn, Alan, prędko się zorientował, że czasami, kiedy chodzi za Lynn, ta chodzi za innym mężczyzną. Miał nadzieję, że to tylko jego wyobraźnia, ale niebawem musiał uznać, że jednak nie. Niemniej nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Nie taki obrót zazwyczaj przybierały sprawy. To prawda, nigdy przedtem nikogo nie prześladował, ale na podstawie tego, co widział na filmach i wyczytał w książkach, ofiara prześladowania nie angażowała się w prześladowanie kogoś innego, kiedy ją samą nękanono. Dlatego tłumaczył sobie, że nie powinien się tym zbytnio przejmować, że to pewnie chwilowe.

Zamiast tego skupił uwagę na szukaniu dróg, by stać się częścią jej życia. Po jakimś czasie doszedł do takiego oto wniosku: postara się podkraść do niej niezauważenie, spróbuje robić coś takiego, by jego miłość wsączała się pomalutku w jej życie. Była kobietą, która nie zawraca sobie głowy jakimś natrętem. W rzeczy samej tak pochłaniały ją inne sprawy, że mogła nie zauważyć, iż on przeniknął do jej życia. Zanim to do niej dotrze, będą już przyjaciółmi. Któregoś dnia

mogłaby niepostrzeżenie przyjąć zaproszenie na kolację. A innym razem mógłby uprawiać z nią seks w czasie, gdy ona będzie robić coś innego. Zanim się połapie, on się do niej wprowadzi. A któregoś dnia, kiedy jakiś atrakcyjny mężczyzna zagadnie ją: „Chciałbym cię zabrać na kolację. Czy masz chłopaka?“, zastanowi się chwilę i będzie zmuszona odpowiedzieć, z lekkim zdumieniem: „Chyba tak“, zastanawiając się, kiedy właściwie to się stało. Doskonały plan. Wsączy się w jej życie.

Zaczął posyłać jej prezenty. Najpierw były to ciastka, potem bilety do kina, później bonzai, wreszcie różowo--żółta bielizna. Posyłał jej także liściki. Na przykład ciastka opatrzył liścikiem o treści: „Mam nadzieję, że będą Ci smakowały. Wiem, że nie musisz dbać o linię“. Liścik dołączony do bielizny głosił: „Wizualnie jesteś taka połyskliwa i gładka. Twoje kolory tak dobrze się z sobą łączą. Wyglądasz, jakby Cię pomalowali farbą natryskową. Mam nadzieję, że te kolory będą dla Ciebie kropką nad i“. W liściku towarzyszącym bonzai napisał: „Proszę, zaopiekuj się tą maleńką formą życia i wiedz, że ona nie tylko wydziela tlen, który Ci służy; wydziela także moją miłość do Ciebie, która posłuży Ci jeszcze lepiej“.

Alan nie mógł nie zauważyć, że Lynn nadal potajemnie chodzi za tamtym drugim mężczyzną, i to go nadzwyczaj wzburzało. W życiu o czymś takim nie słyszał. Czy to tylko dziwaczny zbieg okoliczności, że kobieta, którą on akurat prześladował, sama kogoś napastuje? Czy zaczęła to robić dopiero niedawno? Zauważył, że ona to robi, zaledwie kilka dni wcześniej, ale może cały czas to robiła? Co gorsza, mężczyzna, którego prześladowała Lynn, był wyższy od Alana, przystojniejszy od niego i miał więcej włosów.

Nie potrwało długo, a stopień frustracji Alana osiągnął poziom nie do wytrzymania. Stwierdził, że musi poznać tamtego mężczyznę. Chciał się z nim zobaczyć, twarzą w twarz, chciał wiedzieć, jaki on jest, miał nadzieję zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Zapisał się na siłownię, do której chodził tamten, i natychmiast znalazł idealny sposób na jego poznanie.

Zauważył mianowicie w szatni, jak mężczyzna dopisuje swoje nazwisko i numer telefonu do listy potencjalnych partnerów w racquetball.

Dwa

Któregoś dnia Patricia, tuż po wyjściu z pracy, ofiarowała kilka monet rudowłosemu bezdomnemu, który sterczał na rogu. Po tej okolicy pałętał się od dwóch lat i lubiła dawać mu regularnie pieniądze, bo nie był ani natrętny, ani groźny. Nigdy nie powiedział do niej nic oprócz „dziękuję”. Aż do tego dnia.

-Przepraszam - zagadnął ją bezdomny żebrak. -Wiem, że pani pracuje w tej wytwornej galerii na rogu, z tą drugą panią.

Chciałbym spytać, czy pani może wie, dlaczego ona chodzi codziennie za jednym mężczyzną, gdy tymczasem za nią samą chodzi inny mężczyzna?

Patricia musiała najpierw uporać się ze swoim zdumieniem, że bezdomny do niej przemówił. W końcu odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- To tak bardzo rzuca się w oczy?

- Odrobinę. Ja to widzę. Dlaczego oni to robią?

- A kto to wie?

- Pani.

- Niekoniecznie.

-Ale wie pani dość. Strasznie chciałbym się tego dowiedzieć. Nie jestem typowym bezdomnym.

- Czy nie każdy tak mówi? - odparła, mając nadzieję, że to nie zabrzmie złośliwie.

- Nie. Bezdomni mówią: „Chcę pieniędzy”. Ja mówię: „Chcę wyjaśnień”. Błagam panią, niech mnie pani wesprze wyjaśnieniem. Będzie mnie grzało dzisiejszej nocy.

- Kiedy ja naprawdę nic nie wiem.

- A ja naprawdę pani nie wierzę. Życzę miłego wieczoru.

Ray odprowadził ją wzrokiem rozczarowany, że go nie oświeciła. Naprawdę chciał wiedzieć, dlaczego elegancka właścicielka galerii chodzi codziennie za opalonym mężczyzną, który nigdy się nie uśmiecha, gdy tymczasem za nią samą chodzi mężczyzna, który przypomina kłowna, mimo że nosi się na czarno - niezłe osiągnięcie, zdaniem Raya. Wszyscy troje często dawali mu pieniądze, jedno po drugim, kiedy przechodzili obok. Widywał ich przedtem w okolicy, ale nigdy nie zwracał na nich większej uwagi aż do niedawna, kiedy to zaczęli chodzić za sobą. Świry, taką postawił im diagnozę. Takich widowisk za nic nie potrafił traktować obojętnie, zwłaszcza że swego czasu był psychologiem, któremu odebrano praktykę, gdyż cierpiał na schorzenie określane jako „zaburzenia zachowania powodowane chorobliwą ciekawością”. Ciekawością dotyczącą najdrobniejszych odstępstw od normy w ludzkim zachowaniu. W przeciwieństwie do tych terapeutów, którzy drzemali, kiedy ich pacjenci opowiadali o sobie, Ray za bardzo się interesował operą mydlaną ukrytą w ich opowieściach - oczekiwanie na ciąg dalszy nieodmiennie wywoływało w nim nieznośny dreszcz emocji. Wiele razy dziennie wydzwaniał do pacjentów, pytając o najnowszy rozwój wypadków w ich sytuacji. Któregoś razu na przykład miał pacjentkę, której chłopak wybiegł od niej po

kłótni i czekała na telefon od niego. Ray dzwonił do niej co godzinę, pytając, czy chłopak już się z nią pogodził. Jego obsesyjne zachowanie zniszczyło mu praktykę, nie wspominając już o zdrowiu psychicznym jego pacjentów.

Dwa tygodnie po tym, jak Judy poradziła Lynn, by się od czegoś uzależniła, Lynn i Patricia usłyszały od wspólnego znajomego szokującą wieść, że Judy została potrącona przez ciężarówkę.

Wyszła z tego bez szwanku, jeśli nie liczyć siniaków. Zatrzymali ją na noc w szpitalu na obserwację i teraz zdrowiała w domu.

- To na pewno przez te wszystkie narkotyki - stwierdziła Lynn.

Lynn wiedziała, że musi się zabrać do swojego projektu bardziej serio. Zaczęła pisywać liściki do pana Duponta, ale nie dorównywały przysyłanym przez jej własnego prześladowcę.

Ten pisywał rzeczy w rodzaju: „Twoje skupienie mnie zniewala, olśniewa. Uwielbiam, jak oglądasz moje podarunki. Mam jeszcze całe mnóstwo innych prezentów, których dotąd nie widziałaś.

Zwłaszcza jeden aż się pali, żeby wreszcie stać się twoją własnością". Coś obrzydliwego. Dlaczego sama nie potrafi wpaść na coś takiego? Zamiast wypisywać takie oto banialuki:

„Intrygujesz mnie. Mam nadzieję, że Ci nie przeszkadza, że za Tobą chodzę. Wierzę, że moje zaloty Ci schlebiają". Albo takie:

„Sprawiasz wrażenie na wskroś inteligentnego i dobrego.

Oczywiście używam słowa «dobry» w sensie «atrakcyjny», bo skąd mogłabym wiedzieć, czy jesteś dobry czy nie? Jeśli już o to chodzi, skąd mogłabym wiedzieć, czy jesteś inteligentny, ale pewnie jesteś. I to już mi całkiem wystarcza".

Była kiepska w epistolografii, a na dodatek miała prześladowczy blok. Czowała, że wyczerpała już cały zapas wszystkich oczywistych komunikatów. Była zdumiona, że jej własny dręczyciel potrafił cały czas wpadać na nowe pomysły. Dlatego więc, powodowana frustracją, zaczęła kopiować liściki od swojego prześladowcy i posyłać je panu Dupontowi. Na przykład taki: „Cały czas Cię obserwuję. Nawet kiedy jestem gdzie indziej, obserwuję Cię oczyma duszy”. A także ten: „O mój ty Zielony Pluszowy Misiu z Drutu. Zapłusz mnie”. Co to niby miało znaczyć? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że sama by nigdy na coś takiego nie wpadła.

W końcu zmęczyła się samym procesem przepisywania i postanowiła zaoszczędzić czas poprzez wymazywanie korektorem podpisu swojego prześladowcy i wpisywanie w tym miejscu: „Twoja wielbicielka”.

- Ładny medalion. - Tak oto Alan przerwał milczenie, kiedy razem ze swym nowym partnerem do racquetballa wjeżdżali windą na kort.

- Dzięki.

- Co jest w środku?

- To osobista sprawa.

Grali po raz pierwszy. Wygrała ofiara prześladowań Lynn. Jak na Francuza jest niezły, pomyślał Alan.

Po meczu Alan zaproponował Rolandowi Dupontowi, żeby się przeszli do barku, gdzie dawali mleczne koktajle. Roland zawahał się, ale przyjął zaproszenie. Zamówili swoje drinki, Bananowy Błysk oraz Jagodowe Piaski, po czym usiedli przy stoliku.

Alan skomplementował Rolanda za jego grę. Francuz zrewanżował się tym samym.

Wdali się w błahą rozmowę. Okazało się, że Roland wprowadził się do tej dzielnicy całkiem niedawno.

- I jak ci się tu mieszka? - spytał Alan.

Roland pogładził palcem medalik i spojrzął na Alana, nie odpowiadając od razu.

- Prawdę mówiąc, tak sobie.

- Co ty powiesz? A to czemu?

- Chodzi o ludzi - odparł. - Ludzie są tu porąbani. Znacznie bardziej niż na przedmieściach, gdzie przedtem mieszkałem.

Alanowi zabiło serce, że to się okazało takie łatwe. Postęp był lawinowy.

- Jak dziwaczni?

- No, na przykład naprzykrza mi się pewna kobieta.

- Ach tak. A znasz ją? -Nie.

- A jak myślisz, dlaczego ona ci się naprzykrza?

- Nie mam pojęcia. Domyślam się, że po prostu lubi prześladować ludzi albo coś podobnego. I przysyła mi też liściki. Idiotyczne, dziwaczne liściki. - Wydał z siebie znużony chichot. Jak na Francuza Roland Dupont potrafił się wysławiać. Alan się wkurzył.

- Co mówią te liściki?

- W jednym nazywa mnie pluszowym misiem z drutu albo drucianym misiem z pluszu. Nie bardzo pamiętam.

Alan milczał. Czyżby Lynn posługiwała się jego tekstami? A może „zielony pluszowy miś z drutu” był typowym, uniwersalnym zwrotem stosowanym przez prześladowców? Alan był zaintrygowany.

- I co jeszcze ci pisze w tych liścikach? - zapytał. -Och, niech się zastanowię... - Roland wpatrywał

się w blat stolika, bębniąc w niego palcami. - Napisała coś w tym guście: „Dzięki temu, że cię widuję, co rano wstaję szczęśliwa”. I uporczywie za mną chodzi. I siada blisko, vis-à-vis mnie, kiedy się spotykam z klientami na lunchu.

- Z klientami? A czym się zajmujesz?

- Jestem prawnikiem. A ty?

- Księgowym. Roland pokiwał głową.

-Widzisz, we Francji - powiedział po chwili milczenia - takie pojęcie nawet nie funkcjonuje. Nie ma na to słowa we francuskim. Próbowałem powiedzieć mojej rodzinie przez telefon, że pewna kobieta mnie prześladowuje, i dotarło do mnie, że nie ma na to francuskiego tłumaczenia.

- Prawdopodobnie dlatego, że we Francji prześladowanie kogoś to normalny element codziennego życia, na który nie potrzeba specjalnego słowa. Prawdopodobnie nazywają to życiem. - Alan zarechotał.

Roland był tym wyraźnie zdegustowany.

- To naprawdę straszne, jak cię tak nękają. To jedno z najgorszych przestępstw.

Tym razem to Alan był zniesmaczony.

- Doprawdy? Nie chciałbym bagatelizować twojego doświadczenia, ale moim zdaniem to najłagodniejsze z przestępstw.

- Jak możesz tak myśleć?

Alan zamieszał swojego drinka, znacząco wpatrując się w medalion Rolanda.

- Chcę powiedzieć, że w którymś momencie swojego życia na pewno bardzo się kimś interesowałeś, bez wzajemności, i zachowywałeś się podobnie w związku z tą osobą.

- Ze niby co? Też kogoś prześladowałem?
- Pewnie tak, skoro tak chcesz to nazwać.
- Nie. A ty to robiłeś?
- Oczywiście. Kto tego nie robił?
- No cóż. Jesteś bardzo otwarty — stwierdził Roland - bardzo wyrozumiały. Wobec siebie. Ja raczej nie byłbym do tego zdolny, a w każdym razie w to wątpię.
- Twoje wątpliwości nie mają żadnych podstaw. Gdyby Roland zaliczał się do tego rodzaju ludzi, którzy potrafią się śmiać, toby się teraz zaśmiał. Rzadko cokolwiek go bawiło, a jeśli już nawet, tak jak teraz, to nie robił tego swobodnie. Nawet sam uśmiech wyglądał dziwnie w jego przypadku, jakby pozbawiony był tych szczególnych mięśni twarzy, które są odpowiedzialne za uśmiech, i w związku z tym, musiał zaprzęgać do pracy inne, okoliczne mięśnie, na przykład karku, czoła, oczu, nosa i uszu. Za każdym razem wychodziło mu coś innego.
- Naprawdę kogoś prześladowałeś? - spytał Roland.
- W odróżnieniu od ciebie ja bym tak tego nie nazwał. Alan nie chciał, żeby ten człowiek nazywał go prześladowcą. To brzmiało rasistowsko. To był termin zaczerpnięty z języka nienawiści. Zamiast ładniejszego ekwiwalentu „wielbiciel”. Nazywanie go prześladowcą przypominało określenie kogoś, kto nie chce ryzykować życia, „tchórzem” zamiast „spryciarzem”. Albo jak nazywanie rozwiązłej kobiety „dziwką” zamiast „wyzwoloną” albo „zmysłową”.
- Kiedy się stałeś prześladowcą? - spytał Roland.
- Jeśli nie masz nic przeciwko, proszę, nazywaj mnie „wielbicielem”.
- Dobrze, więc kiedy się stałeś wielbicielem?

- Niedawno.
- Ale już nim nie jesteś?
- Ależ jestem. Nie jestem taki chimeryczny. Nadal wielbię tę osobę.

Roland przestraszył się nagle.

- To chyba nie jestem ja? Alan wybuchł śmiechem.
- Nie! To kobieta. Nie jestem gejem. A ty?
- Skądże!

Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Żal mi jej - odezwał się w końcu Roland. - Nie wiesz, jakie to nieprzyjemne, kiedy za tobą chodzą.
- A mnie jest żal tej biedaczki, która chodzi za tobą. Nie wiesz, jakie to nieprzyjemne, kiedy gardzą twoimi wysiłkami. Jest twoim zdaniem atrakcyjna, tak nawiasem?
- Nie jest gruba, jeśli o to pytasz.
- Nie... nie o to.
- Z wyglądu jest niezła - przyznał Roland - ale nigdy nie interesowałbym się kobietą, która się za mną nachalnie ugania. I uważam, że powinieneś przestać prześladować swoją kobietę.
- Łatwo ci mówić. A zresztą nie rozumiem, dlaczego się wtrącasz.
- Przepraszam. Chyba zrobiłem się przewrażliwiony w tej kwestii. - Roland wstał, wrzucił kubek z niedopi-tym koktajlem do kosza. Potem serdecznie pożegnał się / Alanem, do następnego razu. Nie, ta dzielnica nie traktowała go dobrze. Kiedy wychodził z baru, dyskretnie wyjął z kieszeni szortów spinacz i upuścił go na podłogę. Tak, miał kilka ekscentrycznych nawyków, ale się ich wstydził i nigdy by

mu nie postało w głowie, żeby się z nimi obnosić. Był dobrze wychowany, powściągliwy i nie pochwalał braku tych cech u innych.

W rzeczy samej Roland Dupont nigdy nie okazywał daleko idącej tolerancji wobec ekscentryków.

Roland nawet nie podejrzewał, jaki niezwykły jest Alan, i to pod niejednym względem. Na przykład niemal codziennie pokonywał siedemnaście pięter budynku, w którym mieszkał, zatrzymując się na każdym piętrze, by sprawdzić, czy wszystkie wyjścia z klatki schodowej są zamknięte. Zazwyczaj zabierało mu to około czterech minut.

Patricii wcale się nie podobała rola tej, która terroryzuje słabszych, ale nie mogła wytrzymać tych ganiących spojrzeń Lynn, kiedy przestawała nakłaniać ją do prześladowania pana Duponta.

- Czy dbasz o siebie? - dopytywała się więc Patricia. - Czy prześladujesz?

Lynn była zadowolona z tej namolności Patricii. Dodatkowe lekcje przynosiły wymierne korzyści.

- Tak, znowu prześladowałam.

- A w jaki sposób?

- Chodziłam za nim.

- Należało zrobić coś więcej - stwierdziła Patricia. Lynn spuściła wzrok. Rozumiała, że Patricia jest taka bezwzględna nie dlatego że jest wredna, ale dlatego że jej zależy i wie, jakie to ważne, by Lynn traktowała swoje przedsięwzięcie serio: ostatecznie to ono właśnie miało w niej wskrzesić ochotę na cokolwiek.

- Faktycznie zrobiłam coś więcej - odparła Lynn.

- Co to było?
- Liściki i takie tam.
- Liściki? A co w nich było?
- To wszystko, co powinno być w liścikach od prześladowcy.
- Czyli? - spytała Patricia, podejrzliwie mrużąc oczy pod krzaczastymi brwiami i nie ustępując pola, tak jak ją tego uczyła Lynn.
- A jak myślisz? - Lynn też zmrużyła oczy, małpując asystentkę. Patricia nie lubiła, jak ją parodiują, zwłaszcza gdy tylko stosowała się do poleceń, których w ogóle nie miała ochoty wykonywać i które nie należały do zakresu jej obowiązków. Gestem, którego żadna z nich się nie spodziewała, chwyciła leżący w pobliżu giętki metalowy pręt służący do wieszania obrazów i z całej siły walnęła nim w biurko. Rozległ się donośny trzask. Zachwycona Lynn otworzyła szeroko oczy.
- O czym pisałaś w liścikach? - spytała Patricia.
- No więc... tego... w jednym napisałam: „Mój Zielony Pluszowy Misiu z Drutu. Zapłusz mnie”.
- Patricia zmarszczyła brwi.
- To samo napisał do ciebie twój prześladowca.
- Tak, pomyślałam, że to niezłe, więc to wykorzystałam.
- Skopiowałaś swojego prześladowcę?
- Tak - melodramatycznie szepnęła Lynn, gwałtownie odwracając twarz, aż jej włosy falowały.
- Plagiat to przestępstwo ścigane prawem - zauważyła Patricia. W tym momencie do galerii wszedł jakiś mężczyzna. Obie kobiety umilkły, był to bowiem Mark Bricks, wła-

ściciel jeszcze jednej galerii rywalizującej z Lynn. Mark dobiegał trzydziestki. Jego galeria znajdowała się trzy przecznice dalej. Oboje usmiechnęli się do siebie i uprzejmie przywitali.

Mark omiótł wzrokiem ściany.

- No tak... Wciąż źle się czujesz? - spytał Lynn.

- Nie. - Lynn zrobiło się głupio z powodu jej nagich ścian, ale byłoby jej jeszcze bardziej głupio, gdyby były odziane w dzieła, które jej się nie podobały. W światku sztuki wiadano powszechnie, że Lynn przechodzi kryzys. Z jej ścian wionęło pustką już od dwóch miesięcy.

- Co za szkoda - odparł Mark. - Judy też niedomaga. Słyszałaś o jej wypadku?

- Tak, coś strasznego. Mój problem wydaje się przy tym błahy - odparła Lynn.

- Wcale nie. Co więcej, Judy radzi sobie lepiej, inaczej niż ty. Naprawdę nie ma nic, co by cię wyciągnęło z dołka? Chcę znowu rywalizować! Mam nadzieję, że już niedługo zobaczę jakieś mięso na twoich ścianach - ciągnął przymilnym głosem. - A co z twoją rodziną? Nie mogliby jakoś pomóc?

- Moja rodzina? - zdziwiła się Lynn.

- No cóż, nie wiem, jakieś bliskie osoby? Nie mogliby ci czegoś poradzić? Czym się zajmują twoi rodzice?

Ludzie ze światka sztuki często pytali Lynn, czym się zajmują jej rodzice.

- Moja matka jest gliną, a ojciec kolekcjonerem - odpowiadała zawsze, podobnie jak teraz Markowi.

- Ach tak. A jaką sztukę kolekcjonuje? - zapytał. Kwestia tego, co konstytuuje sztukę, była czysto subiektywna.

- Upodobał sobie *objets trouvés*.

Ojciec Lynn zbierał śmiecie. Matka była oficerem policji i poznała go pewnej nocy, kiedy oboje byli na służbie. Nawiązali kontakt wzrokowy i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Matka właśnie wysiadła z wozu patrolowego, który został wezwany do rozbitego okna w bloku mieszkalnym. W tym samym momencie ze śmieciarki wyskoczył czarujący mężczyzna, chwycił torbę ze śmieciami z chodnika i wrzucił ją na naczepę. Zauważył piękną policjantkę, która mu się przyglądała. Poczł się nieśmiały i brudny, zresztą taki był. Po prostu zapatrzyli się na siebie, zastanawiając, które przemówi pierwsze. Zrobił to ojciec Lynn.

- Dobry wieczór! Jakiś pomysł, kto mógł rozbić tę szybę?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Ja i mój partner zastanawialiśmy się, czy te śmieci mogły posłużyć do jej rozbicia.

Czarujący kolekcjoner śmieci przykucnął obok plastikowego worka wypełnionego odpadkami.

- Sprawdźmy, czy do plastiku przywarły jakieś odłamki szkła, co by oznaczało, że tym workiem ciśnięto w okno, żeby je rozbić. Oboje wiedzieli, że taki worek nie mógł rozbić szyby; wypełniały go same miękkie rzeczy. Ale to nie było istotne, po prostu musieli ciągnąć tę rozmowę.

Rodzice Lynn byli prostacy i jowialni. Lubili chodzić na kręgle. Lubili motocykle. Oraz przyczepy kempingowe. I mieli tarczę do rzutek. Pokpiwali z pewnego dandysowatego krewnego, który interesował się sztuką i nosił wytwornie. Nabijali się z ludzi wyrafinowanych.

Lynn uwielbiała pogardę rodziców dla pretensjonal-

ności, tak samo jak tę pretensjonalność, którą oni tak pogardzali. Wspólnie z nimi drwiła z zarozumiałców, ale potajemnie gromadziła eleganckie ciuchy. I potajemnie je nosiła. Kiedy rodzice zaczęli wygłaszać komentarze w rodzaju: „Te twoje buty nie są trochę paniusiowate?”, z niesmakiem wykrzykiwała: „Ale gdzie tam!” I okręcała się na pięcie, czując, jak ze wstydu pieką ją stopy.

A jednak te sceny wciąż się powtarzały. Nie dalej jak tydzień później matka zauważyła, że Lynn ubiera się całkiem nieźle.

- A ten twój styl to aby nie jest szykowny?

Lynn zaprzeczyła, ale to było kłamstwo i wiedziała o tym. Była kryptonosicielką wytwornych ubrań. Uwielbiała wertować magazyny o modzie i naśladowała lansowane przez nie bardziej konserwatywne trendy.

Lynn ukończyła studia i zrobiła dyplom magisterski z historii sztuki na uniwersytecie Columbia. Przez rok pracowała jako dokumentalistka w dziale sztuki współczesnej domu aukcyjnego Christies, a potem przez dwa lata harowała na awans ze stanowiska sprzedawcy na stanowisko dyrektora w galerii Luhring Augustine. Tam nawiązała tak dobre kontakty z liczącymi się kolekcjonerami, że kilku z nich zgodziło się ją wesprzeć, kiedy zakładała własną galerię.

Za pierwszym razem, kiedy rodzice Lynn odwiedzili jej galerię, popatrzyli na obrazy wiszące na ścianach i stwierdzili: „Jaki ojciec, taka córka”. Lynn dopiero po chwili zrozumiała to, co dawali do zrozumienia: że ona też zbiera śmieci. Zastanawiała się, po kim odziedziczyła swój dobry gust. Na pewno nie po nich. Może gust potrafił ominąć jedno pokolenie, podobnie jak zdrowie psychiczne.

Gdy Mark Bricks zbierał się już do odejścia, do galerii wkroczyła wystrojona w czerwony kostium Judy.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała Lynn, delikatnie ją przytulając.

- Dopiero co rozmawialiśmy o tobie - dodał Mark.

- Przepraszam za ten brak kontaktu - odparła Judy - ale moje życie nabrało niesamowitego tempa. W każdym razie powiem prosto z mostu: dajcie się potrać przez ciężarówkę. Wszyscy troje. A zwłaszcza ty, Lynn. Gorąco polecam, oczyszcza głowę jak mało co. Pomoże ci odzyskać ochotę na różne rzeczy, mnóstwo rzeczy. Zapomnij o wszystkich innych sztuczkach, uzależnieniach i tak dalej. To jest znacznie bardziej skuteczne, i to dla każdego. Jeśli twój brak ochoty na cokolwiek doprowadzi cię kiedykolwiek na skraj samobójstwa, spróbuj najpierw przespacerować się przed nadjeżdżającymi pojazdami.

- Przypadkiem nie starasz się wyeliminować konkurencji, prawda? - spytał Mark.

- Nie, jestem śmiertelnie poważna.

- Ciekawe... Wyglądasz kwitnąco - stwierdził.

- Tak, to prawda - wtrąciła Patricia.

- Bo ja rzeczywiście kwitnę. To był bardzo dotkliwy cios, ale równo rozłożony na całej długości ciała, dlatego okazał się bardziej traumatyczny dla duszy. Teraz czuję niesamowity zapach do życia. Jest całe mnóstwo rzeczy, które strasznie chciałabym robić; pragnę jechać na wakacje, poznawać ludzi. Dlatego właśnie pomyślałam o tobie, Lynn. Czuję, że jestem twoim absolutnym przeciwieństwem. Potrafiła mnie ciężarówka i to była najlepsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu. Ale zdaje sobie sprawę, że te pozytywne skutki mogą z czasem przestać działać. Euforia, boska perspektywa zbledną, więc pew-

nego dnia być może będę musiała to powtórzyć, żeby odświeżyć zapach. - Na chwilę zawiesiła głos, ale tamci i tak wpatrywali się w nią z napięciem. - Cóż, wstąpiłam, żeby tylko to powiedzieć. Lynn, twoje ściany są nadal puste, więc się zastanów. Ucałowała kolejno wszystkich troje i wyszła, a zaraz po niej Mark.

- Jak już powiedziałam, plagiat to przestępstwo - powtórzyła Patricia. - Czy wiesz, że kilku autorów popełniło samobójstwo, bo ludzie się dowiedzieli, że są plagiatorami? Zabili się ze wstydu. Czy zrobiłaś coś jeszcze oprócz chodzenia za nim i posyłania mu liścików?

- Posłałam mu trochę eleganckiej bielizny.

-Co? Przecież to mężczyzna! Nic ci nie przyjdzie z prześladowania kogoś, jeśli będziesz robiła z tego farsę.

- Nie robiłam z tego farsy. Załączyłam liścik, w którym napisałam, że mogłabym wkładać tę bieliznę dla niego. To była bielizna, którą przysłał mi mój prześladowca.

- Rany boskie! Toż to gorsze niż obraza. Nie zajdziesz daleko w taki sposób.

- Przepraszam. Więcej tego nie powtórzę.

- Przyjdź do mnie, jak wymyślisz coś własnego.

- Postaram się.

Lynn naprawdę starała się wymyślić coś na własną rękę, ale na razie po prostu dalej chodziła po ulicy za Rolandem. A za nią Alan.

Tymczasem Ray, bezdomny eks-psychoterapeuta, wciąż ich obserwował. Niektórzy ciągle budzili jego ciekawość, jak na przykład ten łańcuch prześladowczy, niemniej w przeszłości rozczarował się co do tak zwanych intry-

gujących ludzi. I poza tym przez nich właśnie stracił rok wolności, bo starając się przeniknąć tajemnicę ludzkich motywacji, naruszył granice praworządności i ostatecznie odsiedział rok w więzieniu za wywieranie przymusu bezpośredniego drugiego stopnia, czyli wykroczenie klasy A, i na zawsze odebrano mu prawo do wykonywania zawodu.

Wszystko zaczęło się całkiem niewinnie; ot, jeden z jego pacjentów wyznał, że pewna znajoma powiedziała mu, żeby sobie odpuścił i przestał się za nią uganiać, bo ona i tak się z nim nie umówi na randkę.

- Masz jakieś pojęcie, dlaczego nie chciała się z tobą umówić? - spytał wtedy Ray.

- Nie. I nic mnie to nie obchodzi.

- Jak to cię nie obchodzi? Przecież dobrze byłoby to wiedzieć, na przyszłość, kiedy znowu poznasz kobietę, z którą będziesz się chciał umawiać.

- Kiedy ja wcale nie chciałem się z nią umawiać.

- To dlaczego ją zapraszałeś na randki?

- Wcale tego nie robiłem.

- To dlaczego ona powiedziała, że masz się za nią nie uganiać?

- A żebym to ja wiedział!

- To dlaczego ta kobieta nabrała wrażenia, że chcesz się z nią umawiać? Coś ty jej nagadał? - spytał bardzo dobitnie Ray, pochylając się z napięciem w stronę pacjenta.

-Nic.

- Jak to nic? Tak to sobie powiedziała, ni z gruszki, ni z pietruszki? Odrzuciła cię przewencyjnie?

- Tak. Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby się z nią umawiać.

- A jednak byłoby dobrze, gdybyś się dowiedział, o co

jej chodzi. Moim zdaniem powinieneś do niej zadzwonić i spytać ją o to.

- Nie wiem po co.

-Ale ja wiem. To bardzo ważne. Nie zrobimy większych postępów, jeśli nie zadzwonisz do niej.

Jeszcze tego samego wieczoru Ray zatelefonował do pacjenta i spytał, czy już zadzwonił do rzeczonyj kobiety. Pacjent odparł, że nie. Ray więc zadzwonił jeszcze raz, godzinę później, i znów go spytał o to samo. Pacjent znów odparł przecząco. I tak przez kilka kolejnych dni, aż wreszcie Rayowi udało się dostać numer telefonu tej kobiety od pacjenta, sam do niej zadzwonił i spytał, dlaczego powiedziała jego pacjentowi, żeby przestał się za nią uganiać. Zapadła długa cisza.

- Kim pan jest? - odezwała się w końcu kobieta.

- To nieważne, kim jestem - odparł Ray.

-Jest pan jego znajomym? Dlaczego on sam do mnie nie zadzwoni?

-Bo nie chciał, ale moim zdaniem on koniecznie musi się dowiedzieć, dlaczego pani to powiedziała.

- Pana zdaniem to ważne? - spytała. - A kim pan jest, jego psychoterapeutą?

- Owszem. Roześmiała się.

- Nie, kim pan naprawdę jest?

- Naprawdę jestem jego psychoterapeutą. Parsknęła, wciąż mu niedowierzając.

- Proszę posłuchać, nie mam na to czasu.

- Proszę poczekać, nie może pani po prostu odpowiedzieć na pytanie?

- Nie. Słyszysz pan? Nie. - I rozłączyła się.

Nie? Nie? Dlaczego nie? Walnął pięścią w poduszkę.

- To suka - poinformował Ray swojego pacjenta.
 - To niewykluczone.
 - Nie, powiadam ci, to suka. Jak możesz tego nie widzieć? Chcę zwrócić uwagę, że prewencyjnie zapowiedziała, byś się nie starał z nią umawiać, bez żadnych podstaw! Dlaczego nie wściekasz się bardziej? To niezdrowe.
 - No cóż, trochę mnie to zirytowało.
 - Do tego właśnie piję. Tylko trochę? To nie ma sensu. Jakbyś coś ukrywał, jakbyś jednak wiedział, dlaczego ona to powiedziała, wiedział, co takiego zrobiłeś, że to powiedziała, i teraz zwyczajnie nie chciał się przede mną przyznać.
 - Tak, już mi powiedziałaś, że tak myślisz, ale to nieprawda.
 - No to dlaczego nie jesteś bardziej wściekły, że ona była taka bezczelna? Ta zagadka jakby wcale cię nie dręczy.
 - Nie, raczej nie.
 - No cóż, tak czy siak powinieneś nad tym popracować.
- Ów pacjent, którego z początku nie obchodziło, dlaczego ta kobieta zabroniła mu uganiać się za nią, stopniowo przeobraził się, z winy Raya, w neurotyczny wrak, który ostatecznie zaczął sięgać po alkohol i narkotyki, by wytrzymać codzienne dawki stresu fundowane mu przez własnego psychoterapeutę.
- A co do zagadki, dlaczego ta kobieta zakazała pacjentowi uganiać się za nią, to Ray ją rozszyfrował. Odszukał ją, przywiązał do krzesła i grożąc jej nożem, zmusił, żeby odpowiedziała na pytanie. „Zaprosił mnie na kolację”, brzmiała jej odpowiedź. I za taką właśnie banalną odpowiedź Ray odsiedział rok w więzieniu.
- Już wcześniej

pacjenci go rozczarowali, ale ta kropla przepełniła czarę. Nieważne, jak kuszący wydawali się z początku, zawiedli go. Człowiek okazał się znacznie mniej interesującym zwierzęciem, niż Ray myślał. Z taką nędzną osobowością, brakiem charakteru - nic innego, zwyczajne mięso. Mięso, mięso, po trzykroć mięso. Ray tyle razy dał się omamić, dlatego więc teraz, kiedy widział świra, trzymał się z daleka. Reagował sceptycznie na różne odstępstwa od normy - podejrzewał, że wcale nie są takie dziwne, jak się wydawało.

Fakt, żałował tych wszystkich szkód, jakie wyrządził wielu swoim pacjentom. Został bezdomnym, bo postanowił się skazać na piekło ludzkiej banalności. Bezdomność była jakby tym samym, co stanie w strugach rozczarowania, dzień po dniu. Znieczulił się na dziwność i nie chciał pozwolić, by ten dziwny łańcuch prześladowczy - złożony z trzech świrów - rozbudził w nim na nowo zaburzenia zachowania powodowane chorobliwą ciekawością. Nowa tożsamość w roli zblazowanego menela pasowała mu i był zdecydowany nie dać się ponownie zwieść.

Poczuł ulgę, gdy Patricia nie odpowiedziała mu na pytania w związku z Lynn. Zadawanie pytań było jak zabawa z ogniem, a odpowiedzi Patricii mogłyby pogłębić jego zaburzenia. Odtąd już nigdy nie zadawał jej pytań ani też nie przyjmował od niej pieniędzy.

Lynn próbowała przygotować się do lunchu w towarzystwie pewnego kolekcjonera, ale nie mogła znaleźć pęsety. Nigdy nie wychodziła z domu albo z galerii, jeśli najpierw nie wyrwała kilku włosków. Były to więc przygotowania o charakterze bardziej umysłowym niż fizycznym.

Zazwyczaj trzymała pęsetę w szufladzie biurka, ale tam jej nie znalazła; już trzy razy sprawdzała. Przetrzęsnęła biurko, zajrzała pod nie, przeszukała rzutnik, kosz na śmieci i łazienkę, cały czas mamrocząc na użytek Patricii, że nie może znaleźć swojej pęsety. Milczenie asystentki nagle stało się podejrzane. Gdy Lynn spojrzała na nią, Patricia spokojnie wytrzymała spojrzenie. Na nosie miała zaciśniętą pęsetę, wycelowaną do przodu niczym dziwaczny dziób.

- Szukam jej od dziesięciu minut! Przez ciebie spóźnię się na lunch!

Pomaszerowała w stronę asystentki z wyciągniętą ręką, chcąc odzyskać pęsetę, ale Patricia ściągnęła ją z nosa i schowała za plecami, kręcąc głową i mówiąc:

- Nie ma skubania bez prześladowania. Od rana się obijasz. No już, do roboty, potem se poskubiesz.

Na chlebkach pita powinna być data przydatności do spożycia. To nie ulegało kwestii. Ci ludzie z supermarketu byli winni. I okłamali Alana. Powiedzieli mu, że chlebki pita są codziennie wymieniane na świeże, ale nie mówili prawdy, był tego pewien. Żeby tego dowieść, potajemnie znakował chlebki, kiedy nikt nie patrzył, rysując maleńkie X na opakowaniu. I pięć dni później one wciąż tam były.

Żeby uspokoić nerwy, do wózka z zakupami dołożył dwa sześciopaki piwa i skierował się w stronę kas. Kasjerka zażądała dowodu tożsamości. Myślał, że ona tylko próbuje mu schlebiać, wynagrodzić to kłamstwo o chlebkach pita. Zaczął szukać prawa jazdy, ale nie mógł go znaleźć.

Nie chciała sprzedać mu piwa, skoro nie mógł jej dowieść swojej pełnoletności.

- Mam trzydzieści cztery lata, a wyglądam nawet starzej - powiedział.

- Przykro mi, takie mamy zasady.

- To mi schlebia, doceniam pani starania, żebym poczuł się lepiej po tej aferze z chlebkami pita, ale proszę mi sprzedać piwo. Potrzebuję go, pomogłoby mi zapomnieć o chlebkach. Potrzebuję czegoś jeszcze prócz pochlebstw.

Wciąż odmawiała.

- Jeśli pani nie policzy mi za to piwo, wkurzę się za te chlebki bardziej niż kiedykolwiek i wasz spisek zostanie udaremniony. Wydawało się, że nie jest wtajemniczona w sprawę chlebków. Może nie wszyscy pracownicy zostali dopuszczeni.

- Dobra jest, wszystko mi jedno. Ten supermarket jest beznadziejny - powiedział, płacąc za pozostałe nabytki. Wrócił do domu bardziej wściekły niż kiedykolwiek. Zniknięcie prawa jazdy nie pomagało, ale był także zirytowany na siebie, i to z powodu całkiem innej kwestii.

Nie dość, że kobieta, którą kochał i prześladował, kochała i prześladowała innego mężczyznę, to jeszcze wykorzystywała jego bezcenne frazy, by uwieść swoją ofiarę. To go kompletnie dobijało. Choćby nie wiadomo jak się starał to zlekceważyć, udreka nie malała. Wymyślił jednak coś, co jak liczył, mogło przyciągnąć jej uwagę, może nawet przyhamować jej pogoń za Rolandem.

Po powrocie do domu przykręcił swój polaroid do trójnogu, zdjął ubranie, nacisnął czasomierz i stanął przed aparatem. Błysnął flesz i z aparatu wysunęło się zdjęcie. Zaczekał, aż wykwitnie na nim jego nagość. Wykwitła. Jego ciało i twarz były bardzo wyraźne. Wsunął zdjęcie do koperty, ubrał się i podrzucił je do galerii Lynn.

Jakiś czas później Lynn otworzyła kopertę i omal nie dostała zawału na widok nagości swego prześladowcy. Za nic nie chcąc pamiętać o obietnicy danej Patricii, że wymyśli coś własnego, wsunęła polaroidowe zdjęcie do innej koperty, zaadresowanej do pana Duponta. Do zdjęcia załączyła krótki liścik.

Jakiś czas później Roland Dupont otworzył kopertę i omal nie dostał zawału na widok swego partnera do ra-cquetballa, nagusieńkiego jak dziecko. Skrzywił się i przeczytał liścik.

Jakiś czas później Alan przyszedł na kort, a gdy Roland zjawił się w końcu, wepchnął coś w ręce Alana. - Żądam wyjaśnień.

Alan wytrzeszczył oczy, gdy zobaczył swą nagą podobiznę.

Piłeczki fruujące na pobliskich kortach brzmiały niczym kanonada armatnia wdzierająca się do jego mózgu.

Nie przewidział, że Lynn wyśle to zdjęcie do Rolanda. Kiedy sam je wysłał, głęboko pożałował, że to zrobił, bo uzmysłowił sobie, że Lynn mogłaby skopiować jego pomysł i posłać Rolandowi nagą podobiznę samej siebie. Czuł się jak skończony kretyń, wręcz miał ochotę się zabić. To on, Alan, z racji swoich zasług powinien mieć fotkę gołej Lynn, nie Roland. Próbował się pocieszać myślą, że w razie czego Roland odsprzeda mu to zdjęcie albo przynajmniej pozwoli je skserować.

Musiał myśleć prędko. Nie mógł dopuścić, by Roland się dowiedział, że nie przypadkiem zostali partnerami do racquetballa; był pewien, że Roland mógłby wtedy wpaść w szal, że nie chciałby mieć z nim więcej nic wspólnego,

że uznałby jego i Lynn za parę psycholi, którzy prawdopodobnie są w zмовie i umyślnie go zadręczają. Alan nie był na coś takiego gotów. Chciał kontynuować znajomość z Rolandem, chciał poznać go lepiej, zrozumieć, co Lynn w nim widzi. Dlatego go teraz musiał udawać równie zszokowanego jak Roland takim obrotem spraw.

- A jak ty to tłumaczysz? - wykrzyknął Alan.

- Dostałem to od mojej dręczycielki. Moim zdaniem to się raczej rozumie samo przez się. Masz, czytaj ten zasrany liścik.

- „Drogi panie Dupont” - przeczytał na głos Alan. - „Oto dowód, że jestem osobą godną pożądania i że powinien pan pomyśleć o mnie choć czasem. Patrzy Pan na zdjęcie mojego prześladowcy, które dostałam dziś rano. Bo widzi Pan, i mnie też ktoś prześladowuje”.

- Prześladowasz kobietę, która mnie prześladowuje? - spytał Roland.

- Nikogo nie prześladowuję. Na to wychodzi, że kobieta, którą wielbię, może być tą samą kobietą, która wielbi ciebie. - Alan zmienił starannie wyraz twarzy, starając się sprawiać wrażenie z nagła olśnionego. - O mój Boże! Ona mnie kopiuje! Przysłała ci te same liściki, które ja jej posyłam. Tak mi się wydawało, że liściki, o których mi opowiadałeś, brzmią znajomo, na przykład wtedy, gdy nazwała cię pluszowym misiem z drutu. Chcę powiedzieć, że nie jest to przecież element języka powszechnie stosowanego przez prześladowców. - Alan czuł potrzebę przedyskutowania z Rolandem tej osobliwości, że Lynn kopiuje jego styl.

- Liściki, które mi przysłała, są w mojej teczce w szatni - odparł Roland. - Sprawdźmy.

W drodze do szatni Alan udawał oburzenie, wydymając pierś i maszerując energicznym krokiem, Roland zaś wyjął z kieszeni szortów monetę i ukradkiem upuścił ją na podłogę.

Kiedy otworzył teczkę, Alan głośno westchnął i ścisnął w dłoni fragment koszulki, pod którym kryło się jego serce. Właśnie jakby przestało pracować.

- To są te same listy, które posyłałem Lynn - oświadczył, biorąc do ręki jeden z liścików i zdrapując korektor. - Co jeszcze ci przysłała?

- Kwiaty, cukierki, bonzai i bieliznę.

- Ona idiotycznie mnie małpuje, w ogóle się nie zastanawiając, nie nadając temu żadnego sensu. Ta kobieta to maszyna, fabryka prześladowania. Po co przysłała ci bieliznę? Żebyś ją nosił?

- Nie, w liście tłumaczyła, że mogłaby nosić tę bieliznę dla mnie.

- Hm. A jaka to była bielizna?

- Żółta z różową koronką na brzegach.

- Kupiłem ją w sklepie Victorias Secret. Była droga.

- Mogę ci ją oddać, jeśli chcesz.

- To byłoby jakby sprawiedliwe. Ale mi nie chodzi o pieniądze.

To był dla mnie wyjątkowy nabytek. I byłoby w tym coś zboczonego, gdybyś to ty miał wejść w jego posiadanie.

- Zgadza się, Alan. Wychodzi na to, że pośrednio jesteś moim prześladowcą.

Alan poczerwieniał.

- Prosiłem, żebyś tak tego nie nazywał.

- No więc dobrze: moim wielbicielem.

- Jakie w takim razie to ironiczne, że ja ciebie nie wielbię.

Obaj mężczyźni zagapili się na siebie. W końcu Alan skinął głową.

- Okay, już nie mam pretensji.

- I dobrze. Posłuchaj, skoro tak się uganiałeś' za tą kobietą, dlaczego nie zauważyłeś, że ona ugania się za mną?

Alan musiał być ostrożny i przekonujący.

- Trzymam się od niej na pewien dystans, a ona prawdopodobnie trzyma się na dystans od ciebie, więc odległość między tobą a mną jest dość znaczna.

Roland zgodził się z tym.

- Poza tym brak mi spostrzegawczości - przyznał Alan - zwłaszcza na tych tłocznych ulicach i kiedy jestem skupiony na Lynn. Kiepsko mi też idzie z rozpoznawaniem ludzi, zwłaszcza od tyłu. Naprawdę jednak pamiętam, że sprawiała wrażenie bezwzględnie skoncentrowanej na jakimś pojedynczym celu, co z kolei uznałem za wyjątkowo urocze, ale nie tłumaczyłem sobie tego faktem, że uwzięła się na kogoś.

Alan zauważył, że Roland przygląda mu się z podejrzliwą miną; tego się właśnie obawiał. Myśl! Myśl!, powtarzał sobie. I nagle wpadł na pomysł. Zamienić role.

- Dziwne to wszystko - powiedział. - Czy to naprawdę tylko zbieg okoliczności, czy może raczej zawiązałeś z nią spisek? Może jesteś jej znajomym, który pomaga jej zemścić się na mnie za to, że za nią chodzę?

- Nie. Nie jestem jej znajomym! I mógłbym powiedzieć tobie to samo!

- I tu byś się srodze mylił. Choć przyznam, że chciałbym być jej znajomym. - Dobrze, dobrze. A teraz skieruj uwagę na coś innego. - Ale dwa pytania doprowadzają mnie do szaleństwa. Pierwsze brzmi: Dlaczego ona kopiuje moje metody?

- Cóż, to się wydaje dość oczywiste - odparł Roland. - Ta kobieta mnie pragnie, ale jest zbyt leniwa, żeby wypracować własną metodologię. I również zbyt skąpa, żeby kupować mi bieliznę za własne pieniądze. Kwiatów i cukierków pewnie też to dotyczy. Alan był zdziwiony tą teorią, ale dostrzegał w niej jakiś sens.

- Nie możemy pozwolić, żeby uszło jej to na sucho - stwierdził Roland. - Jej poczynania domagają się odwetu.

Alan był jeszcze bardziej zdziwiony tym komentarzem, ale jego fixacja na drugiej kwestii nie pozwoliła mu dać się wciągnąć w jakiś uboczny wątek tej rozmowy.

- A drugie pytanie, jakie doprowadza mnie do szaleństwa, brzmi: Dlaczego Lynn woli ciebie, a nie mnie?

Roland spojrzał zdumiony na swego rozmówcę, tego kurdupła pięknego inaczej, i powściągliwie wzruszył ramionami.

Rozegrali swój mecz. Wygrał Francuz. Przed wyjściem z sali wyjął z kieszeni guzik od koszuli i upuścił go ukradkiem na podłogę. Zawsze miał w kieszeni świeży zapas guzików, drobnych monet, spinaczy i zużytych biletów do kina, żeby uniknąć przykrości towarzyszącej odkryciu, że nie ma nic do stracenia.

Jeden z artystów Lynn pokazywał jej właśnie świeżo namalowany obraz abstrakcyjny skomponowany z geometrycznych kształtów utrzymanych w barwach jarzeniowych.

Lynn gapiła się na obraz, choć wcale jej się nie podobał, wydając uprzejme, acz mało entuzjastyczne dźwięki.

- Obraz jest zatytułowany *Czemuż tak rzadko mnie prześladujesz?* - oznajmił artysta zniechęcony.

- Skąd taki tytuł? - spytała zszokowana Lynn.
- Patricia mi go podpowiedziała. Twierdziła, że będziesz urzeczona.

Ray, bezdomny eks-psychoterapeuta, czuł, że strasznie go kusi, by wygłaszać szeptem terapeutyczne uwagi pod adresem Rolanda, Lynn i Alana, kiedy zdarzało im się przejść obok niego, ale bardzo starał się nie terroryzować ich mocą sugestii i nie wywierać na nich wpływu. Czasami mu się nie udawało. Kiedy ta pokusa oładnęła nim po raz pierwszy, szepnął do Alana:

- Zrób coś z sobą. Manhattan to miejsce bogate w możliwości. Jak już prześladowiesz, to rób to z większym polotem. Wybierz kogoś innego choć na jeden dzień.

Lynn miała już dosyć dowcipów Patricii. Któregoś razu ugryzła kanapkę, którą sama sobie wcześniej kupiła, i poczuła coś niezbyt smacznego między szynką a serem. Pogrzebała i znalazła kartkę papieru, na której Patricia nabazgroliła: „Dlaczego się migasz?”

- Jak mam cię zmusić, żebyś przestała mi to robić? Patricia wręczyła jej napisany na maszynie dokument. Lynn przeczytała, co następuje:

ZADANIA PRZEŚLADOWCY

Celem uniknięcia kolejnych przykrości prześladowcy winien jest codziennie wykonywać przynajmniej jedno z poniższych zadań, względnie jakąś ich kombinację:

- Chodzenie za panem Dupontem przez godzinę.
- Kręcenie się pod jego domem przez półtorej godziny.

- Mówienie czegoś do niego. Nawiązywanie kontaktu wzrokowego. Sprawianie, by poczuł obecność osoby, która go prześladowuje.
- Pisanie do niego liścików, szpiegowanie, nagabywanie ludzi, z którymi przestaje, dalsze rozmowy z jego portierem.

Trzy

Zanim obaj znowu się spotkali, Alan stworzył teorię, która wyjaśniała, dlaczego Lynn woli Rolanda. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się nią podzielić.

- To ma coś wspólnego z kolorami - powiedział Alan, dramatycznie zawieszając głos w wyraźnym oczekiwaniu, że Roland wyrazi zdziwienie.

Tak więc Roland zrobił mu tę przyjemność i się zdziwił.

- Ach tak? - spytał.

Alan przytaknął z zadowoleniem.

- Chodzi o kolory twoich ubrań.

- Jakie znowu kolory?

- Wszelkie. Ty nosisz kolorowe rzeczy. Ja przeważnie noszę się na czarno. Zeszłego wieczoru oglądałem program o ptakach. I bingo. Nasza malutka Lynn jest jak ptaszek, nie zauważyłeś? Więc to normalne, że reaguje pozytywnie na mężczyzn, którzy ubierają się na kolorowo.

Rolandowi wydało się dziwne, że Alan jest taki ślepy na jego bardziej oczywiste atrybuty, ale z kolei nie miał pomysłu, jak mógłby go o nich poinformować, nie obrażając go albo nie sprawiając wrażenia potwornie zarozumiałego.

Lynn wróciła do galerii po wielu godzinach napastowania pana Duponta. Wyczerpana i obolała położyła się na podłodze.

Patricia stanęła nad nią, nie okazując litości.

- Czuję się upokorzona tym, co robię - warknęła Lynn.

- I dobrze - odparła Patricia. - Jak sama zauważyłaś, za długo żyłaś na topie. Odrobina upokorzenia co jakiś czas to samo zdrowie, stanowi bowiem nieodłączny element ludzkiego doświadczenia. Jest jak siła grawitacji. Jeśli go nie doświadczasz, robi się z tobą to samo co z astronautami, którzy latami tkwią w przestrzeni kosmicznej. Wiotczeją ci mięśnie. Zaczynasz mieć problemy z kondycją, jeśli nie poddasz się specjalnemu programowi ćwiczeń. Twoim programem ćwiczeń jest prześladowanie.

Do galerii wszedł Charlie Santi. Lynn natychmiast wstała z podłogi.

Chciał jej pokazać kilka swoich nowych obrazów. Lynn reprezentowała Charliego od pięciu lat i zawsze z oddaniem go wspierała aż do czasu, gdy ni stąd, ni zowąd wszystkiego jej się odechciało. Zaprowadziła go do znienawidzonego rzutnika, przypominając sobie, jak kiedyś wydzwaniała do Charliego codziennie, koniecznie chcąc się dowiedzieć, co teraz tworzy.

Charlie zaczął wyklądać slajdy; przedstawiały obrazy utrzymane w swoim tradycyjnym stylu. Płótna Charliego były zawsze dość duże, pokryte fakturą białą farbą. W jednym z rogów, względnie w jakimś oddaleniu od środka, nieodmiennie znajdowała się mała plamka, która mgliście przypominała człowieka, choć nigdy nie można tu było mieć pewności. Na tym obrazie Charliego, który dawniej Lynn uważała za numer jeden w ramach jego twórczości, mały ludzik zdawał się spoczywać na

boku, jakby spał, być może wspierając policzek na dłoni. Obraz tchnął spokojem i już wcale jej się nie podobał, tak samo zresztą jak wszystkie inne obrazy na świecie.

Lynn stała na baczność przy rzutniku, wydając uprzejme, choć pełne rezerwy dźwięki.

Jej prześladowca, którego dotąd nie zauważyła, stał za oknem galerii, z czułością wpatrując się w nią przez szybę. Był ubrany w czerwone portki, niebieski krawat, żółtą marynarkę, pomarańczowe buty i purpurowy kapelusz z białym piórem zatkniętym na czubku. Wyglądał jak jakiś krasnal. Albo papuga. Charlie skończył pokazywać slajdy.

- I co ty na to? - spytał. Zerknęła na niego niemal błagalnie.

- Och, Charlie. Moim zdaniem powinieneś zaufać swojemu instynktowi. Nie jestem właściwą osobą, którą można o to teraz pytać.

- Domagam się odpowiedzi. Uczciwej. Tak czy nie. Podobają ci się?

- Charlie, ja nie...

- Tak czy nie, Lynn? Tak czy nie, do cholery!

Zegar z kukułką, który Patricia kupiła ostatnio Lynn, wybił godzinę. Drzwiczki się otworzyły, wyskoczył z nich żółty ptak, ale zamiast zakukać, powiedział głosem Pa-tricii: „Uwaga!

Wybiła piąta! Czy dziś już gnębiłaś pana Duponta?"

Charlie nie odpuszczał.

-Po prostu mi odpowiedz, Lynn, czy ci się podobają?

- Nie - odparła łagodnie. - Ale to nic nie znaczy.

- Szsz! Przyniosłem z sobą dwa płótna. - Prędko je odwinął. - Są fenomenalne - dodał. - Już cię nie pytam, ja ci to mówię. Bo nie mam cienia wątpliwości.

- Jestem zachwycona - odparła.
- Naprawdę? Podobają ci się?
- No cóż... Jestem zachwycona, że żywisz do nich takie przekonanie. To miałam na myśli.
- Ale czy ci się podobają?

Lynn przyjrzała się uważnie obrazom, szukając na nich czegokolwiek, co mogłoby ją poruszyć. Na jednym z nich Charlie po raz pierwszy namalował nie jedną, ale dwie maleńkie plamki. Jedna zdawała się dusić albo tulić tę drugą. Na drugim obrazie samotny, równie mikroskopijny ludzik był albo ułożony w pozycji embrionalnej, albo może na podobieństwo *Myśliciela* Rodina pogrążony w myślach.

Lynn widziała teraz tylko rozmazane plamki, bo oczy miała pełne łez.

- Czy mogę zadać ci jedno pytanie? - spytał Charlie.

Skinęła głową.

- Myślisz, że to ja jestem do dupy, czy to ty jesteś do dupy?
- Prawdopodobnie ja - odparła.
- Prawdopodobnie? Zdobyłem tyle nagród: American Prix de Rome, Guggenheima, NEA i NYFA. Środowisko akademickie się mną interesuje. Czy to nie przemawia za moją twórczością? Patricia zarżała cicho, a Lynn aż się skrzywiła, znie-smaczona takim brakiem taktu.

- Przyjrzałaś się dzisiaj swojemu prześladowcy, Lynn? - spytała Patricia, wskazując palcem okno.

Lynn spojrziała na prześladowcę.

- Co on się dzisiaj tak wystroił?
- A kto to wie? - odparła Patricia. - Może zeszłego

wieczoru oglądał program o ptakach i postanowił wystroić się na kolorowo, żeby zwrócić twoją uwagę.

Charlie spakował swoją sztukę i wyszedł bez słowa.

Roland wrzucił kilka monet w garść bezdomnego.

- Ktoś za tobą chodzi - szepnął eks-psychotherapeuta, patrząc Rolandowi w oczy.

Kilka sekund później trochę drobnych dała mu Lynn.

- Staczasz się po spirali autodestrukcji. Nie wkładaj wszystkich jajek do jednego koszyka - powiedział do niej.

A po Lynn zjawił się Alan.

- Zapisz się na jakieś warsztaty, jedź na wakacje, bierz witaminy. Przestań myśleć o romansowaniu, przejmij kontrolę nad własnym życiem i swoją przyszłością. - A kiedy Alan wytrzeszczył tylko oczy, zaczął na niego wrzeszczeć: - Idź do kina, zapisz się na kursy samodoskonalenia. Jesteś od nich lepszy!

W małej kawiarni przy siłowni, przed meczem racquetballa, Alan powiedział Rolandowi, że jego teoria o kolorach nie sprawdziła się w praktyce.

-Jakie to straszne - stwierdził Roland z zadowoleniem.

Alan nie odpowiedział, tylko zapatrzył się ponuro w blat stołu.

Roland postanowił zmienić temat, bo chciał być miły.

- A co robiłeś zeszłego wieczoru? Wyszedłeś gdzieś?

- Zszedłem sprawdzić, czy wszystkie wyjścia na schody są zamknięte.

- Po co?

- Na wypadek pożaru. To naprawdę ważne, by wyjścia

na klatkę schodową były pozamykane. Dzięki temu ogień nie będzie się rozprzestrzeniał zbyt prędko. Sprawdzam drzwi codziennie.

- To ci nie koliduje z molestowaniem Lynn?

- To mi zabiera około czterech minut.

- Robiłeś coś jeszcze wieczorem?

- Nie. Próbowałem zrozumieć, dlaczego moja teoria kolorów okazała się fałszywa. - Alan wyglądał na rozczarowanego. - Naprawdę myślałem, że tu znajdę klucz do zagadki, przecież brzmiała tak sensownie. No bo przypatrz się nam obu: dotąd różniliśmy się tylko pod względem koloru. Tymczasem teraz, kiedy obaj jesteśmy kolorowi, można nas uznać za bliźniaków. Oczywiście przesadzam, ale wiesz, co chcę powiedzieć. Obaj jesteśmy przystojnymi facetami, stosunkowo charyzmatycznymi, inteligentnymi, dość gruntownie wykształconymi, niejako wysportowanymi.

Roland dłużej już nie potrafił być uprzejmy.

- Gdzie studiowałeś, Alan? - spytał.

- W Putnam.

- A ja na Harvardzie.

- Bez różnicy - stwierdził Alan, kiwając głową. - Te same dobre uczelnie. Nie mów mi, że będziesz się sprzeczał, która jest lepsza?

- Kto zawsze wygrywa nasze mecze?

- Moim zdaniem obaj prezentujemy dość wyrównany poziom. Być może wygrywałeś dotąd nieco częściej, doprawdy nie rejestruję takich drobiazgów.

- Który z nas jest prawnikiem, a który zwykłym, nawet nie biegłym księgowym?

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

- Kto ma sześć stóp i trzy cale wzrostu, kto waży sto

dziewięćdziesiąt funtów, jest muskularny i ma gęste włosy? A kto ma pięć stóp i siedem cali wzrostu, waży sto dziewięćdziesiąt funtów, nie jest umięśniony, a za to łysy?

- A kto ma włosy koloru blond i niebieskie oczy? -odparł cicho Alan.

- Słucham?

- No kto ma blond włosy i niebieskie oczy? Roland gapił się na Alana przez kilka długich sekund.

- Ty jesteś niskim, grubym, łysym mężczyzną o niebieskich oczach i kilku kępkach żółtawego meszku. Wyglądasz jak Danny De Vito, tyle że z włosami blond i niebieskimi oczyma.

- Ty za to wcale ich nie masz.

- Zgadza się.

- Czekaj. Pozwól, że coś wyjaśnię - rzekł Alan z uśmiechem. - Próbujesz mi powiedzieć, że twoim zdaniem jako obiekty porównania nie jesteśmy sobie równi? Dajesz do zrozumienia, że jesteś... hm... lepszy ode mnie pod jakimś względem? - Alan zerknął na medalion Rolanda, żałując tego członka rodziny czy też ukochanej, której podobizna zapewne znajdowała się w środku. Współczuł tej osobie, że los ją skojarzył z takim pompatycznym osłem.

Roland zauważył to spojrzenie na jego medalion, domyślił się, jakie towarzyszą mu refleksje, i przewrócił oczyma. W jego medalionie znajdowała się nie podobizna członka rodziny czy ukochanej tylko cyjanek, dla własnych celów, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba. Noszenie medalioniku z cyjankiem było w jego rodzinie tradycją, przekazywaną już od czterech pokoleń. Kiedy Roland skończył czternaście lat, jego ojciec wziął go na spacer, jak „mężczyzna z mężczyzną”.

(„*D'homme à homme*”, to w rzeczy samej powiedział, ponieważ byli Francuzami).

- Chcę ci to dać - powiedział ojciec, wyjmując z kieszeni łańcuszek z medalionem, taki sam jak łańcuszek z medalionem na jego szyi, którego wewnątrz do tej pory pozostawało tajemnicą dla Rolanda i jego siostry.

Chłopak wziął medalion.

- *Cest du cyanure* - wyjaśnił wtedy ojciec. („To cyjanek“.)

Roland otworzył szeroko swe niewinne oczęta.

- Żeby kogoś zabić?

- Nie! - zachnął się ojciec, zaszokowany, że umysł syna potrafi wyciągać tego typu złowieszcze konkluzje, i to tak pochopnie. - Żeby zabić siebie.

Roland skrzywił się i spojrzał na ojca, by się upewnić, czy on nie żartuje.

- Przecież ja wcale nie chcę się zabijać.

- Ale któregoś dnia może zechcesz.

- Dlaczego?

- Czasami w życiu tak bywa - wytłumaczył ojciec swym normalnym, zniecierpliwionym tonem, który należało zinterpretować jako: „Jesteś idiotą, mój synu“.

Roland wbrew staraniom nie potrafił powstrzymać łez. Cisnął medalion na ziemię i zagrzebał go nogą.

Ojciec podniósł go pospiesznie i otrzepał.

- *Non mais, ęa vapas la tetei* („Zwariowałeś?“) Policzki Rolanda przypominały brzoskwinie na deszczu.

- Dlaczego nie potrafisz się zachować jak przystało na mężczyznę? - spytał ojciec, chodząc dookoła niego. - To dla ciebie zaszczyt, że ci daję ten medalion. Twoja siostra go nie dostanie. Nie jesteś zachwycony?

- Nie dajesz jej medalionu, bo nie chcesz, żeby umarła! Ojciec schwycił go za ramię i potrząsnął nim.

- Nie chcę, żebyś umierał. Chyba że ty sam tego chcesz. Roland wciąż się boczył.

Ruszyli dalej i ojciec zaczął przemowę, której Roland nigdy nie zapomniał.

- Życie to więzienie - powiedział mu ojciec. - Na ogół to przyjemne więzienie i człowiek chce w nim przebywać, ale więzienie staje się jeszcze przyjemniejsze, jeśli drzwi do niego nie są zamknięte na zamek. Dzięki świadomości, że w dowolnej chwili możesz przejść przez te drzwi, twoje życie w więzieniu jest bardziej wolne od lęku i napięcia. I tyle. Dając ten medalion, mówię ci: „Jesteś już dostatecznie duży, synu, abyś mógł samodzielnie podjąć kiedyś decyzję, czy chcesz przejść przez te drzwi”. Słowem, daję ci wolność. Szybki i łatwy dostęp do śmierci sprawia, że jesteśmy bardziej uduchowieni, bardziej światli niż inni ludzie. Mniej podobni do kobiet. Zawsze nosimy przy sobie jakąś perspektywę.

Młody Roland zaczął z niechęcią nosić medalion. I z czasem nauczył się uważać pomysł spontanicznej au-todestrukcji za interesujący.

Po kilku miesiącach nosił medalion na okragło, obecnie zaś, jako dorosły mężczyzna, nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest, psychologicznie, dla reszty populacji, gdy się nie ma tak szybkiego i łatwego dostępu do śmierci. Oczywiście ci wszyscy ludzie mieli jakieś środki do swojej dyspozycji - mogli na przykład wyskakiwać przez okno albo rzucać się pod pociąg metra - ale takie metody były mało skuteczne i melodramatyczne.

- No więc jak? - powtórzył Alan. - Dajesz mi do zrozumienia, że jesteś ode mnie lepszy pod jakimś względem?

- Nie pod jakimś względem. Pod każdym względem

odparł Roland. - Przykro mi, ale nie mogłem dłużej wytrzymać tych bzdur. Jestem pewien, że to rozumiesz. -Wstał. - Proponuję odwołać dzisiejszy mecz. Może jeszcze kiedyś się spotkamy - dodał na odchodnym, gubiąc przy tym niewielki guzik.

Alan jeszcze długo nie wstawał z miejsca. Aż mu ciarki chodziły po skórze, bo w życiu go tak nie obrażono. Przecież między nim a Rolandem wcale nie było aż takiej wielkiej różnicy, dlatego tak strasznie się wkurzył, że na tej ziemi żyje bodaj jedna dusza (czyli dusza Rolanda), która uważa, że ta różnica jednak jest.

W tej chwili nienawidził tej duszy z całego serca.

Zamówił piwo. Kelnerka poprosiła go o dowód tożsamości. Nie wierzył własnym uszom.

- Mam trzydzieści cztery lata - powiedział, ale kelnerki jakby to nie obeszło.

Szukał prawa jazdy w torbie, myśląc sobie: Cóż, może jestem niski, gruby i łysawy, ale przynajmniej wyglądam na mniej niż dwadzieścia jeden lat. Nie znalazł prawa jazdy i nie dostał piwa.

- Wciąż chodzą za tobą. Nie jesteś sam - powiedział bezdomny eks-psychotherapeuta do Rolanda.

- Za tobą też ktoś chodzi - zwrócił się do Lynn. -Zrób sobie przerwę, bierz leki przeciwdepresyjne. Weź się w garść.

- Zapomnij o niej - poradził Alanowi. - Przygarnij zwierzaka, znajdź jakieś hobby, zmień wizerunek, odzyskaj godność.

Poznawaj świat i nabierz perspektywy.

Roland czuł się winny. Wstydził się tego, co powiedział Alanowi, i dziwił się, że Alan wciąż umawia się

z nim na mecze racquetballa. Kiedy jednak próbował przeproszać, Alan nie przyjmował przeprosin i nie chciał mu wybaczyć.

Alan z kolei był dostatecznie bystry, by wiedzieć, że jest na uprzywilejowanej pozycji. Wciąż lekko się dąsał, aż wreszcie znalazł sposób na wykorzystanie tego poczucia winy rywala. Z zadowoleniem nienawidził Rolanda. W rzeczy samej chciał go nienawidzić od początku, ale wtedy to było trudne, bo Francuz na ogół był miły.

W ramach starań o wskrzeszenie ich dawnej przyjaźni -czy cokolwiek to było - Roland poruszył stary temat.

- Szkoda, że nigdy nie opracowaliśmy planu, jak odkuć się na Lynn. Ona bawiła się nami. Teraz my moglibyśmy zabawić się nią. - Roland spojrział z tkliwością na Alana i zdobył się na coś na kształt uśmiechu, wykorzystując do tego mięśnie szyi i oczu. - Jestem pewien, że niezależnie od tego, co jej zrobimy, będziemy mieli z tego niezły ubaw - stwierdził. - Dlatego proponuję to przemyśleć. Pisziesz się na to?

Alan rzeczywiście trochę o tym myślał, przesiadując na swym ulubionym białym fotelu bez poręczy. I ostatecznie opracował plan. A potem się nim napawał, bo plan był doskonały jak na kogoś, kto nie studiował na Harvardzie.

Korzystając z wciąż utrzymującego się poczucia winy Rolanda, przedstawił mu cały koncept i zaraz potem obwieścił, że to jedyne rozwiązanie, w jaki sposób Roland może mu wynagrodzić swoje ohydne zachowanie.

- Nie o takim planie myślałem - zaprotestował Roland ze wstrętem.

- Wiem, że nie - odparł stanowczo Alan.
- Posłuchaj - powiedział Roland. - Udawałeś, że nie widzisz żadnych różnic między nami, i to mnie tak wkurzyło, że w końcu nagadałem ci tych wszystkich głupot, od których z kolei nabawiłem się wyrzutów sumienia. Jeśli to cię teraz bawi, że wykorzystujesz ten fakt, by zmusić mnie do zrobienia czegoś, co jak wiesz, będzie dla mnie koszmarem, to nie ma sprawy. Zrobię z siebie kozła ofiarnego, skoro sobie tak życzysz. Ale potem będziemy kwita.

Roland Dupont wszedł do galerii Lynn, od niechcienia upuszczając guzik. Stał przed Lynn i jej asystentką, które z kolei stały pod pustą ścianą i dyskutowały o niej. Były zdumione pojawieniem się pana Duponta.

- Muszę z panią porozmawiać. Mam propozycję - powiedział do Lynn. - Proponuję, żeby spędziła pani weekend z Alanem, dżentelmenem, który panią wielbi, a w zamian za to ja spędzę weekend z panią.

Lynn nie miała pojęcia, o czym on mówi. Nie wiedziała, kim jest Alan. Znała mnóstwo Alanów, a nie przyszło jej do głowy, że jej prześladowca oraz ofiara jej prześladowań mogliby wzajemnie się znać. I ponadto była zszokowana obrzydliwością propozycji.

- Kim jest Alan? - spytała.

- Dżentelmenem, który panią wielbi.

- Mógłby pan być bardziej konkretny?

- Jest mnóstwo dżentelmenów, którzy ją wielbią - wtrąciła się Patricia.

- Alan jest dżentelmenem, któremu, jak być może pani zauważyła, zdarza się chodzić za panią - wyjaśnił Roland. - To on przysłał pani swoją nagą podobiznę, którą z kolei była pani uprzejma przesłać mnie. Czy pobudzi-

łem pani pamięć? Przysyłał pani liściki podpisane „Alan”, a pani ten podpis wymazywała korektorem. Przysłała mi pani bieliznę, którą on kupił dla pani. Podobnie sprawa się miała z drzewkiem bonzai, kwiatami i ciasteczkami. To prawda, zawsze należy szukać źródeł oszczędności. Wszak namiętność nie musi być kosztowna ani też nie musi karmić się energią mentalną czy kreatywnością.

Lynn z każdą chwilą utwierdzała się coraz mocniej w podejrzeniu, że za ofiarę swych prześladowań wybrała szaleńca.

- Pan zna tego człowieka? - spytała.

- Tak. Alan to mój partner do racquetballa. Przez chwilę tylko gapili się na siebie.

- A tak nawiasem, skąd pani pochodzi? - spytał Roland. - Skoro mamy spędzić z sobą weekend, chciałbym coś wiedzieć o pani.

- Z Long Island - odparła zwięźle.

- Czy w takim razie moja weekendowa oferta panią interesuje? Podczas obu weekendów żadna ze stron nie będzie domagała się seksu. - A kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Wiem, że połowa umowy jest dla pani odstręczająca, ale proszę pomyśleć o drugiej połowie, o weekendzie ze mną.

- Właśnie myślę.

- Ona chciałaby to przetrwać - znowu wtrąciła się Patricia. -

Nieprawdaż, Lynn?

- Prawdaż - potwierdziła Lynn.

Wymienili się wizytówkami i jej ofiara wyszła, gubiąc przy tym spinacz.

- Mam takie nieodparte wrażenie, że terapia oparta na prześladowaniu nie bardzo skutkuje - powiedziała Lynn do Patricii. - Mój stopień odrazy jest wprost... nieziemski.

- Faktycznie wydajesz się blada. Ale on nie jest taki zły, Lynn - zapewniła ją Patricia. - Jest dość przystojny i być może inteligentny. Kto wie, może się okazać mężczyzną z twoich marzeń.
- Nikt nie będzie mężczyzną z moich marzeń, dopóki nie wypowie na głos mojego sekretne imienia - oświadczyła Lynn.
- Jakie znowu sekretne imię? Mówisz o czymś takim jak Rumpelstiltzkin z baśni braci Grimm?
- Chyba tak.
- A co to za imię?
- Nie wolno mi go zdradzić. To jedna z zasad.
- Jakich zasad?
- To zasady jeszcze z dzieciństwa - odparła Lynn, ukrywając twarz w dłoniach.
- Nie dziwię się, to wszystko brzmi dość dziecinnie.
- Nie dziecinnie, tylko romantycznie.
- A jeśli nie zjawi się nikt, kto by wymówił twoje sekretne imię?
- To wtedy będę miała chłopaków, może nawet partnera na całe życie albo męża, ale nie mężczyznę z marzeń.
- Jakie to smutne.
- Może i smutne, ale tak to już jest.
- Twoi prześladowcy wciąż tu są — wyszeptał bezdomny Ray do Rolanda, który akurat przechodził obok.
Zaraz potem Ray przyjął kilka monet od Lynn i na nią też próbował wywrzeć wpływ.
- Działaj społecznie, nawiązuj nowe znajomości, naucz się grać na jakimś instrumencie, nadgon zaległości w lekturach.

Po chwili wsparł go finansowo również Alan.

- Pij osiem szklanek wody dziennie - powiedział do niego. -

Smaruj się kremami z filtrem. Wystaw swoje życie na niebezpieczeństwo, to ci pomoże zmienić punkt widzenia.

Lynn długo zastanawiała się nad ofertą. W nadziei, że kilka dni spędzonych z mężczyzną być może wskrzesi jej ochotę na cokolwiek bardziej skutecznie niż chodzenie za nim po ulicy, zgodziła się w końcu na cały układ, pod warunkiem że najpierw spędzi weekend z Rolandem, a dopiero potem z Alanem. Chciała się przygotować na maksymalne obrzydzenie. Mężczyźni przystali na ten porządek.

Postanowiła się przejść do Bloomingdale'a i kupić wodę kolońską dla Rolanda, wodę, która obudziłaby w niej pożądanie do jego osoby.

Podeszła do lady w dziale z perfumami i zagadnęła stojącego za nią mężczyznę o jakąś powszechnie sprawdzoną męską wodę kolońską. Mężczyzna bez zastanowienia ściągnął z półki jakiś flakon. Bezmiernie ją zirytowało, że nie zapytał, co rozumie przez „powszechnie sprawdzona”. Najwyraźniej chciał jej po prostu coś wcisnąć.

Powąchała otwarty flakon.

- I ona zdziała to, czego po niej oczekuję?

- Tak, proszę pani — odparł sprzedawca, patrząc w inną stronę z ostentacyjnie znudzoną miną.

- A skąd pan wie, czego po niej oczekuję?

- To nieważne, czego konkretnie pani się spodziewa. Ta woda spełni wszystkie pani marzenia. I jego marzenia też.

-A jeśli moje marzenia i jego marzenia nie są takie same? A jeśli wzajemnie się wykluczają?

- Wtedy ten produkt sprawi, że będą współzyskowały bez komplikacji.

- Czy odzyskam pieniądze, jeśli tak się nie stanie?

- Naturalnie, pod warunkiem że nie otworzy pani opakowania i zachowa rachunek.

- W takim razie jak mam ją przetestować bez otwierania zasranego opakowania?

- Słucham?

- Skąd mogę wiedzieć, czy ta woda sprawi, że moje marzenia i jego marzenia będą współzyskowały bez komplikacji, jeśli nie otworzę opakowania?

- Musi pani wierzyć. Jeśli pani otworzy opakowanie i woda nie podziała, będzie to oznaczało, że pani nie miała do niej zaufania i że pani pieniądze przepadły. Ale jeśli pani będzie wierzyć, na pewno podziała.

Lynn poczuła przelotne drgnienie ochoty na coś. Była to jednak ochota na zamordowanie tego sprzedawcy i w związku z tym się nie liczyła.

Zamiast mordować, kupiła wodę kolońską i pełna nienawiści do świata wróciła do domu. Bacznie się sobie przyglądała w tym stanie pełni nienawiści; prawdziwie zły nastrój zawsze ją frapował, nastrój, w którym złościła się na zasobność swojej kieszeni, na stan dywanu, na widok za judaszem w drzwiach, z najrozmaitszych, błahych powodów.

Cztery

Podczas podróży do wiejskiego zajazdu, w sobotni poranek, Lynn okupowała prawy skraj siedzenia pasażera, zachowując jak największy dystans od Rolanda. Wciskała się w drzwi i wyglądała przez okno, zdeglustowana i milcząca.

- W ogóle mnie nie napastujesz - zauważył.

- Zbieram siły - odparła, nie odrywając wzroku od krajobrazu i jednocześnie starając się wykrzesać w sobie choć odrobinę ochoty na Rolanda.

- Ciekawe, jak będzie wyglądał twój weekend z twoim prześladowcą, skoro na mnie reagujesz z takim brakiem entuzjazmu.

Zrobiła się o ton bledsza.

- Proszę, nie rozmawiajmy o nim.

Szukała rozrywki w medytacji. Przymknęła oczy i w jej umyśle wykwitła duża, czarna plama - ogromna kropka, znak przestankowy. I wciąż się gorączkowo zmuszała, by chcieć.

Otworzyła się na pożądanie, na pożądanie wobec Rolanda.

Próbowała polubić brzmienie jego głosu, kiedy do niej przemawiał. Czekala, aż on zrobi coś, co do niej przemówi.

Wszystko jakby na nic. Po policzkach ciekły jej łzy, ale ich nie wycierała, bo

nie chciała, żeby je zauważył. A jednak zauważył, i to szybko.

- Do jasnej cholery, w co ja się wplątałem? Płaczący prześladowca. - Westchnął. - Co się stało?

- Absolutnie nic. Proszę, nie zwracaj na mnie uwagi.

- Bardzo mi przykro, ale nie możesz płakać i mówić: „Proszę, nie zwracaj na mnie uwagi”. To niegrzeczne.

- Ja tylko medytowałam, a czasami, kiedy medytuję, łzawią mi oczy. - Otworzyła torebkę i wyjęła wodę koloń-ską. - Mam dla ciebie prezent.

- Tylko nie to! - jęknął. - Nie będziesz chyba obrzucała mnie prezentami przez cały weekend, prawda?

- Mam tylko to. - Otworzyła flakon i spryskała go wodą.

W tym momencie owładnęła nią fala mdłości.

- Zatrzymaj się! - wrzasnęła.

Roland zatrzymał samochód. Lynn wypełzła na zewnątrz, ale nie była w stanie zwymiotować. Zaczepnęła kilka haustów świeżego powietrza i próbowała się uspokoić.

W końcu wróciła do samochodu. Roland opuścił szybę.

- Ten zapach wcale nie jest taki zły - powiedział i wystukał swój numer na swojej komórce. - Muszę zadzwonić do hotelu i powiedzieć właścicielowi, że się spóźnimy - wyjaśnił. - Chciał znać dokładną godzinę naszego przyjazdu. Zapowiedział, że w przeciwnym razie może go tam nie być i nikt nas nie wpuści.

Dodzwonił się i przekazał, że przyjadą za godzinę.

Lynn zadumała się nad stwierdzeniem Patricii, jakoby Roland mógł się okazać mężczyzną jej życia. Uśmiechnęła się w duchu, przypomniawszy sobie, jak opowiadała asystentce o swoim sekretnym imieniu.

Sama tak naprawdę nie wierzyła w tę historię, ale uważała, że jest romantyczna.

Kiedy miała około sześciu lat, uczestniczyła w przyjęciu urodzinowym swojej koleżanki z Long Island, której bogata rodzina mogła sobie pozwolić na luksus zatrudnienia wróżki, panny Tuttle.

- Czy pani jest prawdziwa? - spytała ją Lynn.

- Nie. Jestem wróżką. Wróżki nie są tak prawdziwe jak ludzie.

- Ja pytam, czy pani jest prawdziwą wróżką? - wyjaśniła zniecierpliwionym głosem Lynn. - Może mi to pani udowodnić?

-Jak?

- Nie wiem. To pani jest wróżką. Powinna pani wiedzieć, jak to udowodnić.

- Dobrze, powiem ci coś, czego nie usłyszysz od nikogo innego. Wymyśl sobie jakieś sekretne imię. To będzie twoje prawdziwe imię. Któregoś dnia zjawi się twój zaczarowany książę i ty go rozpoznasz, bo on to imię wymówi.

- A jakie jest moje sekretne, prawdziwe imię? - spytała Lynn.

- Sama musisz zdecydować: to musi być takie imię, którego nigdy wcześniej nie słyszałaś, imię, które sama wymyślisz. I nie wolno ci go nigdy nikomu zdradzić.

- A ono może być piękne?

- Ależ oczywiście.

Lynn zastanawiała się przez chwilę.

- Czy to może być Dziureczka? - spytała po chwili.

- Nie - odparła wróżka, uznając, że to imię brzmi odrobinę pornograficznie. Nie chciała, by ją oskarżano, że ma zły wpływ na dzieci.

- Dlaczego nie?

- Bo właśnie mi je zdradziłaś. Powiedziałam ci, że nie możesz go nikomu zdradzić. Łącznie ze mną. Prawdę mówiąc, nie wolno ci go nigdy wymówić na głos, nawet na własny użytek, nawet nie szeptem. Możesz je wymówić tylko w głowie.

I takim sposobem Lynn wybrała w głowie Ariellę.

Dopiero kiedy dorosła, zrozumiała, że panna Tuttle prawdopodobnie nie znosiła mężczyzn oraz miłości i że dała Lynn sekretne przesłanie, które brzmiało: nie istnieje żaden z czarowany książę; z czarowany książę jest równie nieprawdziwy jak wróżki.

Bo gdzie, kiedy i jak miałyby Lynn spotkać mężczyznę, który wymówiłby jej sekretne imię - imię, które sobie wymyśliła, kiedy miała sześć lat?

Lynn dowiedziała się później, że miss Tuttle, posępna wróżka, pracowała także w pobliskim miasteczku Cross jako fryzjerka. Lynn i Roland nie zastali nikogo, kiedy weszli do hoteliku. Na ladzie recepcji leżały dwa klucze i list o treści: „Do Rolanda Duponta i jego gościa: Gdybym nie zdążył wrócić, idźcie prosto do swoich pokoi - Max, właściciel”.

Weszli na górę. Lynn wzięła klucz od pokoju numer sześć, a Roland - siedem. Drzwi szóstki nie były oznakowane tak jak inne, ale ponieważ były to jedyne drzwi między numerem piątym i siódmym, Lynn uznała, że to są te właściwe.

Wsunęła klucz do dziurki w zamku, ale drzwi ustąpiły same.

W pokoju znajdowała się para ludzi, którzy uprawia-

li seks i jednocześnie gawędzili o pogodzie. Nie od razu zauważyli Lynn i dzięki temu mogła posłyszeć, o czym rozmawiają.

Kobieta leżała na plecach, na biurku, a mężczyzna stał między jej nogami. Mężczyzna zauważył Lynn pierwszy i najpierw skamieniał, a zaraz potem poczerwieniał i zamrugał gwałtownie. Lynn zrobiła krok w tył, coś jękając.

Mężczyzna wyszedł z kobiety i zaczął wylewnie przeproszać.

- O mój Boże, tak mi głupio. Jesteście moimi nowymi gośćmi? Roland przyłączył się do Lynn na progu i teraz oboje sterczeli tam oniemiał, gdy tymczasem mężczyzna porwał koszulę z podłogi i owinał się nią w pasie. Naga kobieta wstała z biurka i schowała się za nim.

- Z całego serca przeproszam - powiedział tamten do Lynn i Rolanda - za tę nad wyraz żenującą sytuację. Niemniej fakt jest taki, że pani się pomyliła. Na pani kluczu jest numer sześć. A to jest pokój numer osiem.

- Pokój numer osiem? Przecież znajduje się między numerem piątym i siódmym! Gdzie w takim razie jest numer szósty? - spytała Lynn.

- W głębi korytarza. Pokoje nie są ponumerowane po kolei. To zwykły zajazd - wyjaśnił mężczyzna.

- Kim pan jest? - spytał Roland.

- Nazywam się Max, jestem właścicielem tego przybytku. Może pójdziecie do swoich pokoi i rozgościcie się, a ja zaraz do was przyjdę, tylko się najpierw doprowadzę do porządku.

Zaszedł do nich kilka minut później.

- Cieszę się z waszego przyjazdu. Wreszcie jacyś in-

teresujący ludzie, moje wybawienie! Los mi nie sprzyjał ostatnimi czasy, jeśli idzie o gości, przyjeżdżają sami burżuje. Oni tymczasem nie odrywali wzroku od sącza naszytego na krocze w jego spodniach. Mężczyzna ujął dłoń Lynn, ucałował ją. - Czuję się zaszczycony - powiedział i skłonił się nisko, zamiatając podłogę koronkowymi mankietami.

Lynn przyjrzała mu się uważnie. Na oko dobiegał trzydziestki, był wyższy od Rolanda. A także lepiej zbudowany, przystojniejszy i do tego miał długie włosy; Lynn lubiła takie u mężczyzn. A jednak pod względem ubrania, manier i sposobu wysławiania się nie był wcale taki atrakcyjny jak Roland, który z kolei sam nie był zbyt atrakcyjny.

- A propos, telefonował niejaki Simon Peach. Prosił, żeby pan oddzwonił - powiedział Max do Rolanda. Odwrócił się do wyjścia, dodając jeszcze: - Gdyby państwo czegoś potrzebowali, wystarczy przywołać mnie w myślach. Mam dar postrzegania pozazmysłowego.

„Simon Peach” to był pseudonim Alana. Alan powiedział Rolandowi, że będzie używał pseudonimu, bo chce zachować prawo dzwonięcia do zajazdu tak często, jak mu się będzie podobało, nie ośmieszając się w oczach Lynn ani nie wzbudzając jej podejrzeń, że jest ogarnięty jakąś większą obsesją, niż zademonstrował codziennymi dawkami prześladowań.

Roland obiecał Alanowi, że zadzwoni do niego, gdy tylko przyjadą na miejsce, ale widok nagiego Maksa przypomniał mu nagiego Alana ze zdjęcia i teraz już nie miał ochoty do niego dzwonić. Razem z Lynn rozgościli

się w swoich pokojach, a potem postanowili przejść się na spacer. Uznał, że do Alana może zadzwonić później.

Już mieli wyjść, kiedy pojawił się jakiś mały człowieczek; oświadczył, że chce z nimi porozmawiać. Wszyscy troje poszli do pokoju Rolanda.

- Nazywam się Charles, jestem asystentem właściciela i chciałem tylko przeprosić za tamto niefortunne zdarzenie, kiedy to nadziali się państwo na Maksa uprawiającego seks.

- O tak, mieliśmy pecha - zgodził się Roland.

- Ale to nie był zbieg okoliczności. Maksa to strasznie podnieca, kiedy ludzie go przyłapują. Jest, można rzec, ekshibicjonistą. Kiedy go przyłapują, robi się bardzo czerwony, czym się autentycznie rozkoszuje. I całe zdarzenie jest drobiazgowo reżyserowane. Rzecz jasna, Max oddaje się tej ulubionej rozrywce dość rzadko, gdyż mogłaby się negatywnie odbić na jego interesach.

- Dlaczego mówi nam pan to wszystko? - spytała Lynn.

- Bo to nieodłączny element tej rozrywki, że się to wszystko później ujawnia jego gościom, na wypadek gdyby sami się nie domyślili.

- Ale czy nie poczuje się niezręcznie, gdy teraz będzie się nami zajmował?

- Nie, Max byłby urzeczony, gdyby czuł się niezręcznie, ale niestety, przepelniające go zawstydzenie bardzo szybko blednie. Nadzwyczaj je ceni, ale doświadcza go tylko przelotnie.

- Aż taki jest znudzony? - spytała Lynn.

-A także nieczuły. I zblazowany - odparł człowieczek. - Często opisywał mi przyjemność, jaką czerpie

z zawstydzenia. To wrażenie fizyczne, niemalże takie, jakby się narkotyzował. Rumieńcom na twarzy towarzyszy jednocześnie uczucie wrzenia krwi i swędzenia w cebulkach włosów. Do tego jeszcze rozszerzają mu się pory, a całe ciało oblewają fale ciepła, w niesamowitym tempie. Natychmiast przestaje odczuwać jakikolwiek ból. I postrzega też siebie jako osobę bardziej atrakcyjną, zarówno fizycznie, jak i osobowościowo. Max uważa zawstydzonych ludzi za obdarzonych niezwykłym wdziękiem. Zazdrości im. Jego zdaniem zażenowanie ujawnia czystość, niewinność, a często nawet dobroć.

- A jeśli my teraz czujemy się zbrukani? - powiedział Roland. - I wykorzystani? Seksualnie molestowani, nękanii? A jeśli pozwiemy go do sądu?

- Przecież ja mogę być szalony. Wszystko, co powiedziałem, może być kłamstwem. Nie uważacie, że już tutaj sprokurowaliśmy jakieś dowody na moje szaleństwo? - odparł Charles i wyszedł.

Roland i Lynn chwilę debatowali, czy powinni zostać w tym zajeździe, ale byli zbyt rozleniwieni, żeby szukać innego. Poszli do ogrodu, popatrzyli na staw, a potem wyprawili się na spacer. Szli w milczeniu uroczą polną dróżką. Roland zgubił monetę. Jako że nie mieli sobie nic do powiedzenia, Lynn postanowiła zadać mu kilka pytań na temat jej prześladowcy, Alana. Spytała, jakim on jest typem faceta. Roland zdradził, że Alan pochodzi z Long Island.

- To tak jak ja. Wiesz może z jakiego miasta? - spytała Lynn.

- Oczywiście, że nie. Co ci się we mnie podoba? - spytał Roland, zmęczony tematem.

Dla Lynn było to trudne pytanie, bo nic jej się w nim nie podobało.

Przed wypowiedzeniem zbyt wielu kłamstw uratował ją zajęc, który przebiegł przez drogę. Zrobiła kilka kroków jego śladem.

- O! Królik! - zawołała.

Roland poczuł niesmak, że Lynn demonstruje swoje tendencje prześladowcze nawet tutaj, na łonie natury, więc poprosił, żeby zechciała się pohamować.

- Czy ty naprawdę musisz napastować wszystko, co się da? - dodał.

Wyczuła odrazę w jego głosie i to obudziło w niej całkiem interesujące uczucie, choć nie była pewna, co to za uczucie. Niewykluczone, że załazek podniecenia. Natychmiast się go uczepiła.

- Czy to ci ani trochę nie schlebia, że się tobą interesuję? - spytała.

- Nie. Ani trochę.

- Czemu nie?

- Bo wcale mi się nie podobasz.

- Naprawdę? - spytała. Pochłonięta swoim brakiem

zainteresowania jego osobą, zapomniała, że on rzekomo też się nią nie interesował i że zmuszał się, by spędzić z nią ten weekend na rzecz swojego przyjaciela Alana. A jednak wydawał się teraz bardziej godny zainteresowania. Zaczęła gapić się na jego profil.

- Jesteś tego pewien czy tylko tak mówisz?

Spojrzał na nią zaskoczony.

-Jestem pewien. W życiu, przez milion lat, nie zwróciłbym na ciebie uwagi w kontekście uczuciowym. Ten weekend to kompletna strata czasu, jestem absolutnie pewien.

Przyglądała mu się badawczo i sondowała, czatując na dalsze zmiany.

- Możesz być bardziej konkretny? - poprosiła. - Wymień listę względów. I powiedz mi jak bardzo.

- Jakich znowu względów?

- Względów, pod jakimi ci nie pasuję. I jak bardzo.

- A po co? Jesteś masochistką? Dobre pytanie. Musiała to przemyśleć.

- Chyba nie - odparła tymczasem. - Jestem po prostu ciekawa. Nie bądź taki, powiedz mi.

- No cóż, przede wszystkim naprzykrzasz mi się. -To się nie liczy. Zakładam, że istnieją prawdziwe powody, dla których nie mógłbyś się mną zainteresować w innych okolicznościach, gdybym wcale cię nie prześladowała. Spojrzał na nią.

- Święte słowa.

- Więc jakie to powody?

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Odstreczasz mnie, tak w skrócie.

- A czy jest coś we mnie, co cię nie odstręcza? - spytała, starając się, by to zabrzmiało zdawkowo.

Zaśmiał się, jakby kichnął. Albo jakby dopadły go drgawki.

- Właściwie to nie - odparł takim tonem, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił. Po chwili dodał: - A dlaczego tak się na mnie gapisz?

- Bo właściwie to jesteś całkiem niczego sobie.

- Zakładam, że nie prześladowałabyś mnie, gdybym ci się nie podobał.

Szli dalej; Lynn pograżyła się w milczeniu, którego Roland nie starał się przerwać. Nie mogła się oprzeć wraże-

niu, że chyba wychwyciła w sobie słabe drgnienia ochoty na coś, ale tłamsiła w sobie nadzieję, że się nie myli. Lecz fakt, jego odraza była taka materialna. Taka orzeźwiająca i stymulująca. Roland zaczął prawie jakieś komunały na temat krajobrazu. I co z tego, że był banalny - nie chciał jej i to się właśnie liczyło. Mało tego, jakby nic z tym nie mogła zrobić.

- Wydajesz się dziwnie z siebie zadowolona - stwierdził.

Uśmiechnęła się szeroko. W jej głowie kołatało się pytanie: „Ciekawe, jak bym zareagowała, gdyby zaczął się do mnie dobierać”. Ale oczywiście za żadne skarby nie mógł tego zrobić, dopóki uważał, że ona jest jego prześladowcą. W którymś momencie będzie musiała jakoś go wyprowadzić z błędu. A może nie. Nie wiedzieć czemu przestała odczuwać podniecenie, zupełnie znienacka. Spojrzała na niego. Stracił ten lekki urok, który na moment zyskał.

Z kolei w mieście Alan był bliski wymiotów na myśl o Rolandzie i Lynn spędzających wspólnie czas. Był wdzięczny, że Roland zgodził się pogadać z Lynn w jego imieniu i że zaaranżował tę weekendową wymianę, tylko dlaczego nie dzwonił, choć obiecał?

Starał się czymś zająć, pokonał siedemnaście pięter swego budynku, sprawdzając wyjścia na klatkę schodową, po czym powędrował do ulubionego sklepu ze zdrową żywnością, by kupić sobie jakieś antystresowe ziółka, które miały mu pomóc przetrwać ten weekend.

Lynn i Roland zjedli lunch w sali jadalnej hoteliku. W oczekiwaniu, aż przyniosą im karty, rozglądali się dookoła, dlatego oczywiście zauważyli mężczyznę i kobietę

siedzących przy innym stoliku, ale nie dostrzegli żadnych oznak przesadnej burżuazyjności czy czegokolwiek odbiegającego od normy. Tak czy owak czuli się, chcąc nie chcąc, dowartościowani tym, że Max uznał ich za lepszych od tamtej pary, nawet jeśli był szaleńcem, nawet jeśli kłamał. Trudno było nie poczuć się dowartościowanym, kiedy się słyszało komplementy, i to w dwójnasób, gdy owe komplementy wносиły cię ponad innych ludzi, albo wręcz w trójnasób, gdy powód owego wynoszenia nie był wcale taki oczywisty.

Nie przyniesiono im kart; Max nie zatrudniał kelnerów.

Osobiście też usmażył swym gościom omlety z pieczarkami.

Niespodziewanie przysiadł się do Lynn i Rolanda.

- No to kim jesteście, ludziska? - spytał, rozsiadając się niedbale na krześle i wspierając na łokciu.

- Och, po prostu przyjechaliśmy na weekend, żeby odetchnąć - odpowiedział Roland.

Max podał się do przodu i położył ręce na ich ramionach.

- Jesteście kochankami, dzieciaczki? - spytał.

- Nie - odparł Roland.

- Mógłbym to naprawić. Oczywiście gdybyście chcieli.

- Hm... przemyślimy to - obiecała Lynn.

- Dysponuję metodami i instrumentami, które mogłyby zapoczątkować zmianę, na wypadek gdybyście zmienili zdanie.

No to co was łączy? - spytał Max. - Jesteście krewnymi? Randka w ciemno?

- Nie - odrzekł Roland.

Lynn zauważyła, że skromnie spuścił wzrok.

- Ona jest twoją sekretarką? Pielęgniarką? - dopytywał się Max.

-Ja go prześladuję - odparła Lynn, zirytowana jego seksizmem. - Łaskawie zgodził się dać mi szansę.

- Naprawdę? - zdziwił się Max. - A ja jestem dziedzicem. Moim zdaniem dobrze mówić takie rzeczy bez ogródek.

Wytrzeszczyli oczy.

- Moi rodzice znali się z klanem Kennedych i Trumanem Capote'em - ciągnął. - Dorastałem w splendorach, a teraz pracuję w tej zapyziałej norze.

- A to czemu? - zainteresowała się Lynn.

- Bo ja i rodzice mamy z sobą na pieńku, ot, taka waśń w bogatej rodzinie. Sami wiecie, jak to bywa w dynastycznych rodach. W tym momencie Max został odwołany od ich stolika przez drugą parę.

- To jest weekend z piekła rodem - stwierdził Roland, skupiając się na jedzeniu.

- Czemu tak mówisz?

- Znajduję się w towarzystwie ludzi, których ledwie potrafię znieść - odparł, starannie ważąc słowa.

- Masz na myśli mnie i jego? -Uhm.

- Naprawdę tak cię odstręczam?

- Naprawdę.

Uśmiechnęła się. Czowała, że odrobinę topnieje, i nagle przypomniała jej się opowieść asystenta o rozkoszy, jaką Max czerpał z zawstydzenia. Sama czowała się teraz tak samo, jej pory rozszerzały się, przenikało ją ciepło, zniecka przestała odczuwać jakikolwiek ból. Co to jeszcze mogło być, jak nie zaawansowany masochizm? Wiedziała, że musi zadać sobie pytanie, dlaczego uznała odrzucenie za coś nęcącego, i próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ją odrzucono.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała cicho. - Co?
- Ja taka wcale nie jestem. Zmuszałam się, żeby cię prześladować.

- I bardzo dobrze - odparł, wyraźnie jej nie dowierzając. - W takim razie możemy zakończyć ten weekend już teraz i wrócić do domu.

- Nie, to nie jest takie proste. Nie mam ochoty ani na nic, ani na nikogo, dlatego więc wybrałam cię, żeby mieć na kim poćwiczyć. Chcę cię chcieć.

Westchnął i położył serwetkę obok swojego talerza. Powiedział, że idzie do swojego pokoju odpocząć.

Alan osiągnął stan najwyższego niepokoju. Roland wciąż nie dzwonił. Starał się o tym nie myśleć, zajmując się przygotowaniami do własnego weekendu z Lynn. Zaczął szukać zagubionego prawa jazdy, bo nie chciał się wydać niemęski w jej oczach, prosząc, by zasiadła za kierownicą. Po dwudziestu minutach poszukiwań stwierdził, że ma na głowie ważniejsze problemy. Opracował plan weekendu ze wszelkimi szczegółami. Zrobił listę tematów do rozmowy. Kupił trochę ubrań, w których wyglądał korzystnie. Przeprowadził wywiad na temat fryzjerów. Poszedł na siłownię.

Ale to wszystko nie wystarczało. Nie zasługiwałyby na nią, gdyby nie zrobił czegoś więcej, by nadrobić swoje niedoskonałości.

Ściągnij na siebie więcej kłopotów, powiedział sobie, ale nie był pewien, czy jakieś inne kłopoty są jeszcze osiągalne.

Nieco później Roland zaproponował kolejny spacer. Kupił chleb, by mieli czym karmić wiewiórki. Minęło już

wpół do szóstej, powietrze było przyjemnie chłodne. Ich głosy brzmiały nienaturalnie głośno na tle wiejskiej głuszy.

Lynn była ubrana w kremową bluzkę i spódniczkę z brązowego zamszu. Roland musiał przyznać, że jest pociągająca. Nie rozumiał, dlaczego go prześladowała, nie żeby sam nie był pociągający czy też żeby pociągające kobiety nie prześladowały, a jednak coś w tym wszystkim się nie zgadzało.

- Nabierałaś mnie, mówiąc, że się zmuszałaś, żeby mnie prześladować, prawda? - spytał.

- Bardzo żałuję, ale nie - odparła Lynn. - Prześladowanie ciebie to koszmar. Nie wiem, jak Alanowi udaje się prześladować mnie z taką energią.

- Posłuchaj, nie wiem, czy to, co mówisz, jest prawdą, ale z pewnością brzmi dziwacznie. Widzisz, może nawet byś mi się spodobała, gdybyśmy się poznali w jakichś innych okolicznościach.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci tego samego. Nigdy byś mi się nie spodobał, niezależnie od okoliczności. - Umilkła i po chwili dodała: - Ani ty, ani nikt inny, ma się rozumieć. Nie zawsze to mówię, bo to zbytek słów.

- Moim zdaniem powinnaś to mówić, nawet jeśli to zbytek słów.

- Niech ci będzie.

Usiedli na ławce. Lynn wypatrywała wiewiórek.

Z krzaków wychynął mały, spiczasty ryjek. Szop pracz. Rzuciła mu chleb, niezbyt daleko od siebie, bo chciała go przywabić.

Udało jej się.

- Nie powinnaś karmić tego zwierzaka - powiedział Roland. - To podstępna gadzina.

- Absolutnie się nie zgadzam - zaprotestowała Lynn, dalej karmiąc i wabiąc szopa.
- Nawet się nie starasz mnie polubić. Dlaczego w ogóle przyjechałaś na ten weekend?
- A właśnie, że się staram - odparła. Roland spróbował innej taktyki.
- Jestem głodny. Chciałbym zjeść twój chleb. Proszę, daj mi go.
- Nie zostało mi już prawie nic.
- Wolisz dawać chleb jakiemuś zwierzakowi zamiast głodnemu człowiekowi?
- A żebyś wiedział.

Lynn nie przestawała karmić szopa. O ileż bardziej bawiło ją obłaskawianie niż prześladowanie. Niewykluczone, że ludzie dzielą się na dwa typy: poskromiciele i prześladowców. Ona była poskromicielem, ewidentnie. Poskramianie zaliczało się do czynności o ileż bardziej oświeconych. Prześladowanie natomiast do tych animalistycznych. Jak jedzenie. Jak seks.

- Może być chory na wściekliznę - stwierdził Roland, patrząc na szopa, który znajdował się w odległości stopy od nogi Lynn. - Lepiej uważaj.

W tym momencie szop jadł jej już z ręki. Ten widok napawał ją dziwnym smutkiem, że to właśnie na takiej płaszczyźnie wszystko może się wydawać właściwe i dobre. Byłaby gotowa zabić Rolanda, gdyby się ważył zepsuć tę słodką chwilę.

Nie zrobił jej tego.

A szop ją ugryzł.

Gwałtownie zabrała dłoń, odprowadzając zaszokowanym spojrzeniem umykające w krzaki zwierzę. Ugryzło ją zupełnie zniecka, durne bydlę.

- Leci ci krew? - spytał Roland.

- Owszem.

Kiedy szli z powrotem do hotelu, żeby odszukać Maksa, Roland ukradkiem upuścił na ziemię guzik.

- Mówiłem ci, że to mnie trzeba nakarmić tym chlebem. Ja bym cię nie ugryzł.

-Był tu już jeden przypadek w tych okolicach, że ktoś" złapał wściekliznę od szopa - poinformował ich Max. -Jedynym sposobem na stwierdzenie, czy ktoś ma wściekliznę, jest autopsja. W razie wątpliwości należy przyjąć sześć zastrzyków w ciągu miesiąca. Czy ten szop był agresywny? Albo dziwnie przyjazny? Podszedł do was bez strachu?

- Nie, trochę się bał. Dopiero po jakimś czasie zaczął mi jeść z ręki.

- To dobry znak. Ale nadal uważam, że powinnaś iść w poniedziałek do lekarza. Objawy rzadko kiedy występują przed upływem dwóch tygodni, ale jeśli będziesz czekać, to żadne leczenie nie będzie skuteczne i umrzesz.

- A jakie są symptomy? - spytał Roland.

- Skłonność do irytacji, bóle głowy, gorączka, skurcze mięśni krtani, na koniec konwulsje i delirium. Ta dziewczyna, która umarła na wściekliznę, miała to wszystko. Śmierć jest bardzo bolesna. I oczywiście choroba jest zaraźliwa. - Max spojrzał na Lynn. - Jeśli zaczniesz zachowywać się dziwnie, będę musiał cię uśpić.

- To znaczy zabić mnie? - spytała Lynn.

- Jeśli nie będę widział alternatywy...

- To niedorzeczne.

-Po prostu nie zachowuj się dziwnie.

Wszyscy troje gapili się na siebie przez kilka sekund.

- Simon Peach znowu dzwonił - powiedział Max do

Rolanda. - Chciał wiedzieć, czy ci przekazano pierwszą wiadomość.

Podczas kolacji Lynn miała nieobecną, zaabsorbowaną minę. Próbowwała wykryć w sobie uczucia charakterystyczne dla wściekizny, skłonność do agresji. Martwiła się, że się ślini bardziej niż zazwyczaj. I czuła dziwny pociąg do swojego noża. Poskarżyła się na to wszystko Rolandowi, który starał się rozproszyć jej zmartwienia. A żeby się to udało, najlepiej podsunąć takiej osobie inne zmartwienia. Tak więc Roland rozmawiał z nią o jej braku ochoty na cokolwiek, o tym, jakie to musiało być nieprzyjemne i pewnie nadal jest. Niebawem przestała się skarżyć na dziwny pociąg do noży.

Max przygotował dla nich wegetariańską lazanię. Przysiadł się do nich na kilka minut, adresując swoje słowa do Rolanda, a patrząc na Lynn.

- Wcześniej wspomniała, że cię prześladowuje. Wiem, że pewnie nie mam racji, ale ja zazwyczaj przyrównuję prześladowcę do płatnej dziwki.

Lynn i Roland spojrzeli na Maksa, przekonani, że jest kompletnie nienormalny.

- Lynn mnie prześladowuje - zaczął jej bronić Roland -nie dlatego że mnie pożąda, tylko dlatego że właśnie ani trochę mnie nie pragnie.

- Nieważne - stwierdził Max, kiwając głową, i znów spojrzął na Lynn. - Prawdopodobnie dlatego przyrównuję prześladowców do płatnych dziwek, bo zakładam, że oni rozpaczliwie łakną seksu. Tak więc w pewnym momencie, jeśli przypadkiem powiem do ciebie: „Czy raczysz usiąść na moim kutasie?”, proszę, nie bierz tego do siebie.

Powiedziałbym to do każdej prześladowanej kobiety, która nie zalicza się do moich osobistych prześladowców. Och, jak pewnie zauważyliście, noszę sącdek, ale nie powinniście się tym przerażać. Fakt, mam większego penisa niż większość mężczyzn, zwłaszcza w tych okolicach, ale nie aż tak wielkiego, jak moglibyście to sobie wyobrażać na podstawie rozmiarów sącza.

- To jakiś występ artystyczny, którym zabawiasz swoich gości? - spytał Roland.

- A teraz to już mnie obraziłeś.

- Ty obrażony!

Max przytaknął, a kiedy nikt się nie odezwał, wstał z miejsca.

- Nie ma sprawy, jakoś sobie z tym poradzę. - I poszedł sobie.

Lynn zastanawiała się, czy jej irytacja na Maksa to oznaka wściekliwości. A może normalna, zdrowa, niewściekła kobieta ma prawo tak się właśnie wkurzać.

- Czy szaleństwo owłada człowiekiem nagle czy stopniowo? - zastanawiała się później w rozmowie z Rolandem. - Interesuje mnie, czy człowiek ma czas, by to sobie uświadomić?

Po kolacji powiedzieli sobie dobranoc i wycofali do swoich pokoi. Roland zadzwonił do Alana, który natychmiast podniósł słuchawkę.

- Nie zadzwoniłeś do mnie! - zawył Alan, głosem zabarwionym histerią.

- Przepraszam, nie wyszło, choć od rana mam taki zamiar - odparł Roland.

- Byłeś nieatrakcyjny? - spytał Alan.

- Chyba tak.

- Nosileś tę ohydłą koszulę, którą mi pokazałeś?
 - Jeszcze nie.
 - Błagam, włóż ją. Byłeś napastliwy?
 - Uhm. Chyba tak.
 - To znaczy jak? Co powiedziałeś?
 - Hm, kiedy poszliśmy na spacer, skrytykowałem ją za to, że ugania się za zającem. Powiedziałem jej, że powinna tłumić swoje instynkty prześladowcze.
 - Ach! No co ty powiesz! Uganiała się za zającem? Jakie to słodkie!
 - Uhu.
 - Co znaczy „Uhu”?
 - No, że zgadzam się z tobą.
 - Czyżby?
 - Tak. Do czego zmierzasz?
 - Godzisz się ze mną, że Lynn jest słodka, bo ugania się za zającem.
 - Chyba tak, ale się źle wyraziłem. Tak do końca nie uważam, że to słodkie. Zareagowałem automatycznie.
 - Tak do końca nie uważasz, że to słodkie... A jednak to i tak bardziej pozytywne w porównaniu z tym, co czułeś wobec niej wcześniej. Przedtem uważałeś ją za odrażającą.
 - Złośliwie się czepiasz.
 - Zakochałeś się w niej?
 - Ależ skąd! - odparł Roland, z naciskiem i oburzeniem. Alanowi od razu zrobiło się lepiej. -Jak ja bym chciał być na twoim miejscu, chłopie. Być z nią teraz - powiedział.
- Rozłączyli się i Roland położył się do łóżka.

Przy śniadaniu Roland jakby się boczył. Lynn nie wypytywała o powód, miała własne problemy. Pod koniec posiłku Roland nagle przerwał milczenie.

- Pomogę ci mnie polubić. Możemy oboje nad tym pracować. Powiedz mi, co mam robić, i ja to zrobię. Co lubisz w facetach? Lynn odwróciła wzrok od okna jadalni.

- Myślę, że powinniśmy uwiesić się Maksa - powiedziała po kilku sekundach.

- Co? Dlaczego?

- Bo jesteś dla mnie jakby bardziej pociągający, kiedy on jest w pobliżu.

Roland zmarszczył brwi.

- Ze niby w porównaniu?

- Tak. On cię ulepsza. — Powiedziała to, bo po części była to prawda, a poza tym nie chciała, by Roland się dowiedział, że stawał się bardziej pociągający przede wszystkim wtedy, gdy reagował na nią z odrazą.

Odszukali Maksa i poprosili go, żeby razem z nimi wypił herbatę w bawialni. Max przyniósł herbatę i ciasteczka; wydawał się rad z ich towarzystwa. Już mieli zasypać go pytaniami, które mogły uaktywnić jego odrażającą naturę, ale odezwał się pierwszy i od razu wiedzieli, że nie muszą go o nic pytać.

- Moim zdaniem w życiu nie spotkasz kobiety, którą ktoś by porządnie posuwał w zamian za to, że ona go prześladowa - powiedział, zwracając się do Lynn. - A to z kolei nasuwa mi pomysł, który zawiera rozwiązanie potencjalnie korzystne dla nas wszystkich. Otóż mogłabyś obsługiwać mężczyzn, którzy zatrzymują się w tym hotelu, za co oni wnosiliby skromne opłaty, którymi następnie byśmy się dzielili. Dla ciebie to niezły układ, bo nie

tylko miałybyś pieniądze, ale także seks, i to za darmo.

Mężczyźni nie musieliby wiedzieć, że w rzeczy samej to oni dogadzają tobie, a nie ty im. Zastanów się nad tym. -Spojrzał na Rolanda i dodał: - Jestem pewien, że przy odrobinie perswazji ona zadowoliliby każdego mężczyznę w tym hotelu. Wystarczy ją lekko tylko szturchnąć i popchnąć.

Lynn zerknęła na Rolanda. Zaiste, zyskiwał w porównaniu.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, przy czym uśmiech Rolanda przypominał zezowanie.

Podwieczorek dobiegł końca i Roland uwierzył, że uzyskali to, czego chcieli: jego atrakcyjność urosła w oczach Lynn. Nic do siebie nie mówiąc, poszli na górę, do pokoju Lynn, razem z tym skarbem. Już mieli umościć się wygodnie i obadać go, kiedy Lynn oświadczyła, że nic z tego. Skarb zniknął, powiedziała, gdy tylko właściciel zajazdu ich opuścił.

Roland sposepniał. Musiało istnieć jakieś inne rozwiązanie.

-A gdybyśmy tak zdobyli zdjęcie Maksa, na które mogłabyś raz po raz zerkać podczas naszych rozmów? Zbyła to milczeniem.

- Albo zdjęcia mnóstwa innych ohydnych ludzi, które mogłabyś układać obok mnie podczas rozmowy? - proponował.

W tym momencie podobał jej się bardziej niż kiedykolwiek, co było jednak niezbyt zrozumiałe, bo w jego słowach nie słyszało się odrazy wobec jej osoby. Tak czy owak, postanowiła iść za głosem instynktu.

- Mógłbyś wygłosić parę innych tekstów tego typu? - spytała.

- Na przykład jakich?

- No sama nie wiem. Ale jeśli wymyślisz cos' podobnego, powiedz to. Tamte były pieszczotliwe, wielkoduszne i wzruszające.
- Okay. Muszę to sobie zapamiętać. Pieszczotliwe, wielkoduszne i wzruszające.
- Znowu to robisz - zauważyła Lynn ze zdumieniem. -Co?
- Jesteś' pociągający. Zrobiłeś właśnie coś, za co można cię lubić.
- Masz na myśli to, że próbowałem zapamiętać twoje słowa?
- I to też! -Co?
- To, co właśnie powiedziałaś. Kiedy powiedziałaś: „Masz na myśli to, że próbowałem zapamiętać twoje słowar
- To było pociągające?
- I to też, w pewnym sensie!
- Chcesz powiedzieć, że jestem pociągający?
- Otóż to.
- Bomba.
- Nie inaczej. - Przytaknęła. Oboje się zmieszali.
- Może ostatecznie nie będziemy potrzebowali cudzych zdjęć - powiedział.
- Nie bądźmy zbyt pochopni. - Urwała. - Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt wielki... cios, ale obawiam się, że znów straciłeś swoją atrakcyjność. Albo że ja ją zgubiłam. Już jej nie widzę. Zamrugał.
- Nie ma sprawy. Może wróci.
- Wróciła. Chyba.

Uśmiechnął się, tym razem nie z podnieceniem, ale niemalże ze smutkiem. Udało mu się to dzięki zmarszczeniu nosa.

- O tak, wróciła - powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo. -
Widzę ją.

- Nie ośmielę się poruszyć. Nie ośmielę się przemówić. Nie chcę, by odeszła.

- Nadal tu jest. - Zaczęła zbliżać się do niego powoli, jakby podchodziła dzikie zwierzę. Za nic nie chciała odstraszyć jego atrakcyjności.

- Nadal tu jest? - wyszeptał, ledwie ruszając wargami, kiedy stanęła bliżej.

- Tak - odpowiedziała również szeptem, niemalże niesłyszalnie. Chciała jej tylko dotknąć, zanim się znów ulotni. Tylko dotknąć. Wyciągnęła rękę w stronę jego twarzy i znieruchomiała.

Tymczasem atrakcyjność nieznacznie zrej-terowała, mimo że sam Roland nawet nie drgnął. Lynn była wstrząśnięta tym dowodem swojego szaleństwa. A może to wścieklizna? - poraziła ją nagła myśl. I zaraz w nią zwątpiła, to wszystko przypominało zwyczajne szaleństwo jej własnej marki.

Po chwili znów zobaczyła atrakcyjność Rolanda, w całej krasie, i z powrotem uruchomiła rękę. Dotknęła jej. Naprawdę tam była. Przyjrzała jej się z bliska, z boku.

- Jesteś pociągający - stwierdziła. Poruszył samymi źrenicami.

- Nie, nie patrz - powiedziała. - Przedtem było lepiej.

Odwrócił wzrok.

- Tak, teraz ją widzę. Widzę! - Pocałowała go w policzek. Czuła ją. Widziała.

Było najlepiej, gdy trwał w bezruchu. To minimalizowało ryzyko, że atrakcyjność mogłaby zniknąć. I Lynn zabrała się do jej poskramiania. Całowała go coraz bliżej ust, aż wreszcie dotarła do ich kącika. Bała się pocałować je same.

- Ona tu jest. I nie wiem, czy powinnam ryzykować, że ją odstraszę - powiedziała.

Nic nie powiedział. Zebrała się na odwagę i pocałowała go lekko w usta. Spojrzała mu w oczy. Były szkliste, patrzyły w dal. Dobrze. I jego włosy też były ładne. Przekrzywiła głowę, przyglądając się jego twarzy, rozkoszując się tym lekkim, a jednak zdecydowanym podziwem dla Rolanda. A przecież podziw to niemal to samo co pożądanie. Chciała, żeby odwzajemnił pocałunek, a jednak nie odważyła się poprosić, bała się, że to zwierzę jej ucieknie.

Zaczął odwzajemniać jej pocałunki z własnej woli i atrakcyjność wcale nie uciekła; czuła jej obecność, mimo że miała zamknięte oczy. I nie tylko tam była; nieoczekiwanie zyskała na wyrazistości. Ich uściski stawały się coraz bardziej namiętne. A kiedy już zaczęli się wzajem rozbierać, Roland zniemacka przestał ją całować i zaproponował, że ją zwiąże.

- Co? - spytała, bo uzyskawszy zadowalający stopień pożądania, wcale nie potrzebowała dodatkowych bodźców.

- Naprawdę uważasz, że powinniśmy posuwać się dalej, nie wiążąc cię najpierw? - odpowiedział jej Roland. - Nie chcę zarazić się od ciebie wścieklizną, bo może jednak jesteś wściekła.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest to choroba przenoszona drogą płciową.

- Moim zdaniem przenosi się przede wszystkim

przez gryzienie - orzekła Lynn. - Po prostu nie będę cię gryźć.

- Teraz tak mówisz. A jeśli coś cię najdzie i jednak zaczniesz gryźć? Dlatego uważam, że powinienem trzymać ciało i twarz z daleka od twojej głowy i że powinnaś dać się związać.

Zgodziła się. Przywiązał ją za nadgarstki do wezgłowia łóżka.

Użył cienkiego rzemienia do jednego nadgarstka i ręcznika frotte do drugiego.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak? - zawołała Lynn z łóżka.

- Tu Max. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz w związku z potencjalną wścieklizną, o której rozmawialiśmy wcześniej.

- Dzięki! - odparła Lynn. - Jak dotąd żadnej wścieklizny.

- Och, to dobrze. Poza tym dzwonił pan Simon Peach, do Rolanda, którego zdaje się nie ma w pokoju.

- Wyszedł na spacer - powiedziała z trudem Lynn, ponieważ Roland przygniatał ją swoim ciężarem.

- Okay. Przekażę panu Peachowi. Do zobaczenia! - Pa!

Usłyszeli odgłos oddalających się kroków.

- Co zrobisz, jeśli zacznę zdradzać objawy wścieklizny, mimo że jestem związana? - wyszeptała Lynn.

Roland zacieśnił pęta.

- Chyba będę musiał wezwać Maksa i kazać mu, żeby cię zastrzelił - odparł.

- Tylko błagam, nie pomyśl innych symptomów /. wścieklizną.

- Na przykład jakich?

- Na przykład, no wiesz... zapału.

- Słuszna uwaga.

Zaczęli. Wpatrywali się w siebie i nie całowali się, co osobliwie ich podniecało. Seks okazał się niesamowicie przyjemny; Lynn uznała wręcz, że to pewnie wścieklizna, i przestraszyła się. Odkryła, że to przyjemne bać się siebie, wiedzieć, że w dowolnym momencie można przestać sobie ufać i stracić nad sobą kontrolę.

Po wszystkim, kiedy Roland zasnął obok niej, udało jej się uwolnić nadgarstki z pęt. Pławiła się w swoim podziwieniu dla niego, dla jego odpoczywającego ciała. Dla tych pięknych nóg. Płaskiego brzucha. Medalionu. A tak nawiasem, co w nim było? Spytała go o to, kiedy się obudził.

Pogładził ją po włosach.

- To osobiste.

To właśnie powiedział ojciec jego matce, kiedy zaczęli się umawiać przed czterdziestu dwu laty. I jeszcze dodał: „Potrzebuję odrobiny prywatności”. Ale Roland tego nie dodał. Potrzebował czegoś znacznie więcej niż odrobiny prywatności. Ponownie przywiązał jej nadgarstki i znowu się kochali. Jej zaufanie stawało się coraz silniejsze, zaufanie, które on w niej odblokował, a dzięki któremu znowu czegoś chciała. Nie dbała o nic ani niczym się nie przejmowała. I on też nie. Traktował ją tak, jakby w ogóle go nie obchodziło, co się stało, jakby w ogóle już się nie bał, że coś tu mogłoby zniknąć - niekoniecznie jego atrakcyjność, tylko być może jego zainteresowanie, ale to już była całkiem inna historia.

Alanowi udało się rozwiązać jeszcze jeden problem. Stwierdził mianowicie, że on i Lynn powinni jeździć kon-

no podczas ich wspólnego weekendu. Wziął w związku z tym lekcje jazdy konnej, by wykazać się jakimiś umiejętnościami. Przeżył straszne chwile, ale zarazem dzięki takim niesamowitym wysiłkom poczuł, że zarabia na pozytywny wynik tego weekendu. Dwa razy spadł, ale natychmiast znowu dosiadał konia, choć odniósł trochę obrażeń.

Kiedy wrócił do domu, znowu owładnął nim niepokój, bo na sekretarce nie było żadnych wiadomości od Rolanda. Mimo obolałego, posiniaczonego prawego pośladka wykonał codzienny obchód klatki schodowej.

A potem usiadł na białym fotelu, przyciskając policzek do pluszowego oparcia.

Roland był sam w swoim pokoju w niedzielny wieczór, po całym dniu uprawiania seksu. Dochodziła już pora kolacji, a on umierał z głodu. Właśnie zdjął ubranie, by wskoczyć pod prysznic, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Cześć, tu Max. Telefon do ciebie. To ten Simon Peach. Dzwonił wcześniej, nie wiem, czy twój prześladowca ci przekazał.

- Tak, mówiła mi.

- Odbierzesz?

- Hmm. Okay. - Roland podniósł słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego Max dostarcza te informacje osobiście zamiast telefonicznie. - Halo - powiedział.

- To ja - odpowiedział mu Alan. - Przekazali ci, że dzwoniłem?

- Tak, mhm, posłuchaj, bardzo mi przykro to mówić, ale doszło do nieoczekiwanego zwrotu sytuacji. Obawiam się, że nie wyjedziesz na swój weekend z Lynn. — Widzisz. .. ona i ja zrobiliśmy to.

- Pieprzyliście się?

Roland nie był w stanie odpowiedzieć, więc wołał udać, że nie zrozumiał pytania.

- Czy ja coś spieprzyłem? Chyba tak.

- Nie! Czy ją pieprzyłeś?

Roland westchnął i położył się na łóżku, starając się znaleźć jakąś furtkę. Ujął swego zwiotczalego penisa, kciukiem i palcem wskazującym, i zaczął uderzać się nim po udach. Do wnętrza pokoju wpływało zza okna cudowne światło.

Alan czekał na odpowiedź, wpatrując się uparcie w sztywne wysokie buty, które zakupił na weekend z kobietą jego marzeń, jego królową, boginią, maleńkim ptaszkiem. Nie mógł znieść myśli, że być może będzie musiał zwrócić te buty.

Roland zastanawiał się, jak tu zamydlić oczy przeciwnikowi.

Lynn miała związane nadgarstki. Więc chyba to było takie słabsze pieprzenie? Nie, źle. A co z faktem, że być może zaraziła się wścieklizną i mogła niebawem umrzeć? Nie, to też nie.

Szkoda, że to nie on był stroną związaną, mógłby wtedy się wyłgać, twierdząc, że nie, on tego nie zrobił, i miałby czyste sumienie, wiedząc, że w rzeczy samej to ona go pieprzyła.

- Chyba tak - przyznał w końcu Roland. Słyszał oddech Alana.

- Było miło? - spytał cicho Alan.

- Przykro mi, wcale tego nie chciałem, ale wszystko zmieniło się diametralnie, kiedy się przyznała, że prześladowuje mnie nieszczerze, by po prostu nabrać na mnie ochoty.

- Jak sobie chcesz. Nadal uważam, że należy mi się weekend w jej towarzystwie.

- Nie. Nie byłbym w stanie tego wytrzymać. Za późno. Jesteśmy z sobą związani.

- Zdrajca - wyszeptał Alan. - Całe moje życie kręciło się wokół tej kobiety. Zrobiłbym wszystko, byle mieć u niej jakieś szanse. Rozumiesz? Wszystko.

- To... jakaś groźba?

- Myśl sobie, co chcesz. Nie mam po co żyć, jeśli Lynn zniknie z mojego życia. A to również oznacza, że nie mam nic do stracenia. Roland przestał kiwać penisem i usiadł.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale odnoszę wrażenie, że ty mi grozisz.

Alan parsknął i kopnął swoje buty. Wciąż mógł je zwrócić, nawet jeśli je skopał.

- Daj spokój, facet, bądź realistą — ciągnął Roland. — To nie jest znowu aż taka wielka zdrada. Nawet cię dobrze nie znam. Wcale nie jesteśmy starymi kumplami. Ani nawet bliskimi kumplami. Słuchaj, muszę lecieć, okay? Ale jeśli chcesz, możesz do mnie zadzwonić jutro, kiedy będę już w mieście.

Alan nie odpowiedział, więc Roland pożegnał się i odwiesił słuchawkę. W pokoju zrobiło się zimno. Ubrał się i usiadł na łóżku.

Pięć

Patricia miała wyrzuty sumienia, że zmusiła Lynn do wyjazdu na ten weekend, mimo że to przecież Lynn wymusiła to na niej. Ale z kolei wcale nie musiała słuchać rozkazów Lynn. W życiu tak już jest, że niektórych rozkazów lepiej nie słuchać. I czy naprawdę wierzyła, że ten weekend pomoże Lynn? Nie.

Naciskała ją, żeby wyjechała, po części dla własnej rozrywki.

Tak właśnie brzmiała ta makabryczna prawda.

Dlatego właśnie, kiedy Lynn przyszła do galerii po południu w poniedziałek, po wzięciu pierwszego zastrzyku przeciw wścieklicznie, Patricia powiedziała, że nie będzie jej zmuszała do wyjazdu w następny weekend z jej prześladowcą.

- Mam gdzieś, czy mnie wylejesz - dodała. - Nie możesz mnie zmuszać, żebym cię zmuszała.

- Cieszę się, że nie będziesz mnie zmuszała, bo i tak nie pojedę - odparła Lynn.

A potem wprowadziła Patricię w zdumienie opowieścią o weekendzie z Rolandem.

- Roland cię nie chciał i to obudziło w tobie ochotę. Dlaczego? - spytała Patricia. - Czyżby nigdy dotąd tak nie było, żeby ktoś cię nie chciał?

- Od jakiegoś czasu nigdy. W każdym razie niczego takiego nie zauważyłam. Od kilku lat nikt mnie nie odrzucił. Ani nic.

- Szczęściara.

- Jak możesz tak mówić? Ty, świadek wszystkich moich strasznych przejść? - spytała Lynn, wyraźnie zgorziona. - To nie jest żadne szczęście, zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, kto dostaje skrzydeł, kiedy napotyka opór. Przecież do czegokolwiek bym się zabrała, zawsze odnosiłam sukces, jakby trochę zbyt konsekwentnie i skutecznie. Do tej pory osiągnęłam wszystko, czego chciałam.

- Ale co z tym momentem, kiedy Roland zaczął cię pragnąć? Dlaczego wtedy nie przestałaś go pożądać?

- Może dlatego, że wystarczy tylko obudzić pożądanie, a jak już jest obudzone, to nie znika.

- A jeśli jednak któregoś dnia zniknie?

- To już się nigdy nie zdarzy.

- Skąd wiesz?

- Bo ja na to nie pozwolę. Zastosuję swoją metodę.

- A co to za metoda?

- Zadbam, żeby mnie regularnie odrzucano.

- A jeśli zamiast tego będziesz regularnie akceptowana?

- Już ja dopilnuję, żeby tak nie było! Będę się starała o przyjęcie do organizacji, w których nigdy, przez milion lat, nie przyznaliby mi statusu członka.

- A jeśli takie nie istnieją?

- To niemożliwe. Będę się starała o członkostwo w organizacjach wyłącznie dla mężczyzn albo wyłącznie dla dzieci, spróbuję się zapisać do Mensy, jeśli będę musiała.

I znajdę jeszcze inne sposoby.

- Do Mensy jesteś w stanie się dostać.

- Bardzo mi schlebia, że tak myślisz, ale wątpię w to. -Jak często twoim zdaniem musisz być odrzucana, by twoje zdrowie osiągnęło optymalny poziom?

-Nie wiem. Będę tu pogrywała konserwatywnie i dopilnuję, żeby mnie odrzucano co najmniej dwa razy w miesiącu.

Lynn się nie pomyliła. Odtąd nie miała już nigdy tracić ochoty na cokolwiek. A czy stało się tak dzięki jej odrzuceniowej metodzie, to była już całkiem inna kwestia.

Kiedy ktoś pozbywa się wreszcie odwiecznego problemu, zazwyczaj przestaje dostrzegać, że w kolejce lubią czekać jeszcze inne.

- Pooglądajmy jakieś slajdy! - zaproponowała Lynn. Przejrzały setki slajdów nadesłanych przez artystów przez ostatnie kilka miesięcy. Lynn chciała sprawdzić, czy zaczęła czegoś pragnąć również w innych dziedzinach życia, nie tylko uczuciowej, a przede wszystkim w tej, dzięki której miała na chleb.

Bardzo szybko się upewniła, że jest dobrze. Znów mogła polegać na swoim smaku i osądzie w odniesieniu do sztuki. Czuła się inteligentna i pewna siebie, jak dawniej.

Patricia poruszyła pewną delikatną kwestię.

- Wierzysz, że uda ci się naprawić stosunki z artystami, których przegnałaś?

Lynn zatkało.

- Wierzysz, że zwabisz z powrotem tych, którzy poszli do innych galerii? - dodała jej asystentka.

Od czasu, gdy Roland powiedział mu o swej zdradzie, Alan prawie nie wstawał ze swojego białego fotela.

Miłość do Lynn była jedyną rzeczą, która nadawała

sens jego życiu. Rok wcześniej umarł mu ojciec. Zaraz po ojcu kot. Eks-dziewczyna, która swego czasu była także jego najlepszą przyjaciółką, zrobiła karierę jako sekretarka i najwyraźniej znudziła się nim, bo przestała dzwonić i rzadko odpowiadała na jego telefony.

Roland mylił się, kiedy powiedział: „To nie jest znowu aż taka wielka zdrada. Wcale nie jesteśmy starymi kumplami”.

Roland był jedynym przyjacielem Alana. A zatem jego najlepszym przyjacielem.

Alan zadawał sobie pytanie, co by to zmieniło, gdyby miał przyjaciela. Na pewno nie mógłby dzielić się z nim swymi morderczymi myślami. Może należało przygarnąć jakiegoś zwierzaka. Mógłby mu się zwierzać ze swoich morderczych myśli.

Poszedł do sklepu ze zwierzętami, gdzie obejrzał kilku potencjalnych przyjaciół, wyobrażając sobie, jak rozmawia z nimi o morderstwie, i snując domysły, jaki miałyby wtedy wyraz pyska. Najpierw wykonał to ćwiczenie z udziałem kociąt i szczeniaków, ale były zbyt słodkie i rozfiglowane. Już lepiej zaprezentowały się węże i jaszczurki, ale odniósł wrażenie, że nabijają się z mrocznej strony jego natury jako zbyt łagodnej, i od razu nabawił się poczucia niższości. Z królikami było zupełnie na odwrót, ryby odwracały się do niego plecami, myszy zaś reagowały doskonałą obojętnością.

Wiedział, że nigdy nikogo nie zamorduje, ale myśli o morderstwie pomagały mu przetrwać ten trudny okres.

Ostatecznie wyszedł ze sklepu zoologicznego bez zwierzaka; wbił spojrzenie w rynszok i w tym momencie przyszło mu do głowy idealne stworzenie, któremu mógłby się zwierzać.

Wrócił się do sklepu.

- Czy macie szczury? - spytał.

- Mamy tylko jednego.

Szczur wcale nie wyglądał na idealnego szczura, któremu można się zwierzać z morderczych myśli, bo był prawie cały biały w brązowe ciapki, ale już sama świadomość, że to szczur, nadrabiała z nawiązką to mało ciekawe ubarwienie. Alan wiedział, że jeśli kiedyś poczuje się niepewnie, to po prostu zapatrzy się w jego ślepie i nos, powtórzy w głowie słowo „szczur” i dozna metaforycznej erekcji.

Kupił szczura i tak oto zaczęła się ich miłosna przygoda. Gorąca jak wulkan. Jeszcze tamtego wieczoru obejrzelili razem telewizję, szczur leżał w pozycji orła, płasko jak naleśnik, na brzuchu Alana. Alan gładził go po grzbiecie, a szczur niemalże mrucał z zadowolenia, po czym przysnął. Kiedy się zbudził, Alan nakarmił go ciastem czekoladowym i razem sprawdzili wyjścia na klatkę schodową.

Potem wzięli wspólną kąpiel. A po kąpielu Alan czesał szczura, rozmawiał z nim i nazywał Naleśniczką. Krótkie, gwałtowne ruchy szczura okazały się odrobinę denerwujące; Alanowi przyszło na myśl, że Naleśniczek wyglądałby bardziej inteligentnie, gdyby tak nie podrygiwał. To była jedyna wada jego nowego przyjaciela: niedobra mowa ciała.

Alan tulił Naleśniczkę do piersi, przyciskając dłoń do jego grzbietu; unieruchomiony szczur już nie wyglądał tak, jakby cierpiał na chorobę Parkinsona.

- I co myślisz? - spytał Alan, wpatrując się w szczurze oczy. - Powinienem ich zabić? Tak czy nie?

Małe czarne ślepie przypominały dwie kropki.

Lynn zadzwoniła do Charliego Santi i poprosiła, żeby przyniósł swoje nowe dzieła.

- Masz na myśli te, które nazwałaś śmieciami? - spytał.

- Nie powiedziałałam, że to śmieci, ja po prostu nie... Ale przynieś je, dobrze?

Pół godziny później Lynn przyglądała się pracom Charliego.

- Och, Charlie.

- Co? - spytał zimno.

Trzymała dłoń przy sercu, wciąż wpatrując się w maleńkiego ludzika na białym tle, który albo dusił, albo tulił drugiego ludzika.

- Tak mi przykro - powiedziała. Czekaj, aż powie coś więcej.

- Tak mi przykro - powtórzyła tylko.

- Mówiłaś tak o nich ostatnim razem, kiedy tu byłem.

- Wtedy byłam chora. One są pierwszorzędne, najlepsze z wszystkich twoich dzieł. A ty jesteś obecnie moim najlepszym artystą. Mam nadzieję, że mnie nie porzuciłeś.

- Chyba nie - odparł po dłuższej chwili. - Ale nie chcę więcej przechodzić przez taki koszmar.

- Ja też nie.

- Czuję się tak, jakbym cię stracił.

- Nie straciłeś - zapewniła i uściskała go. Zauważyła, że Patricia uśmiecha się do niej półgębkiem i unosi brew.

Dzięki towarzystwu szczura już następnego dnia Alan poczuł się odrobinę lepiej i był w stanie coś zjeść. Znowu nie poszedł do pracy, a pod koniec popołudnia poczuł się

dostatecznie silny, by zacząć prześladować Lynn i Rolanda, którzy teraz byli parą.

Zamierzał niebawem zaniechać tego procederu; wiedział, że to nie jest dla niego zdrowe. Przystanie, raz a dobrze. Już wpadł na pomysł, jak to zrobić. Jednak przed tą odnową chciał sobie pofolgować i zachowywać najbardziej obrzydliwie, jak tylko potrafił.

- Zdrajcy! - wrzasnął w ich stronę, gdy Roland odebrał Lynn, która wyszła z galerii pod koniec dnia pracy.

Szedł za nimi po ulicy z małym białym koszyczkiem.

- Śmierdzisz, ty pretensjonalny dupku! A ty, Lynn, jesteś brzydka! I bredzisz, mówiąc, że starasz się go chcieć! I że prześladowałaś go nieszczerze! Wy zbrojeńcy! Oboje jesteście popieprzonymi zbrojeńcami!

Tamci szli teraz szybciej, Roland ukradkiem upuścił guzik.

Razem z Lynn dali jałmużnę Rayowi. Alan też mu dał.

Rudowłosa, bezdomny eks-psycholog przyglądał im się badawczo i starał okiełznać ciekawość. Pohamował się i nie cisnął im w plecy drobniakami, które mu dali. Usłyszał wrzaski Alana.

- Patrzcie tylko, co tu mam!

Zobaczył, jak Alan wyciąga z koszyka jakieś wierzgające zwierzę i krzyczy.

- To szczur!

Naleśniczek był w uprzęży ze smyczą, nie było więc ryzyka, że wskoczy do rynsztoka, aby dołączyć do innych szczurów.

-Mój szczur chce cię pocałować, Lynn! Może dasz mu buziaczka? Wiem, że lubisz całować gadziny. - Jak to często bywa w wypadku ludzi, którzy zamierzają rzucić coś raz a dobrze, Alan rozkoszował się swoim nałogiem.

Roland przystanął nagle przed sklepem z tkaninami.

- Muszę tu wejść na chwilę - oświadczył.
- Po co? - spytała Lynn.
- Skończyły mi się guziki.

Alan nie wszedł za nimi do sklepu. Roland wybrał guziki i zapłacił za nie.

Lynn przyjrzała się guzikom, ale jakoś nie wymyśliła, do jakich ubrań by pasowały. Część była czerwona, część żółta, jedne z zamszu, inne z tygrysięgo oka, a jeszcze inne obciążone tkaniną. Wszystkie raczej nieduże.

- Po co ci te guziki? - spytała.
- Do niczego. Po prostu ich potrzebuję.
- Zbierasz je?
- Nie, ja je gubię. Coś jest ze mną nie tak, ale nie wiem co.
- Coś nie tak? Niby czemu? Wszyscy gubią guziki.
- Ale nie w takich ilościach.

Alan znów prześladował parę następnego dnia, po pracy. Roland błagał go, żeby przestał, obiecując, że wyjdzie razem z nim na miasto i pomoże mu poznać jakąś inną kobietę. Ale Alan chciał tylko Lynn. Postanowili przetrzymać prześladowania. Nie uważali Alana za niebezpiecznego i litowali się nad nim.

Alan był przygnębiony tą ich nowo odkrytą obojętnością. Po tym, co mu zrobili, mogli przynajmniej wyświadczyć mu tę grzeczność i udawać zirytowanych. Dlatego tak przystosował swoje prześladowania, żeby się denerwowali. Kiedy ani subtelne, ani jawne prześladowanie nie wzbudziło ich niepokoju, zamknął się w swoim mieszkaniu i nie wychodził do pracy ani też nie jadł przez kilka dni. Siedział całymi godzinami przy oknie. Czasami brał na kolana Naleśniczka. W końcu któregoś popołudnia,

słaby z głodu, a mimo to wcale nie głodny, włożył wysokie buty i pojechał na spotkanie Anonimowych Prześladowców.

Większość z piętnastu artystów Lynn wróciło do niej. Kilkoro z nich nawet popłakało się z radości, że ona ich chce. Utraciła tylko dwoje, którzy związaali się z innymi galeriami, ale nawet ci byli rozczarowani, że ich dawne więzi zostały przecięte.

Któregoś ranka, w trakcie otwierania poczty Lynn, Patricia zauważyła, że jej chlebodawczyni nie traci czasu i wdraża swoją metodę odrzuceniową, by zapobiec przyszłej utracie ochoty na cokolwiek.

Wsunęła głowę do gabinetu Lynn.

- Właśnie zostałam odrzucona przez Klub Siedemdziesięciolatków z południowej Florydy.

Sześć

Minęło siedem miesięcy, podczas których zaszło coś niezwykłego. Dzięki pomocy Anonimowych Prześladowców, w powiązaniu ze wsparciem emocjonalnym Naleśniczka, Alan uwierzył, że jest w stanie odmienić swoje życie, a nawet drastycznie je poprawić.

Transformacja Alana miała początek w metrze, kiedy zastanawiał się nad przeczytanym tamtego ranka artykułem zatytułowanym: „W poszukiwaniu alternatywy dla wyścigu szczurów”. Ostatnio dotarło do niego, że w tym punkcie życia nie interesuje go wspinaczka po drabinie korporacyjnej i robienie mnóstwa pieniędzy. Chciał być szczęśliwy i zdrowy psychicznie, chciał przestać prześladować. Ale szczęście bywa kosztowne. Nie wspominając już o zdrowiu psychicznym. Tak więc zgodnie z radą zawartą w artykule, poszukał w sieci strony www.skromnezycie.com, ale z kolei odstręczyła go opisana tam terapia zwana Metodami Alternatywnego Pozyskiwania, względnie Nurkowaniem do Pojemników, za którą kryło się zwykłe grzebanie w śmieciach.

Niemniej naprawdę zamierzał szukać spełnienia w życiu, nawet jeśli to wiązało się ze zmniejszeniem jego szans na awans społeczny. Chciał robić rzeczy, które wzbogaca-

ją człowieka. Może nawet zażądać trzydniowych weekendów. Zdecydował, że ustanowi równowagę między pracą a życiem osobistym.

Stał na samym środku wagonu metra, uwieszony na poprzeczce, łagodnie kołysząc ciałem w takt cwału swych myśli. Czuł się podniesiony na duchu, więc podniósł też wzrok i przypadkiem natrafił na ogłoszenie o programie kształcenia ustawicznego organizowanym przez uniwersytet nowojorski. Moment nie mógł być lepszy ani dla Alana, ani dla dających ogłoszenie. Wsiadł na następnym przystanku, wsiadł do metra jadącego w stronę uniwersytetu i dostał katalog kursów. Zdobył też katalogi z innych placówek, z Parsonsa, New School oraz YWCA. Potem wygrzebał jeszcze z ulicznych koszy na śmieci inne materiały, z Learning Annex i Seminar Center. Wrócił do domu i rozciągnął się na kanapie z Naleśniczką i swoimi łupami.

Od razu rzuciły mu się w oczy kursy typu: „Jak zmusić każdego, żeby odpowiedział na twój telefon”, „Stwórz sobie życie doskonałe” czy „Warsztaty wiary w siebie”.

Ponadto nadzwyczaj go zachęciła pewna część katalogu uniwersytetu, zatytułowana: „Bezpieczeństwo przeciwpożarowe w budynkach”, a szczególnie kurs pod nazwą „Zarządzanie katastrofami w biurach i budynkach mieszkalnych”. Długo wczytywał się w jego opis: „Przedmiotem niniejszych intensywnych warsztatów jest kompleksowy przegląd głównych procedur, których celem jest minimalizowanie szkód i ograniczanie liczby ofiar w wypadku większych pożarów i eksplozji, alarmów bombowych, działań terrorystycznych i sytuacji zakładniczych, trzęsień ziemi, wypadków z substancjami toksycznymi oraz ataków nuklearnych”.

Interesował się nie tylko bezpieczeństwem budynków i uzyskiwaniem odpowiedzi na swoje telefony. Była jeszcze trzecia kwestia. Otóż zazdrościł ludziom zajmującym się tworzeniem i rozpaczliwie pragnął zbadać swoje talenty artystyczne, o ile takowe istniały, bo jak dotąd tego nie stwierdził. Chciał po prostu delikatnie je szturchnąć i sprawdzić, czy się ujawnią. Nie chciał jednak zapisywać się na kursy związane stricte ze sztuką, które były zbyt trudne i zdemaskowałyby jego brak kompetencji, ale znalazł zachwycony kilka takich, które nie poddałyby go zbyt wielkiej presji: „Dekorowanie puszek”, „Jak stworzyć ogród z fontanną na blacie stołu”, „Lalkarstwo” oraz „Potpourri dla początkujących”, by wymienić choć kilka. Alan czytał katalogi przez tyle godzin, że zaczął natrafiać na kursy, które brzmiały jeszcze bardziej intrygująco - wręcz fascynująco - i zawsze czuł rozczarowanie, kiedy rzuciwszy jeszcze raz okiem, stwierdzał, że źle odczytał ich nazwy i że dana szkoła nie proponowała kursów w rodzaju: „Wstęp do zarządzania niedogodnościami”, „Rozrabianie dla żółtodziobów”, „Twoje drogi do fajansu”, „Joga w codziennym życiu” i „Wnętrza w stylu anielskim”. W zamian oferowano mu blade wersje powyższych tematów, czyli: „Wstęp do zarządzania nieruchomościami”, „Zarabianie dla żółtodziobów”, „Twoje drogi do awansu”, „Joga w codziennym życiu”, i „Wnętrza w stylu angielskim”. Rzeczywistość jest taka nudna, pomyślał Alan. Każdy błąd w jej percepcji jest z konieczności bardziej interesujący niż prawda; szczęśliwi są ci, których nikt nie wyprowadza z błędu.

Kiedy nabiegłe krwią oczy Alana wreszcie nawiązały kontakt z „Jak znaleźć drogę do jogina w sobie”, ujętym w katalogu Seminar Center, zdumiał się. Jogin: niesamo-

wity pomysł. Jogin: kierunek w sam raz dla niego. Mało tego, ten kurs składał się z pojedynczych zajęć, które miały się odbyć następnego dnia. Cos' w sam raz dla niego, bo już nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyruszy w swą transformacyjną podróż.

Spał dobrze tamtej nocy i wczesnym rankiem, w sobotę, stawił się na kursie zorganizowanym w kościele węgierskim, w sali z wielkim stołem, wokół którego siedzieli kursanci. Był jedynym mężczyzną. Miał nadzieję, że te kobiety zauważą, iż mężczyźni, którzy szukają drogi do jogina w sobie, to wielka rzadkość, i w związku z tym uznają go za mężczyznę wyjątkowego.

Pojawiła się instruktorka. Była w średnim wieku, zwalista, podobna do zakonnicy. Siwe włosy miała ściągnięte w ciasny kok. Z łatwością ją sobie wyobraził, jak mu pomaga w nawiązaniu kontaktu z joginem.

Stała u szczytu stołu i zagaiła.

- Pokażę wam, jak poznać, kochać i czcić swoją wewnętrzną boginię, by dzięki temu przeobrazić swoje życie.

Alan nie do końca rozumiał, dlaczego nauczycielka mówi o boginiach. Zajrzał do katalogu i jego żrenice zwężyły się, kiedy zobaczył, że błędnie odczytał nazwę kursu.

Wstał i na palcach skierował się do wyjścia.

- A pan dokąd?! - wykrzyknęła instruktorka.

- Przepraszam, myślałem, że nazwa tego kursu brzmi: „Jak znaleźć drogę do jogina w sobie”, nie do bogini. -Zachichotał wstydliwie.

- Jeśli pan wyjdzie, to nie przysłuży się pan zgromadzonym tu kobietom. Generuje pan negatywną energię, energię abstynencji, którą mężczyźni uwielbiają wy-

tworząc, i dlatego właśnie potrzebujemy takich kursów. A poza tym z pewnością nie osiągnął pan swojego celu, nie znalazł pan drogi do bogini w sobie.

- Ale przecież to kurs dla kobiet?

- Proszę zajrzeć do biuletynu. Tam jest napisane: „Zajęcia dla kobiet i mężczyzn”.

Alan stwierdził, że lepiej zrobi, jak wróci na miejsce, zamiast generować energię abstynencji.

Następnie wszyscy obecni usłyszeli, że podczas tego kursu mają zwracać się do siebie po imieniu, poprzedzając owo imię zwrotem „Siostrze Bogini”.

Alan myślał, że zrobią wyjątek w jego wypadku i będą go tytułować „Bratem Bogiem Alanem”. Ale one tego nie zrobiły.

Instruktorza powiedziała, że bogowie, w naszym seksistowskim świecie, wciąż są uważani za ważniejszych i potężniejszych niż boginie, więc byłoby to niesprawiedliwe wobec innych

uczestników kursu, gdyby Alan został bogiem. Miał zatem zostać Siostrą Boginią Alanem. Nie miał być potraktowany wyjątkowo.

Siostra Bogini Jane (instruktorka) wygłosiła najpierw krótki wykład na temat greckich bogiń.

- Żeby zaakceptować siebie jako kobietę, musicie najpierw zwrócić uwagę na ten element, jakim są wasze krocza. Te, które mają zaufanie do swojego krocza, są szczęśliwe. Pod koniec tego seminarium wszystkie będziecie szczęśliwe.

Następnie wszyscy kursanci otrzymali po kawałku plasteliny; kazano im wykonać rzeźby swoich wagin, z perspektywy ginekologa.

Alan siedział i jak ogłuszony wpatrywał się w różową grudę.

Usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądałaby jego wagina, gdyby takową posiadał. Kobiety od razu zabra-

ły się do rzeźbienia swoich i Alan, chcąc się dopasować, zaczął ugniatać plastelinę. Kiedy wreszcie zrozumiał, że dłużej nie potrafi udawać, jakoby to rzeźbienie przychodziło mu naturalnie, położył swoją grudę na stole, drżącym palcem zrobił w niej dziurę i tak ją zostawił.

Przysiadł na rękach, dając do zrozumienia, że skończył dzieło.

Siostra Bogini Jane natychmiast zwróciła mu uwagę, że jego wagina powinna mieć więcej szczegółów.

Dlatego więc doczepił od tyłu coś w rodzaju rybiego ogona.

Instruktorza stanęła nad nim z groźną miną.

- A co to za stwór?

- Moja wagina. Gdybym taką posiadał - wybąkał Alan.

- Jest strasznie uwłaczająca!

Alan prędko docisnął ogon do grudy i rozpląszczył go, sprawiając, że dziura zrobiła się mniejsza. I znowu zdenerwował Siostrę Boginię Jane, która stwierdziła, że wykonał uwłaczająco mały otwór. Powiedziała, że to typowe dla mężczyzn, którzy w ten sposób manifestują swe pragnienie, by zadawać kobietom ból, bo ten ból ich podnieca.

- Pewnie chciałbyś, żeby tam nie było żadnego otworu, prawda? - dodała. - Albo otwór wielkości łepka od szpilki, byś mógł go spenetrować i rozerwać, i żeby on był ciasny, jak najciaśniejszy, bo tobie zależy wyłącznie na własnej przyjemności. - I z tym odeszła.

Alan wcisnął palce w grudę, starając się zachować spokój ginekologa. W myślach mówił plastelinie, żeby się rozluźniła, żeby zrobiła głęboki wdech. Podłożył nawet pod nią chusteczkę higieniczną.

W tym momencie znów stanęła nad nim bogini.

- Co to jest, Siostrze Bogini Alan? - spytała, wskazując palcem chusteczkę.

- Dzięki niej czuję się mniej skrępowany. Tak jest bardziej... klinicznie, bezosobowo.

Parsknęła i na chwilę dała mu spokój.

Zrobił wielką dziurę. Jak grot. Tak wielką, że uprawianie z nią seksu byłoby jak uprawianie seksu z powietrzem. Musiał jednak uważać, żeby nie była za duża, bo znowu by się nasłuchał od bogini Jane, że dziura jest uwłaczająca. Dlatego więc odchudził ją nieznacznie, ale i tak wciąż była dość duża.

- Siostrze Bogini Alan?

- Tak, mistrzyni - odparł potulnie.

- Bogini! Nie mistrzyni! - odparła z zaszokowaną miną.

- Przepraszam! Chciałem powiedzieć „bogini”. Tak, bogini.

Siostrze Bogini Jane.

- Nie mogła zostać taka duża, prawda? Musiałeś ją zmniejszyć. Nie mogłeś zrobić wielkiej waginy. Nie mogłeś znieść widoku wielkiej waginy.

Kiedy wymawiała słowo „wagina”, Alan miał wrażenie, że słyszy japoński akcent. Zęby bogini cięły powietrze jak gilotyny, wykonując kolejno trzy kłapnięcia: „wa--gi-na”.

- Nie, bałem się, że taka duża ci się nie spodoba - próbował się tłumaczyć.

- Uważasz, że moja nie jest taka duża?

- Jestem pewien, że jest. Nie! Nie wiem - przyznał Alan z przerażeniem, rozszerzając otwarcie kciukami.

Powiadają, że pierwsze śliwki robaczywki, dlatego więc Alan natychmiast zapisał się na kolejny kurs, pilnując, by tym razem odczytać jego nazwę poprawnie. Jego wybór

padł na „Akupresurę dla pupila: medycyna alternatywna dla twojego psa lub kota”. „Albo szczura”, dopowiedział w myśli. Opis kursu brzmiał: „Akupresura to inaczej techniki delikatnego masażu, które mogą być stosowane przez każdego właściciela zwierzęcia w ramach leczenia rozmaitych chorób i zaburzeń w zachowaniu. Przyrowadź swojego zwierzaka na zajęcia”.

Alan i Naleśniczek poszli na zajęcia i bardzo im się tam podobało. Właściciele innych, tradycyjnych zwierząt bardzo ich polubili, wyjąwszy może paru histeryków.

Najwyższym wysiłkiem woli Alanowi udawało się nie myśleć za dużo o Lynn. Regularnie uczęszczał na spotkania Anonimowych Prześladowców. Ludzie opowiadali tam o tym, że aż ich swędzi, taką mają ochotę na prześladowanie. Zinternalizował Pierwszy Krok programu terapeutycznego złożonego z dwunastu kroków, który brzmiał: „Przyznaję, że jestem bezsilny wobec uzależnienia od prześladowania oraz że przestałem kierować własnym życiem”. I przyjął też przekonanie tamtych, że „uzależniony zawsze pozostanie uzależnionym”. Wiedział, że prawdopodobnie będzie musiał chodzić na te spotkania do końca życia, tak jak alkoholicy.

Nowe życie Alana toczyło się dobrze. Jego absencje w pracy nie były już takie częste.

Starał się samodoskonalić na różne sposoby. Nerwowa mowa ciała Naleśniczka boleśnie uświadomiła mu, jaka jest jego własna mowa. Ćwiczył więc spokojne, wsparte zaufaniem do samego siebie poruszanie się. Korygował ruchy, eliminując niepotrzebne gesty, które psuły jego wizerunek.

Opracował także własną filozofię zdrowia psychicz-

nego. Spędziwszy wiele godzin na poszukiwaniu tej jednej rzeczy, która mogła być odpowiedzialna za tendencje prześladowcze, doszedł do wniosku, że to się sprowadza do trudności z rozstawaniem się. Prześladowcy mają problem z rozstawaniem się z osobą, na punkcie której mają obsesję. Tak więc ćwiczył rozstawanie się. Kupił sznur, przywiązał go do klamki w łazience i regularnie za niego ciągnął, całymi minutami, aż zaczynał czuć ból w mięśniach, jego twarz robiła się czerwona i napinały mu się żyły na szyi. Potem powoli go puszczał, starając się docenić związaną z tym przyjemność.

Uznał ostatecznie, że człowiek ma problemy ze stresami, bo nie wyluzowuje, bo napina mięśnie i boi się je rozkurczyć. Dlatego więc brał masaże i zmuszał mięśnie, żeby się rozkurczały, żeby puszczały.

Powoli się zmieniał. Zmiana na ogół miała charakter wewnętrzny, ale to, do czego dochodzi wewnątrz, potrafi emanować na zewnątrz.

Zapisywał się na nowe kursy. Zawierał nowe znajomości, niekiedy z prześladowcami wychodzącymi z nałogu, takimi jak on sam. Wychodził z nimi na miasto i poznawał kolejnych ludzi. Ku swemu zdumieniu, nim się zorientował, uwierzył, że Lynn już go nie obchodzi.

Poznał Jessicę, kobietę, która miała pozwolenie na broń; została jego dziewczyną i po trzech tygodniach przeprowadziła się do niego. I dziwował się, że dokonanie zaledwie kilku zmian w życiu, jak zapisanie się na kurs albo chodzenie na relaksujące masaże, potrafi wywołać taką pozytywną reakcję łańcuchową. Byli szczęśliwi, wszyscy troje. Jessica i szczur dogadywali się znakomicie.

Ray, bezdomny eks-psychoterapeuta, zauważył w Alanie zmianę i podszeptował mu zwięzłe wzmacniające pochwały, kiedy Alan przechodził obok niego, na przykład: „Jestem dumny z ciebie”, „Daleko zaszedłeś, chłopie” i „Masz superdziewczynę”.

W tym samym czasie Lynn i Roland podnajęli swoje mieszkania w mieście i przenieśli się do wiejskiego domku Rolanda.

Lynn przestała się zajmować galerią na pełen etat, pozostawiając to Patricii, z wyjątkiem wtorków i piątków, kiedy zabierała się do miasta z Rolandem, który dojeżdżał codziennie. Patricia informowała ją o wszystkim, w tym również o najnowszych odrzuceniach, które Lynn otrzymywała pocztą.

Lynn skrupulatnie wzięła serię zastrzyków przeciwko wścieklicznie i miała to szczęście, że obyło się bez skutków ubocznych.

Spędzała większą część tygodnia na wsi, malując, nie dlatego że miała taką pasję czy ambicję, aby rozwinąć się jako artystka, ale dlatego że to ją bawiło.

Podniecenie i chemia działały, dopóki istniała jakaś niepewność co do tego, czy Lynn nadal będzie chciała Rolanda. Aż nastał dzień, kiedy wszystko się zmieniło.

- Twój urok i moje pożądanie zostaną - oświadczyła z przekonaniem Lynn. - Wiem to. Czuję to.

Tymczasem kilka dni później Roland powiedział jej, że jego zdaniem powinna spędzić swój weekend z Alanem.

Tak się zdumiała, że tylko wytrzeszczyła oczy.

- Zwariowałaś? - wykrztusiła w końcu. Roland westchnął.

- Dla mojego dobra. Po prostu uważam, że to, co zrobiłem, nie było uczciwe. To, co oboje zrobiliśmy.

- Zapomnij o tym. To nie podlega kwestii. - Wstała i wyszła z pokoju.

Poszedł za nią.

- Moim zdaniem człowiek powinien się zachowywać przyzwoicie.

- Dlaczego teraz? Co się dzieje? - spytała. Wyrzucił ręce w górę i wyszedł przed dom, usiąść na

leżaku, na którym zwykł się opalać. Lubił się opalać, ona zaś nie, twierdząc, że to niebezpieczne, że od tego można się nabawić raka skóry. Im bardziej go ostrzegała, że nie powinien się opalać, tym więcej on się opalał, aż jego twarz spiekła się na frytkę.

Prawda była taka, że teraz, kiedy pożądanie Lynn wobec niego nabrało cech stałości, ich romans wydawał mu się tym mniej ponętny. I nie ułatwiał tu też niczego fakt, że Alan też już jej nie chciał. Cały czas się kłócili. Roland znęcał się nad Lynn werbalnie, często ją pacyfikując.

Co gorsza, Lynn odebrała telefon od Patricii, która poinformowała ją, że Judy została przejechana przez ciężarówkę i umarła. Obie spekulowały, czy Judy dała się celowo przejechać, żeby „odświeżyć swój zapach”, jak to ujęła wiele miesięcy wcześniej. W każdym razie wieści te głęboko poruszyły Lynn.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - stwierdził Roland - wszystkie zaprzyjaźnione z nią osoby powinny się czuć odpowiedzialne za jej śmierć.

- Ja się zaliczam do jej przyjaciół - odparła Lynn, patrząc mu w oczy.

- Wiem - odparł, nie spuszczając wzroku.

- Myślisz, że to moja wina?

- Jak najbardziej. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.
- Nazywasz śmierć mojej przyjaciółki rozlanym mlekiem?
- Nazywam ją tym, czym musiała być dla ciebie. Gdyby Judy znaczyła dla ciebie coś więcej, nie pozwoliłabyś, aby znalazła się w takim stanie.

Wiedział, że nie jest miły, ale nie umiał się powstrzymać. Nie był szczęśliwy i nie chciał, żeby ona była szczęśliwa. Irytowała go za każdym razem, kiedy wyglądała na szczęśliwą.

Powiedziała mu, że myśli o zakończeniu ich związku. Odparł, że nie może tego zrobić, ponieważ zarezerwował dla nich obojga weekend pełen niespodzianek w wakacyjnym centrum uciech, o którym wyczytał w czasopiśmie „Hedonizm”.

Pojechali do tego ośrodka. Byli rozpieszczani, myci i oporzadzani aż przez troje pracowników obsługi. W ich pokoju stała ogromna kołyska wypełniona poduszkami, służąca potęgowaniu rozkoszy seksu. Tymczasem seks zaliczał się do tych niewielu rzeczy, z którymi nie mieli żadnych problemów. Lynn zawsze była pod wrażeniem Rolanda jako kochanka. Po tym weekendzie Lynn chciała być miła, więc kupiła Rolandowi piękne guziki.

- Znakomicie, właśnie mi się skończyły - powiedział, kiedy rozpakował paczuszkę.
- No coś ty? Przecież dopiero co kupowałeś guziki.
- To czemu mi je kupiłeś, skoro myślałeś, że ciągle mam tamte?
- Do twojej kolekcji.
- Jakiej znowu kolekcji? Nie kolekcjonuję guzików. Ja

je gubię. Już ci to mówiłem. Jeśli spodziewasz się, że stworzę z tych tutaj kolekcję, to się rozczarujesz, ponieważ zamierzam je zgubić. Lepiej je zwróć, wyglądają na drogie.

- Może nie przyszywasz ich dość mocno. Może następnym razem ja je przyszyję.

- To nieistotne, jak mocno je przyszyjesz. I tak je zgubię.

- Dlaczego?

- Dużo bym dał, żeby to wiedzieć. Chyba nie potrafię się powstrzymać.

Roland bardzo się starał być lepszym partnerem. Okazywał troskę i prawił komplementy. Troska przybierała nieco dziwne formy:

- Czy to ci nie przeszkadza, że twoi znajomi nie bardzo cię lubią?

- O czym ty mówisz? - odparła. - Moi znajomi mnie uwielbiają.

- Niekoniecznie. Jestem dobry w wyczuwaniu takich rzeczy.

Komplementy z kolei miały taką postać:

- To fantastyczne, że tak się zaczytujesz czasopismami o modzie.

- Dlaczego?

-Bo to dowodzi, że się interesujesz zewnętrznym światem. To lepsze niż siedzenie na kanapie i gapienie się w ścianę.

Robił jej też kawały. Głupie, wredne kawały. Umawiał się z nią na spotkanie w jednej restauracji, a czekał w innej.

Kłócili się o sok pomarańczowy. Czasami, kiedy był rozdrażniony, podnosił gwałtownie rękę, jakby chciał wymierzyć jej policzek, ale potem

ta ręka zawisała martwo w powietrzu. Któregoś razu ręka wisiała w powietrzu przez sekundę, po czym spadła na jego twarz.

Spoliczkował samego siebie.

Zaczęła na tym cierpieć samoocena Lynn. Kiedy wyrażała wątpliwości co do ich związku, Roland twierdził, że ją kocha, wbrew wszystkim jej słabościom i wadom. Że miłość do niej go obezwładnia.

Lynn zacisnęła zęby i trwała tak z nadzieją, że wszystko się poprawi.

Któregoś dnia wdali się w dyskusję o problemach w ich związku, próbowali jakoś je rozwiązać. W trakcie Lynn malowała jego portret, gdy tymczasem on jadł winogrona i dyndał nogą przewieszoną przez oparcie fotela.

- Jesteśmy zniechęceni - orzekł. - Nie czerpiemy żadnego zadowolenia ani z własnego życia, ani z siebie wzajem.

- Tak, wiem - odparła Lynn, mieszając czerń z błękitem, by uzyskać właściwy odcień jego oczu: granat, który uwielbiała, granat tak czarny, że jego oczy zdawały się niemalże martwe.

- Jesteśmy nieszczęśliwi - ciągnął Roland - bo porzucając miasto, utraciliśmy perspektywę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, dodając jeszcze odrobinę czerni.

- Musimy otworzyć się na ludzi, których życie jest jeszcze bardziej do kitu niż nasze, bo to nam przypomni, jakimi jesteśmy szczęściarzami. Ujmując rzecz w skrócie, uważam, że potrzebujemy spotkania z Alanem.

Zaczęła się nad tym zastanawiać. Niewątpliwie bliski kontakt z takim stężeniem beznadziejności, jakie uosabiał Alan, byłby co najmniej korzystny. Przestaliby uznawać za aksjomat, że w ich związku jest niewiele dobrego.

A przy okazji mogliby też jakoś pomóc Alanowi, napędzając sobie w ten sposób serca przyjemnym uczuciem, że spełnili dobry uczynek.

Roland postanowił bezzwłocznie zadzwonić do Alana i zażądać spotkania.

Siedem

Właśnie w czasie ich rozmowy Alan doświadczał bolesnej erekcji, co mu się owego tygodnia zdarzało w każde popołudnie, ponieważ pewna nadzwyczaj seksowna kobieta, właścicielka mieszkania, w którym kręcono film z udziałem Alana, wprost stawiała na uszach, żeby go uwieść.

Alan wziął wolne z pracy, by oddać przysługę Bobowi, jednemu z jego nowych przyjaciół - Bob go ubłagał, by zagrał jedną z ról w intelektualnym, niezależnym filmie, którego był producentem. Była to zaiste wielka przysługa, gdyż nadszedł właśnie czas rozliczeń podatkowych i Alan miał przeciętnie czterdzieści zeznań tygodniowo do sporządzenia. Bobowi udało się zwabić Alana tym, że postawił sprawę nadzwyczaj uczciwie, mówiąc mu, że wprawdzie wie, iż Alan nie jest zawodowym aktorem, lecz jednak chciałby kogoś właśnie takiego jak on - kogoś, od kogo bije szlachetnością. Mile połączony pochlebstwem Alan stwierdził skromnie, że on taki nie jest, choć wiedział, że teraz taki właśnie jest, i wyraził zgodę.

Film kręcono w luksusowym apartamencie na skrzyżowaniu Piątej Alei i Jedenastej Ulicy. Alan próbował wykorzystać czas między ujęciami na sporządzanie zeznań

podatkowych, ale uwodzicielska właścicielka mieszkania czuła do niego pociąg i rozpraszała jego uwagę. Jego penis był irytująco sztywny, który to stan go szokował i którego nie pochwalał, ponieważ miał cudowną dziewczynę, Jessicę, i w życiu by jej nie zdradził. Miesiąc wcześniej oficjalnie postanowili, że ich związek będzie monogamiczny, co zresztą wcale nie znaczyło, by kiedykolwiek był inny.

Dzień wcześniej Alan wymyślił rozrywkowe rozładowanie dręczącej go żądy. W apartamencie znajdowało się kilka bardzo dużych, odosobnionych, urządzonych z komicznym przepychem łazienek i kiedy erekcja nie pomagała mu się skupić, uprzejmie się wymawiał, szedł ze swoją komórką do którejś z nich, po czym dzwonił do swojej dziewczyny. Jessica na szczęście spędzała popołudnia w jego mieszkaniu, dzięki czemu mogli uprawiać telefoniczny seks. Robili to już przedtem, sporadycznie, ale tego tygodnia było to szczególnie pomocne.

- Dlaczego jesteś taka zdyszana? - spytał, kiedy odebrała telefon.

- Gimnastykuję się dla ciebie - odparła i nagle usłyszał w tle odgłosy kasety wideo z aerobikiem.

Alan poprosił, żeby zdjęła ubranie. Zawsze była gotowa na telefoniczny seks. Jak również na prawdziwy.

- Zdejmuję teraz majtki - poinformowała go, jednocześnie podskakując na pewnym mężczyźnie, który akurat trzymał w niej penisa.

- Zdjęłaś już? - spytał Alan, kładąc się na podłodze, na ogromnej, pluszowej, różowej macie, już opuściwszy spodnie i majtki do kolan.

- Tak, ojej, poczekaj, zahaczyły mi się o obcas. O już

-powiedziała, nadziewając się w nieco wolniejszym tempie na penisa jej popołudniowego kochanka, który wiedział,

ze nie powinien odzywać się ani słowem, kiedy dzwonił Alan. Ow kochanek trzymał dłonie na jej tyłku, starając się narzucić im obojgu szybszy rytm, ale Jessica lubiła robić to powoli, zwłaszcza podczas telefonicznego seksu z Alanem.

Popołudniowy kochanek nie miał tu żadnych obiekcji. Układał się na białym fotelu Alana, tym bez poręczy, dzięki czemu Jessica mogła go opasać nogami w sposób, jaki oboje lubili. Biały fotel z każdym dniem robił się coraz bardziej brudny, ale Jessica szorowała go pieczołowicie po każdym razie, rzecz jasna uzyskując ten skutek, że plamy robiły się coraz większe i bledsze. W połowie telefonicznego seksu, który był znacznie bardziej realny, niż Alan to sobie wyobrażał, w telefonie rozległ się sygnał, że próbuje się dodzwonić ktoś jeszcze. Nie chcąc przegapić telefonu od jej porannego kochanka sprawdziła, kto to taki, ale to był jakiś facet mówiący z francuskim akcentem, który pytał o Alana. Twierdził że jest dawnym znajomym, przedstawił się jako Roland.' Podała mu numer komórki Alana.

- Ale rozmawiam z nim właśnie na drugiej linii, więc proszę chwilę zaczekać z tym dzwonieniem - powiedziała.

Kiedy trzydzieści sekund później wrócili do telefonicznego seksu, tym razem Alan obwieścił, że ktoś próbuje się do niego dodzwonić.

- Chrzanić go, kazałam mu zaczekać - odparła Jessica.

- Kogo chrzanić? - spytał Alan.

- Tego dupka, który dopiero co dzwonił i przeszkodził nam. Po prostu nie odpowiadaj.

- Muszę. To może być John, który ma potworne problemy.

- Nie, nie tak się przedstawił. Nie mogę sobie przypomnieć, ale to nie był John.

- To może być ktoś w potrzebie. Zaczekaj.

Alan zamienił linię i tym razem to rzeczywiście był John; z jego głosu przebijała silna depresja.

Alan przeprosił Jessicę, że musi wszystko wstrzymać w samym środku.

-Jak sobie chcesz, kochanie. Dla ciebie to będzie trudniejsze niż dla mnie - odparła.

- Dlaczego? - spytał ze śmiechem Alan.

- Bo ja mogę skończyć. A ty musisz pogadać z Johnem.

- To baw się dobrze. - Alan zapiął spodnie i zwrócił się do przyjaciela w potrzebie: w pełni rozwiniętego nałogowego prześladowcy ze spotkań AP.

John płakał, twierdząc, że jest bliski wznowienia prześladowań pewnej kobiety, której od miesiący starał się dać spokój.

Alan po raz kolejny próbował go przekonać, żeby zapomniał o tej durnej kobiecie.

-Wykorzystałeś talon na darmowy masaż, który ci dałem? - dodał. -Nie.

- No to wykorzystaj go, człowieku. To pomaga.

- Chcę za nią chodzić.

- Znowu doniesie na ciebie na policję. John pociągnął nosem.

- Po prostu przyjedź tutaj - powiedział Alan. - Przyjedź na plan.

Poznasz tu miłą kobietę, właścicielkę mieszkania, w którym kręcimy film. Jest seksowna, bardzo gorąca. Przedstawię cię.

- Nikt inny mnie nie interesuje.

- Wiem, jak to jest. Nie musisz mi mówić. Idź na masaż. Rozległo się głośne pukanie do drzwi łazienki. To był

reżyser, wołał go na plan. Alanowi było głupio, że kazał ekipie czekać, ale czuł, że to jego obowiązek rozmawiać z przyjacielem, dopóki jego obsesja nie minie.

Roland krążył nerwowo po pokoju, niepewien, jak długo powinien czekać, zanim wystuka numer komórki Alana. Lynn siedziała na łóżku i stamtąd go obserwowała.

- Będzie dobrze - stwierdził. - Telefon odebrała jakaś laska. Może znajoma albo krewna, ale nawet jeśli to jego dziewczyna, to wcale nie musi być szczęśliwy. Dyszała i słyszałem w tle odgłosy kasety wideo z ćwiczeniami, czyli jest pewnie gruba i stara się spalić kalorie, a to by z kolei znaczyło, że nie może znaleźć nikogo lepszego i dlatego prowadzi się z takim facetem jak Alan.

Lynn w odpowiedzi zaczęła kartkować czasopismo o modzie.

Roland zerknął na zegarek. Minęło pół godziny. Wystarczy.

Wystukał numer komórki Alana. Znowu Alan nie odpowiedział osobiście, tylko jakiś mężczyzna, który kazał Rolandowi zaczekać. Roland nadstawił ucha, spodziewając się, że wyłowi jakieś budzące litość dźwięki. Tymczasem nagle usłyszał:

„Cięcie!” Zmarszczył brew. A zaraz potem w słuchawce zabrzmiały oklaski i okrzyki: „Rewelacja, Alan, jesteś wspaniały!” I do tego seksowny kobiecy głos: „Alan, to było niesamowite”. I wreszcie: „Telefon do ciebie, Alan!”

Cztery dni później Alan przyszedł do kawiarni na umówione spotkanie z Lynn i Rolandem. Roland nie bardzo chciał zdradzić, jakie są powody tego zaproszenia, tłumaczył tylko, że będzie miło się spotkać. Alan lekko go naciskał, domagając się czegoś bardziej wiarygodnego;

wspomniał, że ma tego tygodnia czterdzieści dwa zeznania podatkowe do przygotowania oraz rolę w filmie, ale Roland wciąż był tajemniczy.

- To spotkanie przyda się nam wszystkim.

Wyczuwając, że Alan się waha, Roland przekazał słuchawkę Lynn - chciał, by jakoś go zachęciła. Nie wiedząc, co powiedzieć, wypaliła, że ona też pochodzi z Long Island, i spytała, z jakiej on jest miejscowości. Odparł, że z Cross. Wyznała wtedy, że ona jest ze Stanton, z sąsiedniego miasta. Uprzejmie się zaśmiali.

Alan poprosił o dzień na zastanowienie się, po czym przyjął zaproszenie.

I od razu zaczął mieć wątpliwości, czy przypadkiem nie popełnił błędu, bo ich pytania zmierzały w jakąś dziwną stronę. Z początku pytali go o proste rzeczy, na przykład o fabułę filmu, w którym grał.

- To o mężatce, która zakochuje się w innym mężczyźnie - odparł Alan.

- A ty kogo grasz?

- Tego drugiego.

Spytali go także, jak mu leci.

- Nieźle, dzięki - odparł.

- Pewnie bardzo przeżywałeś to, co ci zrobiliśmy - powiedzieli.

Alan nie mógł się domyślić, jakie są ich intencje — czyżby chcieli wskrzesić jego mordercze myśli?

- Prawda, było ciężko.

- O kurcze, wyobrażam sobie — uzaliła się Lynn. — Poszedłeś na jakąś terapię?

- Owszem.

-A... hmm... tego... Miałeś może samobójcze myśli? - spytał Roland.

- Owszem. - Alan zauważył błysk w ich oczach. Dlatego dodał: - I również mordercze myśli.

Tymi byli wyraźnie mniej zainteresowani. Zdecydowanie woleli słuchać o tragedii, a nie o gniewie.

- A jak jest teraz? Jak ci się teraz żyje? Jesteś samotny? Masz depresję? Brakuje ci motywacji? - pytali, z troską i nadzieją zarazem.

- Me - odparł Alan. Roland potarł policzek.

- Domyślam się, że nie możesz na nas patrzeć - odezwała się po chwili Lynn. — Że dla ciebie to pewnie przykre spotkanie.

- Nie. Mógłbym powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Dzięki wam uświadamiam sobie, o ile lepiej się teraz czuję. O ile lepsze jest moje życie. W pewien sposób, rzekłbym nawet, powinienem być wdzięczny wam obojgu za to, co dla mnie zrobiliście. Gdybym nie sięgnął dna z waszą pomocą, być może już nigdy nie wypłynąłbym na powierzchnię.

Ten mały zadufany fiutek nic tylko gada o sobie. Porzygać się można, pomyślał Roland.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, że tak na to patrzysz -mruknęła Lynn. Uważnie obserwowała Alana. Po kilku miesiącach jego mowa ciała całkowicie się zmieniła. I w ogóle doskonale nad sobą panował. Wyraźnie też nie chował urazy, kolejna niezwykła rzecz. Był ponad to wszystko. Zaraz, zaraz... A może brał prozac lub coś podobnego?

- A jak tam w pracy? - spytał Roland.

- Dobrze.

- Zostałeś już współudziałowcem? -Nie.

- Dostałeś jakieś stanowisko kierownicze?

-Nie.

- Wciąż tyrasz po staremu?

- Tak, ale to mi odpowiada.

- Bierzesz środki na depresję? - spytała Lynn. -Nie.

-Ale przecież tak niesamowicie się zmieniłeś! - zauważyła. - Nawet poruszasz się inaczej. Wydajesz się mniej nerwowy i już nie robisz tych idiotycznych min, drastycznych i zbyt częstych. Alan był już tak odmieniony, że ta uwaga prawie wcale mu nie dojadła. Zamachał na kelnera, wiedząc, że ma tylko dwudziestoprocentową szansę na uzyskanie pożądanego rezultatu.

- Mogę prosić o piwo? - zapytał.

- A mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości? - odparł kelner. Bingo. Alan zerknął ukradkiem na Rolanda, któremu przyniesiono już piwo. I nikt go nie wylegitymował.

- Pana zdaniem on wygląda na mniej niż dwadzieścia jeden lat? - powiedział Roland do kelnera.

- Nigdy nie wiadomo - odparł tamten.

- Przepraszam, zgubiłem prawo jazdy - przyznał Alan. - Czy mimo to mógłbym dostać piwo? Mam trzydzieści cztery lata i jestem rok starszy od tego człowieka. Od niego pan nie żądał dowodu tożsamości.

- Kazano mi zdawać się na własny osąd — oświadczył kelner. - Nie powinienem podawać panu piwa, nie zobaczywszy dowodu tożsamości.

- Proszę bardzo, nie ma sprawy - odparł Alan. - Wezmę colę. Po odejściu kelnera Roland spytał Alana, czy nadal hoduje szczura.

Alan uśmiechnął się.

- O tak, Naleśniczek to cudowne zwierzątko. -Wiesz co?
Któregoś dnia napomknąłem Lynn, że
moim zdaniem chyba jednak powinieneś spędzić z nią ten
obiecany weekend - powiedział z uśmiechem Roland, gładząc
dłoń Lynn.

Wbiła w niego zaszokowane spojrzenie.

- To... to mi schlebia - odparł Alan, wyraźnie speszony - ale
obecnie jestem z kimś związany.

- A to ci szczęściara. A może szczęściarz? - spytał Roland.

- To kobieta - wyjaśnił Alan.

- Czy to ta dziewczyna, która odebrała telefon, kiedy
zadzwoiłem do ciebie?

-Tak.

- Jest gruba?

- Nie, a czemu pytasz?

- No bo wyraźnie uprawiała ćwiczenia, no wiesz, w tle leciało
wideo z aerobikiem i słysząc też było dyszenie, więc tak mi się
pomyślało, oho... pewnie jest gruba, próbuje zrzucić kilka
funtów.

- Kiedy zadzwoniłeś, właśnie rozmawialiśmy na drugiej linii, o
czym ci zresztą powiedziała, a dyszała, bo uprawialiśmy
telefoniczny seks.

Roland i Lynn mieli takie miny, jakby ich spoliczko-wano.

- A z czego ona żyje? Z sekstelefonu czy czegoś w tym guście? -
spytał Roland.

- Nie. Jest prywatnym detektywem.

- Żartujesz?

- Wcale nie. I ma broń.

Alan zauważył, że przetrawiają tę informację.

- A zatem jest profesjonalnym prześladowcą - zadu-

mał się Roland. - Idealna partnerka dla ciebie. Jak ją poznałeś?
Alan zawahał się.

- Wychodziłem właśnie ze spotkania AP, czyli Anonimowych Prześladowców - wyznał w końcu - ona zaś wychodziła ze swojego spotkania w sąsiedniej sali i wpadliśmy na siebie na korytarzu.

- A na jakim spotkaniu ona była?

Alan nie miał ochoty zdradzać aż tyle tym nieprzyjemnym ludziom. W końcu jednak zrobił to, bo nie do końca się wstydził tych informacji.

- To było spotkanie Anonimowych Seksoholików. Oczy Rolanda przypominały teraz piłeczki pingpongowe wrzucone do wody.

- Jest uzależniona od seksu?

- Była.

- Nie boisz się, że będzie cię zdradzała?

- Nie. Już z nią znacznie lepiej. Podobnie jak ze mną.

- Pewnie ma zszargane nerwy przez tego twojego szczura.

Alan zmarszczył brew i potrząsnął głową.

- Nie, kobiety z bronią zazwyczaj nie mają nic przeciwko szczurom.

- Bo mogą do nich strzelać?

- Nie, po prostu mają silniejsze nerwy.

Zadawali mu jeszcze inne pytania na temat jego życia i Alan zaczął nabierać wrażenia, że próbują rozwiązać jakąś zagadkę.

Dla niego to było jasne, co to za zagadka: Coś jednak musi szwankować w jego życiu, tylko co to takiego? Mieli takie trudności ze znalezieniem odpowiedzi, że w końcu postanowił udzielić im wskazówki, ubranej w formę kolejnej zagadki.

- Co jest potężniejsze od boga i gorsze od diabła, czego potrzebują bogaci, a mają to biedni? - zapytał, uchwyciwszy się stołu.

- Nie mam pojęcia - przyznał Roland.

- To była wskazówka - wyjaśnił Alan.

- Co było wskazówką?

- Ta zagadka, którą właśnie wam zadałem.

- Wskazówka do czego?

- Do głównej zagadki.

- Jakiej głównej zagadki?

-Tej, którą oboje próbujecie rozwiązać, odkąd tu usiedliśmy.

- A jak brzmi ta główna zagadka?

- Nie muszę wam mówić. Wszyscy troje wiemy, jak ona brzmi - odparł Alan.

- No to jak brzmi odpowiedź? - spytał Roland.

- Tak samo jak rozwiązanie tej mniej ważnej zagadki. Pozwolę wam samym ją odgadnąć. Podobno uczniowie trzeciej klasy częściej odgadują jej rozwiązanie niż absolwenci wyższych uczelni.

Podczas jazdy powrotnej na wieś Roland wpadł w zły nastrój, bo nie potrafił rozwiązać zagadki. Jechał i powtarzał ją sobie na głos. Lynn w milczeniu wyglądała przez okno, pogrążona w myślach.

- Nic - powiedziała w końcu cicho.

- Co? - spytał, zwracając się gniewnie w jej stronę. -Co ty tam gadasz? Mów głośniej!

-Nic.

- Coś powiedziałaś. Wyświadcz mi tę grzeczność i powtórz to, co byłaś tak nieuprzejma wymamrotać, *nom de merde!*

- Nic, to właśnie...

Podniósł rękę, chcąc ją uderzyć. Ona z kolei podniosła rękę, żeby osłonić twarz. Samochód zjechał z kursu. Wrzasnęła przeraźliwie. Zabrzmiały klaksony. Roland zjechał na pobocze.

- A teraz mi powtórz, coś ty, do cholery, powiedziała - wycedził cichym, chłodnym głosem.

Z oczyma zognionymi ze strachu dobierała starannie słowa, pilnując, by nie zaczynać odpowiedzi od słowa „nic”.

- Rozwiązaniem zagadki - odparła - jest słowo „nic”. To właśnie starałam się ci powiedzieć.

Urwała, nadal się bojąc, że może ją uderzyć. Tymczasem on wpatrywał się w kierownicę i wydawał z siebie jakieś ciche dźwięki, międląc zagadkę w głowie.

- Ha - prychnął w końcu.

- Więc co jest nie tak z życiem Alana? - dodała cicho Lynn. - Nic.

- No tak, temu małemu popaprańcowi się wydaje, że jest niesamowicie sprytny, z tą jego zagadką-szmatką.

Lynn zagapiła się na Rolanda, który uruchomił samochód.

- Ta jego zagadka jest tak durna - mruknął - że faktycznie mogą ją rozwiązać tylko trzecioklasiści. Trzecioklasiści i Lynn.

Trzy tygodnie później Alan kochał się właśnie ze swoją dziewczyną, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - wymruczała.

- Muszę. To może być mój przyjaciel Martin, który miewał ostatnio nastroje samobójcze.

Odebrał telefon, a Jessica przerwała swoje zajęcie,

przez szacunek dla samobójczego Martina, na wypadek gdyby to był właśnie on.

- Lynn? - powiedział Alan zdumionym głosem i usiadł. Jessica natychmiast wróciła do poprzedniej czynności.

Alan próbował ją odepchnąć, ale wiedział, że to na nic.

- Tak, to ja - odparła Lynn. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku, a u ciebie?

- Hm, tak sobie i dlatego właśnie dzwonię. Chciałam prosić o drobną przysługę. Hm... — I zaczęła mu opowiadać o Rolandzie, o tym, że jej zdaniem nie jest z nim najlepiej.

Alan czuł się skrepowany, że rozmawia przez telefon, gdy tymczasem Jessica obsługuje go z takim oddaniem i wprawą, ale nie znajdował sposobu na przerwanie rozmowy z Lynn, która była wyraźnie bardzo strapiona.

- Przykro mi, że sprawy nie idą dobrze - udało mu się wreszcie wtrącić. - Powiedziałaś, że chcesz poprosić o przysługę?

- Tak, widzisz... hm... naprawdę byłam pod wrażeniem, że tak bardzo się zmieniłeś, że wydajesz się o wiele szczęśliwszy. To cud, że twoje życie weszło na nowe tory, choć jestem pewna, że to wcale nie jest cud, że pewnie zawdzięczasz to ogromowi włożonej pracy. Tak więc pomyślałam sobie: skoro Alan mógł to zrobić, to każdy może. Mam nadzieję, że cię nie obraziłam, Alan.

- Nie obraziłem się - zapewnił ją Alan. Zaczął się bawić pistoletem, który Jessica cisnęła niedbale na stertę ubrań na podłodze. Wyjął pociski, a teraz obracał pistolet na palcu. Jessica dalej się nim zajmowała.

- Przejdę do rzeczy - ciągnęła Lynn. - Chciałam mianowicie spytać, czy zechciałbyś spotkać się z Rolandem, ale tym razem w cztery oczy, i udzielić mu jakiejś rady,

względnie... no sama nie wiem... po prostu zrobić coś dobrego. Alan z początku się zastanawiał, czy to przypadkiem nie jest jakiś kawał, ale miał wprawę w rozpoznawaniu prawdziwego nieszczęścia.

- Roland o tym wie? - spytał. - Nie.

- I uważasz, że byłby zainteresowany?

- Nie. W życiu. Musiałbyś jakoś go nabrać, wmówić mu, że masz problemy i chcesz mu się zwierzyć. Sprawić, by uwierzył, że to on ci robi jakąś przysługę, a nie ty mnie. W takim wypadku wszedłby w to, moim zdaniem.

- No tak... Posłuchaj. Miło mi słyszeć, że twoim zdaniem tak bardzo się zmieniłem, ale widzisz, jestem zawałony pracą. Żałuję, że nie mogę pomóc, ale naprawdę nie mam czasu. Po drugiej stronie linii zapanowała cisza.

- Byłeś moją ostatnią nadzieją - odezwała się w końcu cichym głosem. - Będę musiała z nim zerwać.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Jeszcze gorzej - odparła i zaczęła płakać. - Napastuje mnie werbalnie. Czasami również fizycznie.

- No to powinnaś go rzucić! Wyrwać się z tego związku - stwierdził Alan, celując z pistoletu w zegar wiszący na ścianie, jakby to była czyjaś głowa.

- Nie bardzo... nie bardzo mogę. Wciąż wierzę, że wszystko się zmieni na lepsze - zaprotestowała. - Dlatego przydałby się czyjś zbawienny wpływ.

Jessica, która najwyraźniej już się nasyciła, wstała i oddaliła się.

- Okay. Zrobię to - obiecał Alan, chcąc przerwać wreszcie tę rozmowę i przyciągnąć z powrotem swoją dziewczynę.

- Strasznie ci dziękuję - powiedziała Lynn.
- Nie ma za co. Tylko wymyśl jakiś' problem dla mnie.
- To jest obojętne. Na przykład... no że obawiasz się, że twoja dziewczyna może cię zdradzać czy coś w tym stylu.

Następnego dnia, kiedy Lynn weszła do domu z torbami pełnymi zakupów, do kuchni tanecznym krokiem wbiegł Roland ubrany w szorty.

- Zgadnij, kto dzwonił? - powiedział.

Od dawna nie oglądała go w równie pogodnym nastroju.

- Kto? -Alan.

- Naprawdę?

- Ano. - Roland wyciągnął z torby winogrono i wrzucił je sobie do ust.

- Czego chciał?

- Na to wychodzi, że miałem rację. Niczyje życie nie jest doskonałe. Jego też nie, mimo tego udawania i kretyńskiej zagadki. Ma jakieś kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Chce się ze mną spotkać, jak mężczyzna z mężczyzną, i zwierzyć. Co za palant.

Lynn ze smutkiem schowała mleko do lodówki.

- No i byłem taki sprytny, że wymyśliłem, co byśmy mogli z tego uzyskać.

- To znaczy?

- Cóż, w zamian za wyświadczenie mu przysługi poprosiłem, żeby pozwolił nam obejrzeć swoje mieszkanie.

- Po co?

- Zeby się mieć z czego później nabijać. Na wypadek gdyby jego problemy nie wystarczyły.

- Ale skoro on chce się z tobą zobaczyć jak mężczyzna z mężczyzną, to w takim razie ja nie mogę iść z tobą.
- Możemy spotkać się we troje u niego, potem ty wyjdiesz i zajmiesz się czym innym, gdy tymczasem ja zjem z nim lunch.
- Nie mam ochoty jechać do miasta.
- Ale jesteś męcząca. Jedziesz i koniec. Zrobiłem to dla ciebie.
- Co dla mnie zrobiłeś?
- Zmusiłem go, żeby pozwolił nam obejrzeć swoje mieszkanie! Zrobiłem to dla dobra naszego związku, z nadzieją że śmiech nas z powrotem zbliży. Jeśli nie pojedziesz tam ze mną, odbiorę to jako znak, że masz w nosie losy naszego związku.
- Okay, pojedę - obiecała Lynn z westchnieniem. Oparł się na niej całym ciałem, przyciskając ją do lodówki, i zadarł jej spódniczkę. Przyklejone do drzwiczek magnesy zaczęły zgrzytać i wbijać się jej w plecy. Próbowwała stawić mu lekki opór. Nie ustawał. Już tylko w jednej sytuacji w ich codziennym życiu nie budził w niej wstępu - kiedy udawał, że bierze ją przemocą. Ale nawet tutaj jego urok już blakł.
- Całkiem niczego sobie norka - stwierdził Roland, stojąc na środku głównego pokoju, gdy tymczasem Lynn zwiedzała inne części mieszkania. - Ale ten biały fotel coś tu nie pasuje. Jest brudny.
- Wiem - odparł Alan. - To moja chybiona inwestycja. Od dawna zamierzam się go pozbyć, ale nie mogę znieść myśli, że miałbym go ot, tak wyrzucić. Znać kogoś, kto mógłby go chcieć?
- Jezu, nie. Weź go po prostu wywal. I tego szczura

też, jeśli chcesz znać moje zdanie. No to jak, idziemy na lunch?

- Proszę bardzo - zgodził Alan. - Lynn, poradzisz sobie? Jeśli chcesz odpocząć, nie krępuj się i posiedź tu sobie, kiedy nas nie będzie. W lodówce jest mnóstwo jedzenia.

Lynn zaczęła protestować, ale Roland brutalnie wszedł jej w słowo.

- Naprawdę miło z twojej strony. Lynn na pewno chciałaby odpocząć, zanim wyląduje na ulicy.

Lynn przewróciła oczami, w reakcji na jego zamiłowanie do wprowadzania drobnych, obraźliwych aluzji w swoich komentarzach na jej temat.

- No to już wszystko wiemy. Pozwól tylko, że skoczę do łazienki, i potem możemy iść. - Alan wyszedł z pokoju.

- Kiedy nas nie będzie, pobuszuj tu trochę - szepnął Roland do Lynn. - Postaraj się znaleźć coś, z czego później będziemy mogli się śmiać. Wierz mi, potrzebujemy tego.

Obaj mężczyźni zostawili Lynn samą w mieszkaniu. Przy wychodzeniu Roland zgubił guzik.

Ray, bezdomny eks-psychoterapeuta, zdziwił się na widok Lynn i Rolanda wchodzących do budynku Alana i jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy zobaczył Alana i Rolanda wychodzących razem, ale bez Lynn. Zastanawiał się, co to wszystko oznacza, ale stłumił ciekawość, mówiąc sobie, że niezależnie od wytłumaczenia na pewno kryje się za tym coś trywialnego. Dziwni ludzie zwyczajnie starali się go udreńczyć, a on był zdecydowany się temu przeciwstawić.

- No więc, jaki masz problem, mały koleś? - spytał Roland, w gryzając się w cheeseburgera.

Francuskie naleciałości nie najlepiej się mieszały z jego amerykańskimi.

- Obawiam się, że moja dziewczyna mnie zdradza - odparł Alan, któremu zabrakło czasu na wymyślenie jakiegoś lepszego pretekstu do tego spotkania.

- Hm. A to przykre. Zaraz się tym zajmiemy, a najpierw spytam o coś, co mnie od dawna nurtuje: dlaczego bycie uzależnionym od seksu to jakiś problem?

- Przeszkadza w pracy i niszczy związki.

- Jak jej to mogło przeszkadzać w byciu prywatnym detektywem?

- spytał szyderczym tonem Roland. Szydzić potrafił normalnie.

- Na przykład wynajęto ją, żeby śledziła mężczyznę, który rzekomo miał romans. I mimo że nie miał romansu, ostatecznie wdał się w romans z nią właśnie.

- Ach, już rozumiem. I powiedziałaś, że poznałaś ją na spotkaniu Anonimowych Seksoholików, które odbywało się tuż obok spotkania twoich Anonimowych Prześladowców? Jak do tego doszło, że zaczęliście się umawiać?

- Oba spotkania odbywają się w jednym czasie i nieraz zobaczysz tam prześladowców i seksoholików, jak przyglądają się sobie wzajemnie. Nierzadko członkowie jednej grupy zaczynają się potem umawiać z członkami tej drugiej.

- Mów dalej, proszę.

- Kiedy uczestnicy obu grup spotykają się na korytarzu, towarzyszy temu ogromne napięcie. Wielu z nich umyka niczym przestępcy przyłapani na gorącym uczynku, starając się stawić opór swoim pokusom. Jessice, profesjonalnemu prześladowcy, spodobało się to, że nie wsty-

dziłem się nałogu. To było dla niej ważne, bo mój nałóg jest jej zawodem, a nie chciała być z kimś', kto wstydziłby się tego, czym ona zarabia na życie. Jest w tym pewna ironia, ponieważ dla odmiany wstydzi się własnego nałogu.

- Wstydzi się, że jest uzależniona od seksu?

- Och, strasznie. Prawdę mówiąc, kompletnie się tego wypiera.

To znaczy z początku się nie wypierała. Później, kiedy zapanowała nad swoim nałogiem, nie chciała już o sobie myśleć w tych kategoriach i nabrała przekonania, że już nie jest uzależniona od seksu. Musiałem jej stale przypominać o programie dwunastu kroków i o tym, że ten, kto raz się uzależnił, do końca życia pozostaje uzależniony.

- No, ale może już się wyzbyła nałogu - zauważył Roland.

Alan spojrzał na niego z rozdrażnieniem.

- Toczymy z sobą nieustające bitwy, bo ona chce, żebym się przebrał za różowego królika, poszedł z nią do Central Parku i tam uprawiał z nią seks, publicznie.

- To jakaś wariatka?

- Nie, seksoholiczka.

- I chce to zrobić na oczach wszystkich? Pośród tłumu?

- Tak, ale w ukryciu mojego kostiumu, żeby to nie było takie oczywiste, co my robimy.

- A często uprawiacie seks?

- Nie narzekam. Jessica jest jak urocza pacjentka, której trzeba regularnie podawać lekarstwa. Niemniej spotkania

Anonimowych Seksoholiczków bardzo jej pomogły, jest z nią o wiele lepiej. W przeszłości miewała nawroty nałogu, ale to się skończyło od czasu naszego poznania i moim zdaniem na razie na nic takiego się nie zanosi. Na-

prawdę jej ufam. - Alan pohamował się w porę. - Choć oczywiście jej nie ufam. Roland kiwnął głową.

- Więc na jakiej podstawie podejrzewasz, że cię zdradza?

- Och, na żadnej. To tylko moja paranoja.

- Ściągnąłeś mnie aż tutaj z powodu swojej paranoi? Człowieku, powiedz prawdę.

- To tylko takie uczucie. Ale pewnie się mylę.

- Podaj jakieś fakty.

Nie spodziewając się, że Roland będzie taki natarczywy, Alan nie przygotował żadnych faktów i dlatego musiał improwizować.

- O, weź na przykład fotel. Mój biały fotel. Są na nim jakieś plamy.

- A niech cię cholera, nie mogę uwierzyć, że kazałeś mi się wlec do miasta z powodu czegoś takiego.

- No to jak wytłumaczysz te plamy? - Alan zaczął gmerać w swojej sałatce ze szpinaku. - Tak wyglądają, jakby ktoś próbował je sczyścić.

- I co z tego? Twoim zdaniem ludzie czyszczą plamy od seksu, a od jedzenia to już nie? Na jakiej podstawie myślisz, że to są plamy tego właśnie pochodzenia?

- Nie wiem. To tylko takie wrażenie. Mówiłem ci, że to moja paranoja.

- Co jeszcze?

- E... To, że kiedy czasami do niej dzwonię, jest zadyszana, a kiedy pytam dlaczego, twierdzi, że się gimnastykuje, i dopiero w tym momencie w tle odzywa się kaseca wideo z aerobikiem.

- Może najpierw ścisza, kiedy odbiera telefon, a potem znowu robi głośniej, kiedy słyszy, że to ty. Co jeszcze?

- No któregoś razu, kiedy robiła ćwiczenia, powiedziałem jej, żeby się rozebrała, to będziemy uprawiali telefoniczny seks, a ona wtedy powiedziała coś takiego: „Zaczekaj, majtki mi się zaczepiły na obcasie”. Na obcasie? Nosiła buty na obcasach podczas ćwiczeń?

- Może miała na myśli but, który walał się gdzieś obok.

- Racja. Albo może mówiła o obcasie swoich czerwonych pantofli, które wkłada tylko na czas uprawiania seksu. A może kłamała i już była naga, już uprawiała seks z kimś innym, na moim poplamionym białym fotelu.

- Szkoda, że nie możesz przesłuchać szczura. On pewnie widział wszystko.

Alan nie odpowiedział. Wbił wzrok w swój talerz, znów się bawił szpinakową sałatką.

- Cholera, tak mi przykro, stary. Tak to brzmi, jakby rzeczywiście cię zdradzała.

- Nie, jestem pewien, że mnie nie zdradza. To wszystko dzieje się w mojej głowie. - Nagle podniósł rękę, dał znak kelnerce i zamówił piwo w nadziei, że zostanie wylegitymowany, ale tak się nie stało.

-A tak nawiasem, jak tam sprawy między tobą a Lynn? - spytał po chwili.

- Hm. Nie tak dobrze. Mój problem z Lynn polega na tym, że nie umiem pogodzić się z tym, że kiedyś mnie prześladowała. Przez to trudno mi ją szanować. Nie. Cofam to. Nie jestem w stanie jej szanować i tyle.

- To niedobrze. Możesz ją stracić.

- Fuj! Do czego zmierzasz?

- Nie chcę się tu wymądrzać, ale przez coś takiego przechodzi chyba mnóstwo ludzi? Przecież dalej byś pewnie za nią szalał, gdybyś nie zdobył jej tak całkowicie?

- Tu nie tylko o to chodzi. Nie mam problemu z ludźmi pokroju twojej dziewczyny, czyli takimi, którzy zarabiają na życie nękaniami innych ludzi, którzy prześladują, bo czerpią z tego zyski. Wkurza mnie natomiast, gdy ktoś robi to dla przyjemności. To jest tak samo jak z polowaniem. Polowanie dla przyjemności to obrzydliwość. Inaczej niż polowanie na jedzenie, które jest czymś dobrym. I stanowi przeciwieństwo seksu. Seks dla przyjemności jest dobry. Seks dla zysku jest zły.

- Ale ona tylko udawała, że cię prześladuje. Zmuszała się do tego.

- Już tego nie kupuję. Moim zdaniem to była jej przynęta, żeby mnie zdobyć.

- To była jej przynęta dla samej siebie, żeby cię chcieć. Nie żeby cię zdobyć.

- Nie kupuję tego! A poza tym, i to też pewnie zabrzmiało dla ciebie obrzydliwie, fakt, że ty chciałeś ją...

- No co?

- No cóż, ja w tym widziałem szczyptę pikanterii. Alan tylko wytrzeszczył oczy.

- Teraz, kiedy ty już jej nie chcesz - dodał Roland -nie jest już tak samo. Bo ty jej nie chcesz, prawda?

Alan zawahał się.

- Jest bardzo... ponętą kobietą. Roland parsknął.

- Oto odpowiedź na moje pytanie.

Alan usiłował przemówić mu do rozumu, wyśpiewywał hymny pochwalne na cześć Lynn, ale niczego nie wskórał. Poddał się i dopił swoje piwo.

Lynn nie myszkowała po mieszkaniu Alana. Siedziała na białym fotelu, przerzucając czasopisma o modzie,

które przyniosła z sobą, wykonała też kilka telefonów ze swojej komórki. A potem pograżyła się w myślach.

Kiedy obaj mężczyźni wrócili do mieszkania, Lynn podniosła oczy, sama jednak nie podniosła się z fotela.

- Przykro mi, ale to koniec, Roland. Nie wracam z tobą na wieś. Chcę się wypisać z tego związku. Zadzwońłam do Patricii, zatrzymam się u niej.

- Jesteś pewna, Lynn? - spytał Alan. - Porozmawialiśmy sobie przy lunchu.

- Jestem pewna, że bardzo konstruktywnie - odparła. Alan nie mógł z czystym sumieniem jej zapewnić, że rozmowa była bardzo konstruktywna.

- Nie wiem - odparł.

- Ale ja wiem - stwierdziła. - Tak będzie lepiej. Duma Rolanda nie pozwalała mu pokazać, że jest wstrząśnięty.

- Skoro tak sobie życzysz. Nie będę ci stawał na drodze - tylko tyle był w stanie powiedzieć.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Lynn zaczęła płakać. Płakała w ramionach Alana.

- Nie wiem, dlaczego płaczę. Wcale nie jest mi smutno.

- Ależ płacz sobie, ile chcesz - rzekł Alan, tuląc ją rycersko.

Kiedy Ray zauważył, że Roland wychodzi sam, nie wiedział, co myśleć. Próbował więc nie myśleć, podtykając swój kubek pod nos jakiegoś przechodnia bardziej energicznie niż zazwyczaj.

Osiem

Po wyjściu Rolanda Lynn i Alan przegadali całe popołudnie. Alan odwołał zaplanowane spotkanie z przyjaciółmi w parku, dzięki czemu mógł zostać i pocieszać Lynn.

Pili ziołową herbatę na kanapie, naprzeciwko pustego, białego fotela i rozmawiali o swych problemach. Lynn przeprosiła za sposób, w jaki oboje z Rolandem potraktowali Alana, a także za to, że nie dała mu żadnej szansy w sensie uczuciowym. Raz jeszcze wyraziła podziw wobec tego, że tak diametralnie odmienił swoje życie, i oświadczyła, że tak samo chciałyby postąpić ze swoim. Czy on jej pokaże, jak to się robi?

Alan wytłumaczył, że sprawdzonym sposobem jest poznawanie nowych ludzi, dlatego może zechciałyby przyjść na plan filmu, w którym właśnie grał; kolejne zdjęcia miały się odbywać następnego dnia, przy stawku z łódkami w Central Parku.

Lynn zauważyła, że nawet głos mu się zmienił. Był bardziej opanowany, głębszy, już nie taki ściśnięty. Jakby Alan go puścił. Rozmawiali, dopóki nie wróciła z pracy Jessica. Obie kobiety zostały sobie przedstawione i Lynn, która z jednej

strony bała się prywatnego detektywa uzależnionego od seksu, a z drugiej nie chciała stawiać nałogowi Jessiki na drodze, natychmiast sobie poszła.

Tamtej nocy Roland zadzwonił do Lynn, grożąc, że jeśli ona natychmiast nie wróci do domu, między nimi wszystko będzie skończone. Lynn oszczędziła sobie trudu i nie przypominała mu, że wszystko już skończone.

- Jak sobie życzysz - powiedziała tylko. Co za bezczelność, pomyślał.

Kręcenie sceny w Central Parku ostatecznie zabrało trzy dni, bo reżyser był perfekcjonistą w kwestii filmowania pocałunków, a akurat w tej scenie były dwa pocałunki.

Wielu ludzi przychodziło oglądać filmowanie, w tym sześciu anonimowych prześladowców, którzy chcieli kibicować Alanowi. Pieszce wycieczki były czymś bardzo ważnym dla tych ludzi, którzy rzadko wyprawiali się dokądkolwiek, a jeśli już, to tylko w grupach, by móc się wspierać w razie konieczności staczania bojów z pokusami.

Przyszli ze składanymi krzeselkami i najpierw skontrolowali swoje otoczenie, by się upewnić, czy jest w miarę możliwości wolne od pokus. Ku swojej konsternacji trzy ławki dalej wypatrzyli grupę ludzi wyposażonych w lornetki i teleskopy, skierowane na wysoki budynek po drugiej stronie Piątej Alei. Jeden z prześladowców chwycił za ramię członka ekipy filmowej.

- Na Boga, co robią ci ludzie?

- Obserwują ptaki.

- A czemu patrzą na ten budynek?

- Tam jest ogromne gniazdo jastrzębi, nad jednym

z okien. Mieszka tam rodzina jastrzębi o czerwonych ogonach. Miłośnicy ptaków przychodzą tu codziennie wiosną, by obserwować młode.

Prześladowca obrócił się w stronę swoich towarzyszy. Miał posępną minę.

- Ci ludzie prześladują jastrzębie. Prześladują całą cholerną rodzinę, nawet pisklęta.

Kompletnie załamani kompani zwiesili ramiona. Nie przewidzieli, że nadzieją się na miłośników ptaków.

-Jezu, oni mają pięć, nie, sześć teleskopów i zaraz... dziesięć... dwanaście lornetek!

Spierali się, czy powinni ryzykować i jednak zostać. Stwierdzili, że zostaną, tyle że tak ustawią swoje krzeselka, by siedzieć tyłem do amatorów ornitologii.

W tym momencie znowu pojawił się ów dobrze poinformowany członek ekipy.

-A w budynku obok tego z gniazdem znajduje się apartament Woodyego Allena i Soon Yi, którzy czasami wychodzą na balkon, żeby rozprostować kości, i kiedy to się dzieje, wszystkie teleskopy zmieniają kierunek.

Prześladowcy popatrzyli na siebie ukradkiem, z przestraczeniem, i z dezaprobatą potrząsnęli głowami, ale zostali. Bardzo chcieli zobaczyć występ ich przyjaciela Alana.

Podobnie jak Lynn, która też tam była, bo koniecznie chciała zobaczyć, jak bardzo zmienił się Alan. Natychmiast zauważyła, że nie tylko ona jest nim zafascynowana. Obserwowała go również pewna bardzo seksowna kobieta, która to wyglądała na przymurowaną do miejsca, to po prostu siedziała swobodnie i patrzyła na niego sugestywnie.

Alan przedstawił Lynn ekipie oraz seksownej kobiecie; okazało się, że to właścicielka luksusowego apartamentu,

w którym powstawała lwią część filmu. Przedstawił ją, po czym poszedł się ucharakteryzować.

Zabręczała komórka Lynn. To była Patricia, która powiedziała, że pewien kustosz chce zjeść z nią lunch w następnym tygodniu. Lynn wyznaczyła datę.

- I jeszcze stale zapominam ci powiedzieć - dodała Patricia - że nie przyjęto cię na obóz treningowy dla zawodowych zapaśników.

- Rozumiem - odparła cicho Lynn, chłonąc tę informację, dając jej czas, by przeniknęła do jej emocjonalnego strumienia krwi i dokonała swych prewencyjnych czarów.

Rozłączyły się.

Lynn obserwowała Alana, który kilka razy odegrał scenę pocałunku. Szczególnie zaabsorbowało ją, w jaki sposób jego palce wplatały się we włosy partnerki oraz czułość, z jaką odchyłał jej głowę. Była pełna podziwu, gdyż powtarzał tę scenę z nieskończoną cierpliwością i dobrą wolą, a partnerującej mu aktorce wcale to nie przeszkadzało, że go całuje. Przekomarzała się z nim i jednocześnie traktowała z absolutnym szacunkiem, a była całkiem atrakcyjna.

W którymś momencie przysiadła się do niej właścicielka apartamentu. Obie obserwowały Alana i jego sceniczną partnerkę.

- Wyznał mi, że był kiedyś prześladowcą - powiedziała do Lynn seksowna kobieta, nie odrywając oczu od Alana. - Nie pomyślałabyś, prawda?

- Nie - odparła Lynn.

- Ja bym nie miała nic przeciwko, gdyby mnie nękał. Lynn roześmiała się.

- A ja miałam - ujawniła, nie mogąc się powstrzymać.

Kobieta spojrzała na nią.

- Naprawdę?

Lynn tylko się uśmiechnęła.

- I co? Dobrałaś się do niego? -Nie.

- Jak to?

- Byłam wtedy kompletnie popieprzona. I on też. Przez kilka minut obie w milczeniu obserwowały plan zdjęciowy.

- Popatrz, jak ona z nim flirtuje - zauważyła po chwili seksowna kobieta. - Lafirynda. Za grosz wstydu.

Działo się to w przerwie między ujęciami i sceniczna partnerka Alana pokazywała mu ramiączko biustonosza, chichocząc przy tym. A potem zmierzwiła mu włosy.

- Yhy - zgodziła się Lynn.

- Chyba nie potrafię jej winić - ciągnęła jej rozmówczyni. - W nim naprawdę coś jest.

Lynn zaczęła kartkować czasopismo o modzie. Seksowna kobieta nachyliła się i zaczęła jej szeptać do ucha.

- Gdybyś mogła wybierać, który z tych facetów ma cię napastować, to którego byś wybrała? Nie licząc Alana, oczywiście. - Wskazywała palcem sześciu wychodzących z nałogu prześladowców.

- Żadnego.

- Ja też żadnego. - Urwała. - Choć może ten z końca, ot tak dla zabawy. - Oblizwała dolną wargę. - Ale nie miałabym z tego dużej przyjemności. - Po kilku sekundach dodała: - Jestem bardzo niegrzeczna - i wstała. Podeszła do prześladowców i powiedziała głębokim głosem: - Lubicie prześladować, chłopcy? Przytaknęli, jeden wymruczał „Tak”, a inny wyjaśnił: „Wychodzimy z nałogu”.

Powoli podeszła do tego, który siedział na końcu.

- A jeśli dziewczyna chce, żeby ją prześladować? - powiedziała. - Zrobiłbyś wyjątek?

Nagabywani z zażenowaniem zauważyli, że oddychają unisono, co natychmiast starali się przestać robić, przez co jedni nabawili się hiperwentylacji, inni zaś zaczęli się dusić. A potem spojrzeli na swego kumpla z końca; nie mógł się zmusić, żeby na nią spojrzeć, więc gapił się tylko na jej stopy.

- Znacie odpowiedź? - spytał w końcu jeden z nich. - Czy dopuszcza się wyjątki w przypadku kobiet, które chcą, żeby je prześladowano?

- Poważnie w to wątpię - odparł ten z końca, nadal wpatrując się w kobiece stopy i nerwowo podrygując nogą.

- Jesteś pewien? - spytała kobieta. - Naprawdę chciałabym, żebyś to ze mną robił. To byłoby takie... emocjonujące.

Lynn przysłuchiwała się temu, udając, że jest pochłonięta swoim czasopiśmem.

- Po prostu powiedz „nie” - szeptali do tego z końca. Tręcali go. - Wyrecytuj nasze credo.

- Okay. - Poprawił się na swoim krzeselku, chrząknął, nadal podrygując nogą, i zaczął recytować: - Nie będę nikogo prześladować, bo to nie dla mnie. Co wcale nie znaczy, bym nie miał zaprosić kobiety albo mężczyzny na randkę.

Powiedziałbym: „Czy pójdziemy do parku? Na spacer? Gdzie będziemy patrzeć na ludzi, a nie ich prześladować. Zechcesz mi dać swój numer telefonu? A może wolisz, żebym to ja ci dał mój? Ja też szanuję prywatność, i kobiet, i mężczyzn. W życiu nie zrobiłbym niczego, czego byś nie chciała albo nie chciał. A już na pewno bym cię nie prześladował”.

I wreszcie spojrział na nią z lękiem.

- Kiedy ja właśnie chcę, żebyś zrobił coś, czego ja nie chcę. Chcę, żebyś mnie prześladował. Prześladuj mnie! -wybuchnęła.

- Okay! - eksplodował, wyskakując z krzeselka. - Będę cię prześladował! Będę cię prześladował dniem i nocą, czy będziesz tego chciała czy nie. No idź! Musisz się ruszać, żebym ja mógł za tobą chodzić. Jeśli będziesz tak tu stała, nie dam rady nic działać. No więc ruszaj się. Zrób jeden krok, potem następny. - Krzyczał jej to w twarz, więc zrobiła krok w tył, a wtedy on zrobił krok w przód.

Pozostałym pięciu prześladowcom głośno zapało dech, a potem zakryli oczy rękoma, by nie patrzeć na tę kuszącą demonstrację.

Pojawił się Alan, który usłyszał, że coś się tam dzieje.

- Co jest?

Pięciu prześladowców nie umiało odpowiedzieć, bo byli zbyt zajęci ochranianiem siebie przed złym wpływem. Seksowna kobieta zrobiła jeszcze jeden krok w tył, a mężczyzna jeszcze jeden w przód.

- Tom! - wykrzyknął zaszokowany Alan. - Czy ty ją... prześladujesz?

- Wiesz, że tak!

- Jak to się stało?

Pięciu prześladowców wytknęło ją palcami, z twarzami wciąż odwróconymi od całego spektaklu.

- To ona to zrobiła! Straszna kobieta!

- Wszyscy tutaj są nienormalni - syknął Alan. - Lynn, wyjaśnij mi, co się stało.

- Naprawdę niewiele widziałam - odparła Lynn, nie chcąc wrabiać seksownej kobiety. - Ja... czytałam. - Podniosła czasopismo o modzie.

- Oni mówią prawdę - wtrąciła kobieta, butnie odchylając głowę, upodabniając się do Kathleen Turner, zdaniem Lynn. - Zrobiłam to i wcale tego nie żałuję.

- Na razie nie - odparł Alan.

- A ja ci mówię, że to mi się podoba.

-Na razie ci się podoba. Prześladowano cię raptem dwa kroki. Zaczekaj, aż będzie ich tysiąc.

- Już się nie mogę doczekać - wypaliła.

Alan zwrócił się do Toma, prześladowcy, który uległ nawrotowi nałogu.

- Po prostu się odwróć. Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz się odwrócić.

- Nie! - warknął tamten. - Nie dotykaj mnie. W życiu nie byłem taki szczęśliwy.

- Nie powinniście tego słuchać! - krzyknął Alan do pozostałych pięciu.

Wszyscy zatkali sobie uszy.

-Jeśli oboje tego chcecie, proszę, idźcie sobie i róbcie to gdzie indziej. Ja też nie powinienem na to patrzeć - powiedział Alan. - Czuję, że mój opór słabnie.

Ale tamci nie poszli gdzie indziej. Byli zbyt pochłonięci sobą, ona zrobiła maleńki kroczek w tył, a on zareagował jednym kroczkiem w przód. Ruszyli w piękny, nęcący taniec na oczach pozostałych. Jeden z nich przypomniał sobie nagle, że ma przy sobie swoją kasetę motywacyjną - kasetę nagraną specjalnie dla prześladowców narażonych na pokusy. Wyciągnął walkmana z plecaka i podzielił się słuchawkami z kumplem. Słuchali kasety przez kilka sekund, po czym pozwolili trzem innym słuchać jej przez kilka sekund, niczym pletwonurkowie, którzy dzielą się jednym ustnikiem połączonym z jednym zbiornikiem powietrza, by

ocaleć. Słuchawki przełamały się na pół, bo chwyтали za nie z histeryczną energią, ale wciąż działały.

Prześladowcy uspokoili się. Zamieszanie ucichło. Upadły prześladowca oddalił się w towarzystwie swojej ofiary i jedyną kłopotliwą rzeczą, jaka jeszcze została w ich otoczeniu, byli miłośnicy ptaków, od strony których co jakiś czas słyszało się różne rozprasające okrzyki typu: „Oba siedzą na balustradzie!” albo „Pracowity, pełen ptaków dzień!”

Prześladowcy wyzłościwiali się wprawdzie na miłośników ptaków, przestawili jednak krzeselka, by móc lepiej słyszeć irytujące spostrzeżenia, na przykład: „Podoba mi się, jak gołębie fruną w tamtym kierunku i zawracają na widok jastrzębia, udając, że się rozmyśliły”.

Przeważnie jednak rozmawiali o młodych. Za każdym razem, gdy któryś z miłośników ptaków zauważył biały, pierzasty łąpek wystający z gniazda, zaczynał przeraźliwie skrzeczeć i inni zaraz mu wtórowali.

Prześladowcy przewracali oczyma i skrepowani poprawiali się na swoich krzeselkach.

Jeden z nich wydawał się bardziej nerwowy niż pozostali, mniej mężny.

- Będę następny, po prostu to wiem - mówił, cały czas się pocąc.

- Myśl pozytywnie. Masz, posłuchaj kasety.

Wepchnęli walkmana w jego spocone dłonie. Przycisnął ułamaną połowę słuchawek do ucha, ale ciągle słyszał niebezpieczne paplanie o ptakach w drugim uchu. Jego frustracja narastała. Nie potrafił okiełznać pragnienia, by też podpatrywać pisklęta.

Nagle wśród miłośników ptaków wybuchło podniecenie.

Słyszało się pokrzykiwania: „Soon Yi wyszła na balkon!

Patrzcie! Tam jest Soon Yi!”

Pacyfikowany prześladowca cisnął walkmana w stronę swych
współbraci, wyskoczył z krzeselka i pokłusował w stronę
miłośników ptactwa, potykając się po drodze o trójnog i niemalże
przewracając kosztowny teleskop. Nie tracąc ani chwili, chwycił
cudzą lornetkę, nawet nie zdejmując paska z szyi jej właściciela.
- Ja też chcę obejrzeć pisklęta i Soon Yi!

Dziewięć

Tamtego wieczoru Lynn odebrała kolejny telefon od Rolanda.

Wydawał się łagodniejszy, wręcz skruszony. Przeprosił za to, jak ją traktował.

- No już, wskakuj do autobusu i przyjeżdżaj do domu.

-Nie.

- W porządku, tylko nie przypełzaj mi tu na kolanach za dwa dni!

- I rozłączył się.

Lynn jeszcze przez trzy dni chodziła na plan zdjęciowy. A potem filmowanie się skończyło. Alan musiał wracać do pracy w biurze rachunkowym. Kiedy Lynn dała mu do zrozumienia, że wpadnie w depresję bez jego towarzystwa, tylko parsknął śmiechem, bo nie miał pojęcia, co jej powiedzieć - raczej nie mógł zaprosić jej do biura, by mogła mu się przyglądać przy pracy. Nie domyślił się, że najprawdopodobniej przyjęłaby zaproszenie, bo była taka zafascynowana jego nowym „ja”. Ponieważ nie wystosował zaproszenia, potajemnie odprowadziła go do pracy, a potem „przypadkiem” wpadła na niego, kiedy wychodził na lunch. Zaproponowała wtedy, by zjedli wspólnie, ale on nie mógł, bo musiał zjeść lunch ze swoim klientem.

- Możesz mnie tam odprowadzić, jeśli chcesz - dodał.

Tak więc poszli razem i tuż przed wejściem Alan powiedział jej do widzenia.

- Cóż, ja też muszę zjeść lunch - odparła wtedy. - To dość miły lokal. Często przychodzę tu sama. Po prostu usiądę przy innym stoliku, jeśli ci to nie przeszkadza.

Nie mógł jej tego zabronić. Tak więc oboje weszli do środka, on lekko zdziwiony, ona zaś wybrała stolik, z którego mogła dobrze go widzieć. Przyglądała mu się podczas lunchu, udając, że czyta czasopismo poświęcone modzie. Miałaby trudności ze wskazaniem, co w nim tak ją oczarowało. Może po prostu chodziło o kontrast między tym, kim był kiedyś, a tym, kim był teraz. Przypomniła sobie, że już raz kiedyś podobny kontrast ją zwiódł - między Rolandem a właścicielem zajazdu; kontrast ucieleśniony w jednej osobie był jeszcze bardziej prowokujący. Co zaś się tyczy Alana, to był skonsternowany, nie tylko tym że Lynn przyszła do tej samej restauracji, ale że siedziała tam, gapiąc się na niego. Co z nią było nie tak? Zastanawiał się, dlaczego ta kobieta jest dla niego taką zagadką, bo przecież sam kiedyś zachowywał się podobnie. Rozpoznał symptomy. Ona go prześladowała! I wtedy pękło mu serce.

Niemniej był dla niej miły, kiedy zadzwoniła do niego; wiedział aż za dobrze, jakie męki przechodzą prześladowcy.

Jako że Lynn nie przypełzła ani po dwóch dniach, ani po sześciu, Roland zadzwonił kolejny raz, przemawiając jeszcze żałośniej.

Po raz pierwszy nie umiał jej rozszyfrować.

- Tęsknię za tobą - wyznał. - Pozwól mi przyjechać po ciebie. Przyjechałbym zaraz, moglibyśmy razem wrócić na wieś i zacząć wszystko od nowa.

- Przykro mi, Roland, już mnie nie interesujesz. Zakochałam się w Alanie.

- Co?! A to sukinsyn! Co on ci nagadał? Co ci obiecał?

- Nic. Nawet nie wie, że go kocham. A może coś podejrzewa, ale ja mu nic nie powiedziałam. A teraz żegnaj, Roland. Dbaj o siebie. - Rozłączyła się.

Zadzwoił jeszcze raz.

- Ty szmato! Natychmiast pakuj swoje dupsko do autobusu i wracaj tu, słyszysz? Bo inaczej sam po ciebie przyjadę, a wtedy dopiero pożałujesz!

- Błagam, zostaw mnie w spokoju. I zastanów się nad sobą. - Rozłączyła się.

No nie! Roland miał wrażenie, że oburzenie i wściekłość wypalają mu korzenie włosów, które zaczynały już rzednąć.

Zadzwoił po raz trzeci.

- To ty mi się naprzykrzałaś! Upokarzałaś się, poniżałaś jak jakaś dziwka, uganiałaś się za mną po ulicy, cała zziajana, a teraz masz czelność...

Rozłączyła się. Roland trzasnął słuchawką na widełki i zawył. A potem podniósł aparat obiema dłońmi i potrząsnął nim, po czym na dobitkę ścisnął go z całej siły.

- *Putain d'bordel de merdel* - syknął. Odstawił telefon i jeszcze raz wykreślił jej numer, oddychając głęboko.

- Nie rozłączaj się - zaczął błagalnie. - Pozwól dokończyć mi zdanie, o nic więcej nie proszę. Jak już mówiłem, to ty chodziłaś za mną po ulicy, a teraz masz czelność

odgrywać Pannę Niezdobytą, Pannę „Ja teraz daję komuś innemu"! - wrzasnął. - Jesteś obleśną zdzirą!

- Roland, zaraz się rozłączę.

- Ani mi się waż! Słyszysz? Umilkł. Rozłączyła się.

Już więcej nie zadzwonił. Pojechał do Nowego Jorku, zameldował się w hotelu. Kupił jej kwiaty. Kupił jej pierścionelek. Szedł za nią po ulicy, przy okazji gubiąc monetę.

- Wybacz. Kocham cię - powiedział, zrównując z nią krok i wyciągając w jej stronę małe, czarne pudełeczko.

Zerknęła na nie zezem, nie obracając głowy.

- To koniec, Roland. Nie chcę niczego od ciebie.

- Och proszę, po prostu przyjmij ten prezent. W moim sercu zapanuje wtedy spokój.

Zatrzymała się, otworzyła pudełeczko. W środku był pierścionelek z brylantem, jak się spodziewała. Zatrzasnęła wieczko, wręczyła mu prezent z powrotem i ruszyła przed siebie.

- Dzięki. Uroczy gest. Ale ja z tobą zerwałam, Roland.

Roland pociągnął nosem. Po wysokich kościach policzkowych spływały mu łzy.

- Kocham cię, Lynn. Potrzebuję cię, zwłaszcza teraz. Nie mogę żyć bez ciebie. Jeśli jesteś pewna, że nie chcesz spędzić reszty życia ze mną, czy przynajmniej nie mogłabyś porzucić mnie stopniowo, a nie tak gwałtownie? Proszę. Nie bądź taka okrutna.

Lynn przewróciła oczyma.

- Ośmieszasz się. A może tak zapisałbyś się do Anonimowych Prześladowców? Alan powiedział, że to było bardzo pomocne. - Przywołała taksówkę, wskoczyła do

środku i zostawiła go tak na chodniku, z kwiatami i pierścieniem,

Pojechała do restauracji, w której Alan miał jeść kolację ze swoją dziewczyną.

Kiedy tam weszła, usiadła stolik dalej i zajęła się ich obserwacją. Następnego dnia chodziła za Alanem po ulicy. Poszedł na masaż. Czterdzieści pięć minut później weszła do tego samego salonu i poprosiła, żeby wymasowała ją ta sama osoba, która dopiero co zajmowała się Alanem.

Poprosiła masażystę, żeby wymasował ją tak samo jak Alana, zgodnie z jego preferencjami. W trakcie próbowała sobie wyobrazić, że jest Alanem.

Lynn uważała, że chodzenie za Alanem i przebywanie blisko niego rozgrzewa ją i koi. Obserwowanie go napawało ją rozkoszą. Zastanawiała się, czy Alan naprawdę tak się zmienił, jak jej się wydawało, czy raczej ta zmiana zaszła w niej samej. Żeby się tego dowiedzieć, zawłokła na jedną ze swych prześladowczych misji Patricię.

Alan jadł z kimś lunch; usiadły w miejscu, skąd dobrze go widziały.

- No więc jak jest, to ja czy on? - spytała Lynn swoją asystentkę. - Dostrzegasz w nim jakąś wielką różnicę czy nie?

Patricia przypatrywała się Alanowi spod swoich krzaczastych brwi.

- Tak - odparła - przestał cię nękać i na tym polega różnica.

- Nie mówię o tym! Sama powiedz, czy on nie wydaje się... normalny?

- Owszem, tylko dlaczego to cię tak podnieca? Znasz mnóstwo normalnych ludzi. Albo może wcale nie znasz. Może za długo obracałaś się w świecie sztuki. Może powinnaś częściej spotykać się z bankierami, prawnikami i innymi mężczyznami tego pokroju.

- Ale czy to nie robi wrażenia, że teraz wydaje się taki normalny, zważywszy że przedtem wydawał się taki popaprany?

- Lynn, co ty z sobą robisz, ze swoim życiem? - spytała Patricia, z naciskiem pochylając się w stronę szefowej, omal przy tym nie maczając swych długich włosów w oliwie. - Nie możesz chodzić za tym facetem. Czego ty od niego chcesz? Chcesz się z nim związać? Jeśli tak, to zaproś go na randkę, ale nie chodź za nim.

- Nie mogę, on ma dziewczynę. - Lynn urwała. - Popatrz na niego, to nie jest jakaś powierzchowna zmiana w ubraniu, wadze, muskulaturze czy fryzurze. To dogłębna zmiana, która emanuje na zewnątrz. Ludzie, z którymi go widuję, wyraźnie bardziej go lubią. A kiedyś nikt go nie lubił. Teraz lubią go nawet jego ubrania. Obejmują go bardziej miłośnie, jakby były dumne z tego, że są skojarzone z takim wspaniałym facetem. Widać ich dumę w tym, w jaki sposób na nim wiszą.

Patricia już nie obserwowała Alana, tylko Lynn.

- Dlaczego masz taką obsesję na jego punkcie? Lynn zastanowiła się.

- Bo chyba przyjęłam założenie, że jeśli ktoś może się zmienić aż tak bardzo, to w takim razie musi być niezwykłą osobą.

Lynn chodziła za Alanem dzień po dniu, a z kolei Roland chodził za nią. Dla bezdomnego eks-terapeuty Raya

widok ten wiązał się z coraz to większą udręką i pokusą jednocześnie. Dostrzegł radykalną zmianę w porządku prześladowania i jego ciekawość zadzierała już swój wraży łeb. Zaczął się bać, że jeszcze trochę i przestanie nad sobą panować. Na razie wciąż stawiał opór i próbował bagatelizować całą sytuację. Z początku zawsze trudno im się oprzeć, ale tym razem nie dam się ogłupić. Jasne, zdarza się, że ktoś zmienia porządek prześladowania, ale to nic nie znaczy. I tak bym się rozczarował. Zbliżał się letni semestr i Alan próbował podjąć decyzję, na co się zapisać. Miał ochotę na kurs: „Jak mówić «nie» i nie mieć poczucia winy (oraz «tak», by zyskać na czasie)”. Nie mógł się nadziwić, że zaszedł tak daleko, bo przecież dwa semestry wcześniej zastanawiał się nad krańcowo przeciwnym kursem, zatytułowanym: „Jak zmusić każdego, by odpowiedział na twój telefon”.

W końcu zapisał się na czytanie map, pływanie i nawlekanie paciorków.

Alan szedł na pierwsze zajęcia z czytania map w doskonałym nastroju. Stawił się tam o osiemnastej czterdzieści pięć, kwadrans przed czasem. Ku jego przerażeniu do sali wykładowej weszła Lynn. Gapił się na nią ze zdumieniem, kiedy usiadła dwa krzesła dalej.

- Nie możesz uczęszczać na ten kurs — powiedział.
- Czemu nie?
- Bo to mój kurs.
- Ale przecież tu chodzą jeszcze inni ludzie - przypomniała, wskazując gestem pozostałych kursantów.
- Niby tak, ale ten kurs cię nie zainteresuje - nie ustawał Alan.

- A właśnie że zainteresuje.

W tym momencie do sali wykładowej wszedł Roland i usiadł między nimi.

Alan i Lynn spojrzeli na niego z przerażeniem.

- Wy, ludzie, nie powinniście chodzić na te zajęcia - powiedział Alan. - Dla was to będzie bardzo niedobre.

- Dlaczego? - spytali unisono.

- Nawet nie wiecie, jaki jest temat tego kursu, prawda? - Nie, a co to za kurs? - zainteresował się Roland, nagle przestraszony.

- „Zagubieni w przestrzeni: czytanie map dla geograficznie zdezorientowanych”.

Roland zaśmiał się i zaczerwienił. Jego śmiech tym razem zabrzmiał jak długie „nnn”, któremu towarzyszyły nieznaczne drgawki i płas, mające oznaczać, że to jest śmiech.

- Teraz rozumiem, co chcesz powiedzieć. Możemy umrzeć z nudów albo wstydu.

- Nie. Jesteście prześladowcami. Nawet się nie leczycie z nałogu tak jak ja. Ten kurs jeszcze bardziej pobudzi wasze prześladowcze ciągory. - Alan usiłował przemawiać ściszym głosem, ale przelotne spojrzenie na pozostałych słuchaczy upewniło go, że nie mówi dostatecznie cicho. Wymieniali zdziwione miny.

- Czemu miałyby pobudzić nasze prześladowcze ciągory? - spytała Lynn tonem pilnej uczennicy.

- Ponieważ ten kurs jest związany z przestrzenią, geografiami, przeznaczeniem, podróżowaniem, a wszystkie one stanowią elementy prześladowania. Nie wspominając już o śledzeniu. Siedzeniu map.

Roland właśnie przewracał oczyma, kiedy do sali wszedł instruktor.

- Co to jest mapa? - spytał głośno. - Mapa to ina-

czej ogólny widok na coś. Ułatwia wam oglądanie czegoś w szerszej perspektywie. Czy nie chcielibyście, by wszystko w życiu było tak łatwe jak posługiwanie się mapą?

- Nie - odparł Alan. - Wolałbym, aby czytanie map było równie łatwe jak wszystko inne w życiu; inaczej nie zapisałbym się na ten kurs.

W sali rozległy się chichoty.

- Poproszę teraz, by każde z was opowiedziało o swoich przeżyciach, kiedy się gdzieś zgubiliście - ciągnął instruktor. - Jeśli ktoś nie pamięta takiego epizodu, ma się wynosić z tego kursu.

-Ja ledwie pamiętam takie momenty, kiedy się nie gubiłem - powiedział Alan, kiedy nadeszła jego kolej. -Gubiłem się całe życie. Widzicie, jestem prześladowcą, który wyleczył się z nałogu, i wiem, że większość prześladowców staje się prześladowcami z powodu tego, co psychologowie nazywają „zaburzeniami więzi”, których podłożem jest brak troskliwego rodzica bądź opiekuna, zazwyczaj podczas pierwszych sześciu lat życia. W moim przypadku tak jednak nie było. Uzależniłem się z powodu kiepskiej orientacji w terenie. Pierwszy raz, kiedy się zgubiłem, jeszcze jako małe dziecko, pozostawił we mnie traumę. Było to w Central Parku i w końcu zacząłem za kimś chodzić, w nadziei że ta osoba wie, dokąd idzie, i że jej wiedza mi się udzieli. No cóż, nie udzieliła się, ale za to zaznajomiła mnie z chorobliwą przyjemnością, jaką jest chodzenie za kimś. Jak na ironię, kiepska orientacja w terenie jest bardzo niewygodna dla prześladowcy, bo utrudnia mu znajdowanie drogi do domu. Instruktor uniósł brwi i przeniósł uwagę na Rolanda.

- A z tobą jak jest?

Roland postanowił sprawdzić, czy instruktor nie żartował.

- W życiu ani razu się nie zgubiłem.

- Zastanów się dobrze - odparł. - Na pewno musiałeś kiedyś gdzieś się zgubić. Jeśli nie, to wynocha z kursu.

- No cóż - odparł Roland, dyskretnie upuszczając spinacz pod ławkę. - Nie wiem, czy to się liczy, ale właśnie teraz czuję się zagubiony. Zagubiony, bo nie wiem, co robię na tym kursie. Nauczyciel przez chwilę wpatrywał się twardo w Rolanda, po czym odwrócił się nagle.

- Tak, to się liczy - powiedział i urwał. - A teraz pogadajmy o osobowościach ludzi czytających mapy, a więc o takich, którym czytanie map przychodzi łatwo, i takich, którzy mają z tym trudności, i co to oznacza. Jak zapewne można domniemywać, ludzie, którzy nie radzą sobie z czytaniem map, są bardziej kreatywni.

Alan uzmysłowił sobie, że jest pewnie wyjątkiem od tej reguły.

- A ci, którzy są dobrzy w czytaniu map - podjął instruktor, spoglądając na Rolanda i Lynn - mają często osobowość bardziej analityczną, bardziej uporządkowaną, bardziej analną.

- Są mniej kochani? - spytał Alan.

- Nie, wcale nie - odparł instruktor.

- Są bardziej kochani? - zainteresował się Roland.

- Nie, tego bym też nie powiedział - odrzekł instruktor. A potem otworzył małą walizeczkę i wyjął z niej mapy. Rozłożył je kolejno na stole. - Przyniosłem mnóstwo map - oznajmił. - To mapa domu towarowego. A to mapa waszej psyche. Ta zaś pomoże wam odnaleźć drogę przez życie. Z kolei ta mała, zielona mapka pomoże wam odnaleźć to, czego naprawdę pragniecie.

Alan wstał, czując ulgę, że ma wymówkę, by nie

uczestniczyć w tym kursie w towarzystwie swojego prześladowcy i prześladowcy swojego prześladowcy.

- Przepraszam - powiedział do instruktora, biorąc swoją torbę. - Popełniłem błąd. Myślałem, że to będzie kurs czytania prawdziwych map.

- Och, proszę nie wychodzić - odparł instruktor. - Mogę cię nauczyć czytania wszelkich map. Mam mapy astrologiczne, mapy dla kucharzy, mapy serca, ciała i duszy. Mapy seksu, mięśni, mapy moralności, mapy historyczne.

Alan potrząsnął głową.

- Przykro mi, nie to miałem na myśli, kiedy się zapisywałem na ten kurs.

Już miał zrobić krok w stronę drzwi, kiedy instruktor wykrzyknął:

- Siadaj! Żartowałem.

Alan był zbyt oszołomiony, by usiąść, ale instruktor kazał wszystkim wstać i obwieścił, że wszyscy teraz idą do metra i rozpoczną kurs od nauki czytania map metra.

Instruktor schwycił Alana za ramiona, żeby nie wymknął się ukradkiem, i podprowadził go do drzwi. Kiedy Alan mijał biurko instruktora, zerknął na tytuły rozesłanych na nim map. „Mapa umysłu”, „Mapa serca”, „Mapa mięśni”, „Mapa seksu”.

Zeszli do stacji metra i stanęli na peronie naprzeciwko wielkiej mapy miasta Nowy Jork. Instruktor wciąż opasywał ramieniem Alana.

- A może zechcesz nam powiedzieć, do którego pociągu trzeba wsiąść, żeby dojechać do... na przykład, Union Square - zaatakował głośno Alana.

Alan poczuł się lekko urażony łatwością tego pytania. Odparł, że to linia numer sześć, wszyscy do niej wsie-

dli, a kiedy już wysiedli, instruktor spytał, gdzie jest północ, a gdzie południe. Alan nie wiedział i pomylił się, kiedy próbował zgadnąć.

Był bliski łez, ale dobrze się maskował.

- Wolałbym wrócić do czytania map serca i umysłu -powiedział. Instruktor był wyraźnie zadowolony.

- Proszę bardzo. Jaki jest najszybszy sposób na zmuszenie kogoś, żeby cię pokochał?

- Na pewno nie przez prześladowanie - mruknął Alan, patrząc spode łba na Lynn i Rolanda.

- Dobrze go traktować? - zgłosił się inny kursant.

- O czym ty mówisz? To kurs czytania map, nie kurs psychologii. Potrzebuję faktów, konkretnych informacji -spostponował go instruktor.

Zgasił wszystkich tą uwagą.

- Przez żołądek? - zaryzykowała Lynn. Instruktor parsknął i zabrał kursantów z powrotem do metra.

- Teraz się nauczymy, jak pytać o drogę. Roland, ty zaczynasz. Spytaj pierwszą osobę, która się nawinie, jak dojechać do Times Square.

Roland kategorycznie odmówił, twierdząc, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie pytałby nikogo o drogę.

- Ja zawsze wiem, dokąd się wybieram.

- A dokąd się teraz wybierasz? - spytał instruktor.

- Donikąd. Siedzę na tej ławce.

- Zgadza się. Nie wybierasz się donikąd, a kiedy już wreszcie wykonujesz jakiś ruch, coś cię pcha w stronę życia pełnego nieszczęść. Musisz wiedzieć, dokąd zmierzasz. - Zwrócił się do Alana. - Pozwól, że cię o coś spytam, Alan. Dokąd chciałbyś się udać?

Alan zawział się i za wszelką cenę próbował znaleźć odpowiedź.

- Pytam o cel życia - dodał tymczasem instruktor. Alan westchnął z ulgą.

- Pragnę osiągnąć życie w harmonii i być całkowicie wolny od ciągłot prześladowczych.

Instruktor skinął głową.

- A ty? - zwrócił się do Lynn.

- Chcę być kochana przez tego mężczyznę - powiedziała, wskazując Alana.

- A ty? - spytał instruktor Rolanda.

- Chcę być kochany przez nią - odparł Roland, wskazując Lynn.

- I bardzo dobrze. Za tydzień przyniosę wam mapy, które pokażą wam drogi do tych miejsc. Roland chrząknął głośno.

- Jakiś problem? - spytał go instruktor.

- Co to jest za kurs?

- To jest kurs czytania map! - wrzasnął instruktor. - Cele to inaczej miejsca. Dam wam mapy, dzięki którym osiągniecie swoje cele. Nauczę was, jak się czyta te mapy. Czego jeszcze chcecie ode mnie? Czy to nie wystarczy?

- To bardzo dużo - odparł Roland. - Mam tylko drobne zastrzeżenia wobec twojej tezy, że cele to inaczej miejsca.

- W życiu - wyjaśnił instruktor - można osiągać cele różnymi środkami, również fizycznymi. Jest jedno miejsce na wszystko. Nie słyszeliście o nim wcześniej?

- Tak, na ogół to schowek na szczotki i inny sprzęt do sprzątnięcia - zauważył ktoś.

- Jest miejsce na wszystko i czas na wszystko. Czas niestety, w wypadku niektórych z was, już minął. Kiedy

czas mija, nadal możecie dotrzeć tam, dokąd chcecie, tylko musicie wiedzieć, gdzie to jest.

- Cześć, Lynn - usłyszała za sobą Lynn. Przestraszyła się, że to ktoś znajomy, kto nie uczęszcza na kurs. Siedziała na oparciu ławki, trzymając stopy na siedzeniu, razem z resztą kursantów. Obróciła się w stronę głosu i zobaczyła, że to właścicielka pewnej zażarcie rywalizującej z nią galerii. Towarzyszył jej mąż, współwłaściciel.

- Cześć, Trący, cześć, John - odparła znużonym głosem Lynn, nie wstając.

- Co tu robisz? - spytała Trący.

Lynn spojrzała na nich, nie odpowiadając od razu, tylko lekko kiwając głową.

- Jestem tu z przyjaciółmi, po prostu się obijam. -W metrze? -

Trący uśmiechnęła się. - To twoja paczka? -Uhu.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział do nich instruktor - ale przeszkadzacie w moich zajęciach.

- Och. A co to za zajęcia?

- Czytanie map - odparł instruktor, lekko skłaniając głowę.

Trący i John próbowali ukryć nie zdziwienie, tylko rozbawienie.

- Przepraszamy - powiedzieli i pomachali Lynn na pożegnanie.

Podczas następnych zajęć instruktor oświadczył, że znalazł ich mapy.

Na mapie Lynn znajdowała się strzałka wskazująca miasteczko Westchester, z ręcznie wypisanym adresem i słowami „Skrzyżowanie miłości Alana" pod spodem.

Na mapie Rolanda znajdowała się strzałka wskazująca miasteczko na Long Island, a oprócz tego wyrysowano na niej drogę, która wiodła do pola o nazwie „Zwykłe Płaskie Pole”, z dopiskiem pod spodem: „Opustoszałe pole miłości Lynn”.

Na mapie Alana znajdowała się strzałka wskazująca miasteczko w stanie New Jersey z ręcznie wypisanym adresem, a dalej słowa „Restauracja harmonii i wolności od ciągot prześladowczych dla Alana”.

- Wystarczy teraz, że wszyscy pojedziecie do tych miejsc i zdobędziecie to, czego chcecie - powiedział instruktor.

- Co to jest, jakieś magiczne sztuczki? - spytał Roland.

- Nie. Czy kiedykolwiek zauważyliście, że czasami dostajecie to, czego chcecie, niespodziewanie, bez żadnego oczywistego powodu, i to długo po tym, jak już porzucicie nadzieję, że to coś dostaniecie? Cóż, zazwyczaj tak jest, bo przypadkiem, nieumyślnie natykacie się na miejsce, gdzie to coś można zdobyć. Na przykład zdarza się, że bez skutku staracie się zdobyć wspaniałą posadę, i okazuje się, że zdobycie owej posady jest przypadkiem ulokowane pod pewnym drzewem w Central Parku. No i któregoś dnia wybieracie się tam na spacer, zupełnym przypadkiem przechodzicie pod tym drzewem, no i cóż, wiecie, co dzieje się potem...

- Dostajemy tę posadę? - spytał jeden z kursantów.

- Nie inaczej - odparł instruktor. - Choć pewnie mi nie wierzycie. I jeśli kiedykolwiek pojedziecie do tych miejsc i nie dostaniecie tego, czego chcecie, to wcale nie oznacza, że metoda jest zła, to tylko oznacza, że mapy są złe, niedokładne. Nie zawsze można ufać swoim źródłom.

Wbrew ich żarliwemu pragnieniu, by zdobyć to, czego chcą, ani Lynn, ani Alan, ani Roland nie uwierzyli w mapy ani nie mieli zamiaru udawać się do tych miejsc.

Alan się zdenerwował, bo Lynn i Roland zostali przyjęci na jego kurs „Nabywanie pewności siebie na głębokiej wodzie”. Pływali nadzwyczaj dobrze. To nie było sprawiedliwe, że się dostali.

W poprzednim semestrze Alan zapisał się na kurs pod nazwą: „Sparaliżowani strachem się nie topią”. Zgodnie z opisem ujętym w katalogu były to: „Specjalne zajęcia dla tych, którzy mają w sobie głęboko zakorzeniony strach przed wodą. Porozmawiaj o przyczynach swojego strachu, dokonaj łagodnych korekt i przyzwyczaj się do wody”. Kiedy przyszła kolej Alana, żeby mówić o przyczynie jego strachu, powiedział, że bał się tego, co może się kryć na głębokiej wodzie, a ktoś wtedy podpowiedział: „Jeszcze więcej chloru”.

Marzeniem Alana było zdać wreszcie test próbny poprzedzający kurs z ratownictwa, w ramach którego musiałyby: „Pokonać pięćset jardów crawl, motylkiem i żabką. Zanurkować, podźwignąć dziesięciofuntową cegłę i ponownie się wynurzyć. Pływać na stojąco z użyciem samych nóg przez dwie minuty”. Ach. Samodoskonalenie było czymś cudownym, ale do zdania tego egzaminu wiodła długa droga. Alan wciąż ledwie potrafił pływać i zaczynał podejrzewać, że ludzie utrzymują się na powierzchni wody nie dzięki prawidłowym wymachom kończyn, tylko właściwej osobowości.

Wykonywał wymachy z wielką precyzją, jak ci, którzy stosują przepisy kulinarne bardziej dokładnie niż to ko-

nieczne. Raz, dwa, trzy. Kiedy płynął, skupiał się bardziej na płynięciu w górę niż w przód. Rezultat był taki, że nie przemieszczał się zbyt prędko. Miał też nieprzyjemne wrażenie, że jest robalem w misce klozetowej, którego zaraz ktoś splucze. Czuł wręcz, że się poci w wodzie. I wcale nie pomagało, że Roland płynął obok, naigrawając się, starając się go ośmieszyć w oczach Lynn, ani też że Lynn płynęła u jego drugiego boku, wpatrując się w niego z miłością, mówiąc mu, żeby się rozluźnił.

- Ty się topisz - kpił z niego Roland.
- Nieprawda, wcale się nie topisz - zapewniła go Lynn. - A zresztą ja cię uratuję w razie czego.

Pewna Japonka uczestnicząca w kursie powiedziała mu, że mógłby służyć za młot, że w Japonii ludzie, których kości są tak ciężkie, że mają kłopot z utrzymaniem się na wodzie, nazywani są właśnie młotami. Alanowi strasznie się to spodobało; bez wątpienia był młotem. Miał nadzieję, że Japonka powie to instruktorowi.

- Alan, pozwól, że zadam ci pytanie - powiedział Roland.
Alan spojrział na niego spode łba, starając się, by to mu nie przeszkodziło w robieniu wymachów.

- Dlaczego dotąd nie nauczyłeś się pływać?

- Tak jakoś wyszło - odparł Alan.

- Miałeś jakieś traumatyczne doświadczenia jako dziecko, dryfowałeś całymi dniami w wodach pełnych rekinów, przywarłeś do jakiejś rury? - ciągnął swoje Roland, przewracając się na grzbiet i leniwie płynąc obok Alana. - Bo ty chyba masz jakieś paskudne wspomnienia związane z wodą, mam rację?

- Mylisz się. Mam tylko jedno wspomnienie i jest ono czułe.

- Powiadasz. A cóż to za wspomnienie?
- Nic takiego.
- No dalej, powiedz mi.
- Nie. - Pasja, z jaką wymówił to słowo, sprawiła, że na chwilę pogubił się w układzie wymachów i opił się wodą. To go na chwilę wytrąciło z równowagi, ale spał się w sobie.
- No mów! - powiedział głośno Roland.
- Ciii - upomniał go Alan.
- Mów! - nastawał na niego Roland, znowu głośno.
- A niech cię cholera. Miałem wtedy pięć, może sześć lat, pływałem na materacu i pewna kobieta pomogła mi pogłaskać mangorybę. Zadowolony?
Roland otworzył szeroko oczy. Zaczął płynąć na boku, cały czas przyglądając się Alanowi.
- Mangoryba.
- Tak, to taka łagodna ryba, która czasami pozwala się pogłaskać.
- I pogłaskałeś tę rybę? - Tak.
Alan, Roland i Lynn dopłynęli do końca basenu i nawrócili.
- Jak wygląda mangoryba? - spytał Roland.
- Nie widziałem jej. Nie lubi być oglądana.
- Ale lubi, jak ją głaskać. Hmm. Jakie to było uczucie?
- Tak jak sobie wyobrażasz rybę w dotyku.
- Czyli?
- Miękka i śliska.
- Tamta kobieta nie powiedziała przypadkiem: „To idealny dzień na ryby”, prawda? - spytał Roland.
Alan pobladł i po jego ciele przeleciał chłód, spra-

wiając, że znowu pogubił się w wymachach. Woda wlała mu się do nosa, a potem młóćąc rękami, pieskiem dopłynął do skraju basenu. Lynn schwyciła go w pasie, przyciskając się do niego całym ciałem. Uchwycił się brzegu basenu, ale nie puściła go od razu. Musiał ją odepchnąć.

- Wystarczy. Już dobrze - zmitygował ją, po czym zwrócił się do Rolanda: - Żadnym sposobem nie mogłeś tego wiedzieć. Skąd wiedziałeś, że ona to powiedziała?

- Chyba strzał na ślepo - odparł Roland, posuwając się do przodu za pomocą samych nóg, na stojąco.

Alan zirytował się, bo pływanie na stojąco było przedmiotem najtrudniejszych zajęć, o których mógł na razie tylko pomarzyć. Wiedział, że Roland o tym wie i dlatego tak się popisuje.

- Ale posłuchaj, może któregoś dnia powinieneś opowiedzieć tę historyjkę jakiemuś psychoanalitykowi. Wspomnienie jest zaiste urocze, ale specjalista na pewno wynajdzie tu jakieś wytłumaczenie, dlaczego tak unikasz wody. - Roland wygiął się w łuk i fiknął kozła pod wodą.

- Skąd wiedziałeś, że ta kobieta to powiedziała? - powtórzył Alan, gdy Roland się wynurzył.

Roland zerknął na Lynn, by sprawdzić, czyjego wiedza zrobiła na niej wrażenie. Zobaczył jednak, że ona uśmiecha się anielsko do Alana, i obwisła mu twarz.

- Nie musisz się tak jeżyć - powiedział do Alana. - Studiowałem na Harvardzie, nie pamiętasz? Nic nie pobije dobrego wykształcenia.

Alan zamrugał, porażony przepastną i tajemniczą wiedzą Rolanda, która wyposażyła go w taką psychologiczną przenikliwość, dzięki czemu potrafił spekulować, co ktoś powiedział przed trzydziestu laty.

- Proponuję, żebyś przeczytał opowiadanie Salinger

Idealny dzień na ryby - ciągnął Roland. - Być może znalazłbyś tam jakąś wskazówkę, dlaczego nigdy nie nauczyłeś się pływać. Albo i nie.

- Jest mi to obojętne. - Alan ostrożnie oderwał się od skraju basenu i znów popłynął żabką. Lynn i Roland otoczyli go z dwóch stron niczym dwie ryby-piloty.

Instruktor powiedział kursantom, że w następnym tygodniu będą się uczyli, jak robić nawroty, jak się utrzymywać na głębokiej wodzie, i że być może za trzy tygodnie poznają jakieś figury z tańca synchronicznego.

Dwa dni później w galerii Lynn odbywał się wernisaż. Lynn raz po raz zerknęła na zegarek. Wiedziała, że kursy jogi, na które chodził Alan, kończą się o siódmej, i chciała tam być wtedy, dzięki czemu mogłaby go prześladować przez kilka godzin.

Za dziesięć siódma podeszła do Patricii, która stała z kieliszkiem białego wina i rozmawiała z dwoma artystami. Lynn powiedziała jej, że wychodzi.

- Nie możesz teraz wyjść - zaprotestowała Patricia. - Spójrz, kto właśnie przyszedł.

Mówiła o Aaronie Goldingu, starszym kustoszu oddziału z malarstwem współczesnym w nowojorskim Metropolitan Museum of Art.

- Mogę i zrobię to - odparła Lynn. Patricia histerycznie chwyciła ją za ramię.

- Ale właśnie przyszła Aggie.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła Lynn, wrywając rękę. Wyszła ze swej zatłoczonej galerii, unikając kontaktu wzrokowego z Aggie Slinger, dyrektorką Museum of Modern Art i bardzo bogatą kolekcjonerką sztuki w jednej osobie.

Kilka miesięcy wcześniej Lynn uważałaby każdego właściciela galerii, który wychodzi z wernisażu w chwili, gdy zjawia się na nim Aggie, za osobę niespełna rozumu. Tymczasem teraz pobiegła do sali gimnastycznej i była w samą porę. A potem szła po ulicy za Alanem. Obejrzała się. Za nią szedł Roland.

Alan próbował zgubić swoich prześladowców, bo wybierał się właśnie na warsztaty z nawlekania paciorków. Był doskonalszy, ale nie doskonały; wciąż zdarzało mu się czuć niepewnie. W poprzednim semestrze nie chciał, by jego dziewczyna się dowiedziała, że chodzi na kurs nawlekania paciorków, a w tym semestrze nie chciał, by się dowiedziała, że on to dalej ciągnie. Jessica, jak przystało na detektywa, wiedziała o wszystkich jego poczynaniach, tak więc kiedy dawał jej w prezencie dziwaczne naszyjniki i twierdził, że kupił je dla niej, wiedziała, że w rzeczywistości zrobił je sam.

Alanowi wydawało się, że przechytrył swoich dręczycieli, ale się mylił. Też zapisali się na ten kurs.

Wszyscy kursanci zajęli się nawlekaniem i nie odzywali się do siebie. Słysząc było tylko Rolanda, który nucił cicho *Ne me quitte pas*.

— Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyś nie miała takiej obsesji na punkcie Alana - odezwał się w końcu do Lynn. - Czytam mapy lepiej niż on. Czy raczej ja potrafię je czytać, a on nie. Lepiej śpiewam. Lepiej pływam, czy raczej on nie potrafi. I lepiej mi też idzie z nawlekaniem paciorków.

Alan nie reagował. Mężnie tworzył swoją nędzną bransoletkę. - A tak w ogóle czemu postanowiłeś zapisać się na ten kurs? - spytał go Roland.

- Bo myślałem, że mi się spodoba - odparł Alan.
 - Zawsze chodzi tylko o ciebie, prawda? - wycedził Roland. - Myślałeś, że ten kurs ci się spodoba. A co z nami? Wprost nie pojmuję, dlaczego nie wybierasz zabawniejszych imprez, przez wzgląd na nas, biedaków, którzy za tobą chodzą. Bo przecież wiedziałeś, że przyjdziemy tu za tobą. Wiedziałeś, że się nie powstrzymamy. Gdybyś liczył się z innymi, skonsultowałbyś się z nami.
 - A mnie się podobają wszystkie kursy Alana - oświadczyła Lynn.
 - Moim zdaniem Alan robi to celowo - dowodził Roland, upuszczając spinacz. - Wybiera śmiertelnie nudne zajęcia, żeby mnie torturować.
- Alan ignorował ich i starał się koncentrować na swoich paciorkach. Miał uczucie, że już sknocił wzór. Jeden niebieski, jeden czerwony, jeden biały. Czy raczej jeden czerwony, jeden niebieski, jeden biały? Nie mógł sobie przypomnieć kolejności. Instruktorka pokazała nowe paciorki, wykonane z kryształków. Wszystkie były rozmiaru zielonego groszku i wyjaśniła, że każdy typ kryształu ma szczególne metafizyczne właściwości. Opisała je, podnosząc kryształki kolejno w górę, by wszyscy uczestnicy kursu mogli je obejrzeć.
- Cytryn bywa nazywany kamieniem sukcesu. Wzmacnia wolę mocy i łagodzi huśtawki nastroju. - Potem podniosła w górę blad różowy koralik i powiedziała: — To kwarc różowy, czyli kamień miłości, ale to pewnie wszyscy wiecie. Z kolei dumortieryt pogłębia talenty organizacyjne, samodyscyplinę, zamiłowanie do porządku. Ametyst -ciągnęła, pokazując przezroczysty, fioletowy koralik - został nazwany kamieniem „nałogowców” z powodu jego metafizycznych właściwości redukcji nałogów. Kal-

cyt pomaga, jeśli macie poczucie, że straciliście ducha, i w razie problemów z pamięcią. Żółty topaz wzmacnia kreatywność. Peridot zmniejsza zazdrość. Sugilit, zwany również luwulitem, pomaga uporać się z szokiem i rozczarowaniem. Turmalin potęguje szczęście. Tektyty natomiast to szkliste minerały rzekomo pozaziemskiego pochodzenia. Stymulują inteligencję. Po zaledwie piętnastu minutach nawlekania paciorków Alan się zirytował, że Roland zagarnął dla siebie większość topazów, paciorków odpowiedzialnych za kreatywność. Alan miał ich tylko trzy, za to Roland może ze czterdzieści. I z jego palców spływały olśniewające sznury koralików, a wszak były to jego pierwsze zajęcia. Alan próbował wymienić się z nim, ofiarowując paciorki miłości w zamian za te od kreatywności. Roland odmówił.

Potem instruktorka popełniła błąd, bo wyszła z sali na kilka minut. Roland wciąż nie chciał się zamienić, a w Alanie narastało poczucie niesprawiedliwości. Przepętniony frustracją potajemnie, dyskretnie włożył trzy złote topazy do ust, jeden po drugim, i połknął je. Wymyślił sobie, że ich wpływ na jego kreatywność będzie bardziej skuteczny, jeśli przenikną do krwiobiegu.

Lynn zauważyła, co on robi, i z początku się zaniepokoiła, ale kiedy dostrzegła w tym logikę, uznała, że to bardzo sprytne, i zaczęła połykać paciorki miłości.

Roland zauważył, co ona robi, przeraził się i chwilę później robił to samo, połykając różowy kwarc, by zdobyć miłość Lynn, a także żółty topaz, żeby zirytować Alana.

Troje paciorkożerców rzuciło się na koraliki, które rozsypały się po całym stole.

Zadzwoiła komórka Lynn. Nie miała ochoty przerywać walki o paciorki, ale przy trzecim sygnale odebrała.

Dzwonił Arthur Crackallicci, jeden z jej bardzo bogatych klientów. Rok wcześniej kupił obraz za sto tysięcy dolarów, była to jak dotąd jej największa transakcja.

- Patricia jest bardzo tajemnicza w sprawie twojego miejsca pobytu, Lynn - powiedział.

- Jest tajemnicza, bo nie wie, gdzie jestem - odparła Lynn, nerwowo popatrując na Alana, który pożerał paciorki inteligencji, te pozaziemskiego pochodzenia, w nadziei że udoskonali swą umiejętność czytania map.

- Wspaniały wernisaż, a tymczasem ty zniknęłaś, zanim zdołałem się z tobą przywitać. Oczywiście nie mogę się obrazić, bo zrobiłaś to samo z Aggie. Mój Boże, Lynn, akurat z Aggie. Na wszystkich zrobiło to spore wrażenie. Teraz uważają, że jesteś bardziej tajemnicza niż kiedykolwiek. Kogo teraz posuwasz? Kto jest ważniejszy od Aggie? Nikt mi nie przychodzi do głowy.

Zaraz, czy to Biały Dom? To tam pojechałaś? Gdzie jesteś teraz?

- Jestem na warsztatach nawlekania paciorków, Arthur.

- Możesz powtórzyć?

- Warsztaty nawlekania paciorków - powtórzyła wyraźnie.

- A czego ty się wstydzisz? Nawlekanie paciorków to fantastyczne zajęcie, jestem pewien.

- Wcale się nie wstydzę.

- No to skąd ta tajemniczość?

- Nie miałam pojęcia, że wyląduję na warsztatach z nawlekania paciorków, dopóki się tu nie znalazłam.

- Testujesz nowy styl życia? Styl „Nie mam pojęcia, gdzie wyląduję, dopóki się tam nie znajdę”? Styl „Olewam dyrektorkę MoMa i idę na warsztaty z nawlekania paciorków, choć nawet nie wiem, że one tam są”?

- Tak jakby - odparła Lynn.

- No cóż, nie chcę cię zatrzymywać - powiedział Arthur Crackallicci i westchnął. - Ale przy okazji spytam, czy masz aktualnie jakieś prace Charliego Santi, bo pewien mój znajomy miałby ochotę wpaść do twojej galerii w przyszłym tygodniu i obejrzeć je.

- Jasne że mam. Cudowne dzieła. Powinieneś zobaczyć jego ostatni obraz. Powiedz znajomemu, żeby zajrzał do mnie, i ty też powinieneś. Porozmawiamy niebawem. - I rozłączyła się.

Co ciekawe, turmaliny zostały prawie nietknięte, niewątpliwie dlatego że paciorkożercy uznali, iż osiągną nirwanę prędzej, gdy będą jedli kamienie specyficznie odpowiedzialne za szczęście. Z tych samych powodów nie skosztowali paciorków nałogowców, paciorków pamięci, sukcesu, organizacji i antyzazdrości, z wyjątkiem kilku przez przypadek.

Kiedy już wszystkie użyteczne paciorki znalazły się w ich żołądkach, zabrali się z powrotem do nawlekania.

- Czuję się jeszcze bardziej kreatywny niż przedtem - pochwalił się Roland, zerkając podstępnie na Alana. - Wszystko dzięki tym złotym topazom, które zjadłem.

Wróciła instruktorka, która głośno się zastanawiała, gdzie się podziały różowe kwarcy i złote topazy.

- Oni je zjedli - naskarżył jeden z kursantów. Inni to potwierdzili.

- To świry - dodał któryś.

Roland i Lynn nie czuli potrzeby, by coś tłumaczyć albo wszystkiemu zaprzeczać. Milczeli, ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Alan natomiast przeprosił, próbował namówić instruktorkę, żeby mu wybaczyła, pożałowała go, nie wykopywała go z tych zajęć. Przedstawił jej łzawą

historyjkę o tym, że jest taką nogą pod względem artystycznym, że rozpaczliwie pragnie wycisnąć z siebie choć kropelkę zdolności artystycznych, względnie wcisnąć ją w siebie, czy w ogóle cokolwiek, że Roland okazał się o tyle lepszy od niego i on tego nie może znieść.

- Czy któreś z was chodzi na jakąś terapię? - spytała instruktorka.

- Ja chodzę do masażysty - odparł Alan.

Tamtej nocy paciorkożercy cierpieli na bóle brzucha, zwłaszcza Alan. Jessica spytała go, czy zjadł coś nieświeżego. Nie miałby nic przeciwko przyznaniu się do jedzenia paciorków, bo to było czyste wariactwo, ale z kolei nie chciał się przyznawać do chodzenia na warsztaty z nawlekania paciorków, ponieważ to go kępowało - wolał uchodzić za stukniętego niż za żalosego palanta.

- Kupiłem ci naszyjnik - skłamał w końcu - i włożyłem go do torebki z cukierkami, które kupiłem dla siebie, i jakimś sposobem naszyjnik pękł w torebce, przez co koraliki zmieszały się z cukierkami. Zjadłem ich sporo, myśląc, że to cukierki.

- Nie zorientowałaś się, że jesz kamyki? Dziwne - stwierdziła Jessica, patrząc na Alana, który padł na swój biały fotel, trzymając się za brzuch.

- No jakoś nie - przyznał Alan. - Były okrągłe i wypolerowane. Skąd miałem wiedzieć?

- Hmm - powiedziała Jessica, głaszcząc Naleśniczka. Wiedziała doskonale, że Alan nie kupił tego naszyjnika, tylko sam go zrobił, tylko nie miała pojęcia, dlaczego go zjadł.

- A tak nawiasem - dodał Alan - to były paciorki ze złotych topazów, które rzekomo potęgują kreatywność,

zgodnie z tymi newage'owymi bzdurami. Ciekawe, czy ich zjadanie przynosi lepsze efekty niż ich noszenie. Teraz już wszystko wiedziała.

- Kto wie. Może poczujesz się bardzo kreatywny później, kiedy będziesz defekował złotymi topazami.

W biurze prokuratora okręgowego przełożony Rolanda wziął go na bok.

- Wiesz, to trochę niepokojące, powiedziałeś, że będziesz na zebraniu w biurze Marty'ego Bernsteina, ale kiedy próbowaliśmy cię tam dopaść, Marty powiedział, że nie ma żadnego zebrania. - Urwał. - Czy jest jakiś problem, w którym moglibyśmy ci pomóc? Ostatnio coś za często wychodzisz na miasto.

Dziesięć

Mijały tygodnie. Letnie kursy dobiegły końca. Po długim namyśle Alan postanowił nie zapisywać się na jesienny semestr. Po pierwsze, wiedział, że jego prześladowcy zapiszą się w ślad za nim, a bardzo chciał ograniczyć te interakcje. Po drugie, czuł, że udoskonalił już i siebie, i swoje życie, i pragnął odtąd poświęcać więcej czasu swojej dziewczynie. Po trzecie, zawsze postrzegał te zajęcia jak kule inwalidzkie i chciał sobie udowodnić, że już ich nie potrzebuje, by być szczęśliwy.

Zdawał sobie sprawę, że jego prześladowcy, a zwłaszcza Lynn, czują się pewnie sfrustrowani teraz, kiedy zajęcia się skończyły. Zastanawiał się, dlaczego Lynn nigdy nie próbowała iść za nim na spotkanie Anonimowych Prześladowców, bo nie wiedział, że ona zawsze tam za nim szła, tyle że w przebraniu. Po prostu jego zmysł obserwacji nie był wcale lepszy niż zmysł orientacji w terenie, więc nigdy tego nie zauważył. Poza tym zaliczał się do ludzi nadzwyczaj ufnych i niepodejrzliwych z natury.

Na spotkaniach AP próbował rozmawiać z innymi uczestnikami grupy, jakie to irytujące być prześladowanym. Tamci zaś skarżyli się, że on odchodzi od tematu ich

spotkań, który wszakże brzmiał: Jakie to stresujące, gdy jest się prześladowcą, nie prześladowanym. Alan przeprosił, przyznał im rację i odtąd opowiadał tylko o tym, jak go czasem nachodzi ochota, by prześladować własną dziewczynę. Albo wręcz obcych ludzi idących po ulicy.

-Ale bardzo mi to pomogło, że Lynn się na mnie uwzięła. Dzięki temu zobaczyłem, jakie to brzydkie, zrozumiałem, że bardzo nie chcę być taki. I dzięki temu moje ciągoty zelżały. Postarajcie się paść ofiarą prześladowań, oto najlepsza rzecz, jaka może się wam przydarzyć.

Kiedy mówił to wszystko, Lynn dyskretnie płakała. Nikomu nie przyszło do głowy, że to dziwne, bo nieraz się zdarzało, że ktoś płakał podczas tych spotkań.

W miarę upływu czasu Ray, bezdomny eks-psychote-rapeuta, z coraz większym trudem radził sobie ze zmianą w porządku prześladowania. Ukryta w tym wszystkim tajemnica była nie do zniesienia. Wciąż nie kapitulował jednak i nie zadawał im pytań. Kiedy go mijali, przymykał oczy i wstrzymywał oddech, żeby zminimalizować kontakt zmysłowy z tak nęcącymi istotami.

Pokrzykiwał za to w myślach albo wręcz wył: Dlaczego zmieniliście kierunek? Dlaczego zmieniliście porządek?

DLACZEGO???

Któregoś popołudnia, kiedy Alan szedł do lekarza, wlokąc za sobą Lynn, a więc również Rolanda, odezwała się jego komórka. Od jakiegoś czasu panicznie się bał odpowiadać na telefon na ulicy, bo zdarzało się, że to dzwonił jeden z jego dręczycieli, na ogół Roland, i skarżył się, że idą już tak długo. „Psiakrew, daleko jeszcze?“, potrafił jęczeć Alanowi do ucha.

Tym razem to też był Roland.

- Pogadajmy - powiedział. Alan nad wyraz się zirytował.
- Ponekajmy? Ja już z tego zrezygnowałem, a wy się dopiero rozkręcacie!
- Pogadajmy, powiedziałem! - powtórzył Roland.
- Porozmawiajmy. Jak przy lunchu.
- Nie jestem zainteresowany - odparł Alan.
- Muszę omówić z tobą pewną sprawę.
- No to mów.
- Twarzą w twarz.
- Proszę bardzo, dogoń mnie teraz i gadaj.
- Nie, bo wtedy Lynn zrobi to samo, a ona nie może tego usłyszeć.

Alan westchnął.

- Idę na wizytę do lekarza. Mogę powiedzieć portierowi, żeby wpuścił ciebie, ale nie Lynn. Pogadamy w poczekalni. Doktor Reilly, trzecie piętro. - Alan wyłączył telefon.

W poczekalni zatopił się w lekturze jakiegoś czasopisma. Oprócz niego były tam jeszcze dwie inne osoby: młoda kobieta oraz pięćdziesięcioletni mężczyzna, który siedział z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i gapił się przed siebie, czyli akurat na Alana.

Pojawił się Roland.

- Dlaczego chodzisz do dermatologa? Trądzik?
- Nie - westchnął Alan.
- Czerniak?
- Nie. Mam suchą skórę.
- Chodzisz tutaj, bo masz suchą skórę? - zdziwił się Roland, siadając na krzeselku obok Alana.
- Jest bardzo sucha - odparł Alan. - Od chloru. O czym mi chciałeś powiedzieć?

- Zakładam, że bylibyś zadowolony, gdyby Lynn przestała cię prześladować, a w związku z tym również ja?
 - Nie. „Zadowolony” to nie jest właściwe słowo. Byłbym urzeczony. Co mi z kolei przypomina: czy nie powinienes być w pracy? Jaką im wciśniesz wymówkę?
 - Powiedziałem, że mam coś do zrobienia w sądzie. A ty? Co ty powiedziałaś swojemu szefowi?
 - Że mam wizytę u lekarza - odparł Alan, patrząc znacząco na Rolanda. - Moim zdaniem masz więcej nieobecności w pracy niż ja, kiedy prześladowałem.
- Gdy Lynn czekała cierpliwie na obu mężczyzn pod budynkiem, przystanąła obok niej kobieta.
- Cześć, Lynn.
- To była Maria Stanley, artystka wspinająca się po drabinie społecznej.
- Cześć - odparła Lynn.
 - Słyszałam, że nie byłeś na imprezie u Janii i Petera Collinów. Nie zaprosili cię?
 - Zaprosili. Miałam coś innego do roboty - wyjaśniła Lynn, próbując sobie przypomnieć, co takiego nie pozwoliło jej przyjść. Nagle przypomniała sobie, że była na spotkaniu Anonimowych Prześladowców.
 - Och. - Maria była wyraźnie rozczarowana. - Mnie nie zaprosili. Czułam się wykluczona.
 - Doskonale cię rozumiem.
 - Ale ty zostałeś zaproszona.
 - Tak, ale wykluczenie potrafi przybierać najrozmaitsze formy.
 - Wątpię, by ciebie często wykluczano.
 - I tu się mylisz. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu wykluczył mnie pewien klub, do którego próbowałam się zapisać.

- Jaki to był klub?

- Klub dla ludzi, którzy chcą mieć ładne włosy - odparła Lynn, nieznacznie mijając się z prawdą; w rzeczywistości był to klub dla ludzi, którzy chcieli mieć jakiegokolwiek włosy. Nazywał się Męski Klub Miłośników Włosa.

Maria zagapiła się na lśniące włosy Lynn.

- Przecież masz ładne włosy. Dlatego właśnie cię odrzucili?

- Nie - odparła Lynn, z zakłopotaniem zakładając jedno pasmo za ucho. - Tak czy owak nie powinnaś się przejmować, że cię nie zapraszają na imprezy. Wykluczenie jest jak jabłko. Spożywaj je regularnie, a będziesz cieszyła się długim zdrowiem. - Nagle przypomniała jej się biedna, martwa Judy z jej ekscentrycznymi teoriami na temat szczęścia.

Maria jakoś nie dała się pocieszyć i Lynn zrobiło się jej żal.

- Twoje zaproszenie zagubiło się pewnie gdzieś na poczcie - powiedziała łagodnie.

Artystka uśmiechnęła się blado.

- A co ty tu robisz? Czekasz na kogoś? -Tak.

Maria pożegnała się i odeszła.

- Wróćmy do tematu - powiedział Roland do Alana w poczekalni.

- Ja i Lynn przestaniemy cię prześladować, ale tylko pod jednym warunkiem.

- Czyli?

- Ze odzyskam Lynn.

- Coś nie bardzo ci to idzie.

- Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Już wyrażałem się pochlebnie na twój temat. Nie rozumiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

- Powróćmy do starego pomysłu z wymianą weekendową - powiedział Roland.

- Jesteś nienormalny.

- Odzyskam ją na sto procent, jeśli spędzę z nią jeden weekend.

- Ale ja nie chcę spędzać z nią weekendu - odparł Alan.

- Ja to zrobiłem dla ciebie. - Roland miał taką minę, jakby nagle dotarł do niego nadzwyczajny bezsens tego argumentu.

Jakkolwiek było, zatrzymał Lynn dla siebie podczas tamtego sławetnego weekendu. Prędko więc dodał: - Ja pierwszy spędzę z nią weekend i zdobędę ją, jak ostatnio. Wtedy ty nie będziesz musiał spędzać z nią weekendu, a ona zejdzie z ciebie.

- A jeśli mimo wszystko będzie chciała spędzić ze mną weekend? Jeśli dam jej swoje słowo, nie będę mógł się wycofać. Nie jestem taki jak ty. Albo jak ona.

- Myślałem o tym i doszedłem do wniosku, że jakby co, to chyba powinieneś jechać. Mógłbyś sprawić, żeby się odkochała, miałbyś świetną okazję. Podczas weekendu jest o wiele łatwiej wypaść mało atrakcyjnie niż w trakcie chodzenia po ulicy.

Roland miał słuszość. Kolejna uwaga była równie słuszna.

- I wtedy uwolnisz się od niej i ode mnie, od swoich prześladowców.

- Okay. Warto spróbować. Pogadam o tym z Jessicą; chyba ją przekonam, żeby mi zaufała.

Wyszli na dwór i oczywiście nadziali się na Lynn.

- Właśnie poczułam się wykluczona - powiedziała do

nich obu Lynn. - Wiem, że wy, chłopcy, coś knujecie. To zakłóca porządek prześladowania i to jest niedobre. Nie wolno wam rozmawiać o niczym beze mnie. - I po chwili spytała: - No więc co tak knuliście?

- Nic - odparli, po czym jeden ją wyprzedził, a drugi został w tyle. Alan i jego dziewczyna mieli szczególne plany na najbliższą sobotę. Jessica wreszcie przekonała Alana do realizacji jej fantazji seksualnej z udziałem kostiumu królika i Central Parku. Namawiała go tak od wielu miesięcy (od Wielkanocy).

Alan dostrzegał w tym niejaki urok. Ostatecznie bawił się dobrze podczas Halloween, kiedy on i Jessica powtarzali raz po raz „Ależ to nie uchodzi” podczas uprawiania seksu w przebraniach księdza i zakonnicy.

Powód, dla którego ostatecznie się zgodził, był taki, że mógł to być dla niego dobry moment, by spytać Jessicę, czy może jechać na weekend z Lynn.

- Nie jest zbyt gorąco - powiedziała Jessica, kiedy zbudzili się w sobotę. - Idealny dzień na włożenie kostiumu królika.

Alan westchnął; przypomniało mu się, jak Roland zgadł, że kobieta w oceanie powiedziała: „Idealny dzień na ryby”.

Alan i Jessica poszli na plac zabaw w Central Parku. Za nimi szła Lynn, a zatem również Roland, który zastanawiał się, dlaczego Alan jest przebrany za wielkiego, różowego królika. I przypomniał sobie nagle opowieść Alana sprzed wielu miesięcy, że to jedna z fantazji Jessiki i nieustający powód napięcia między nimi. Zachichotał w duchu.

Alanowi szło się całkiem wygodnie w kostiumie, który nie był ani ciężki, ani gorący, ani też nie wywoływał swędzenia, wbrew jego wcześniejszym obawom. Jessica skierowała się w stronę metalowej dżungli. Podskoczyła w górę, chwytając się poprzeczki. Jej smukła sylwetka wydłużyła się nieco i zwężyła. Alan zerknął nerwowo na rąbek jej bardzo krótkiej spódniczki w kratkę. Wiedział, że Jessica nie nosi majtek. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, z wyjątkiem ukrytej w krzakach Lynn, blisko której oczywiście musiał być gdzieś Roland, ale oni się nie liczyli.

Jessica zwisała z poprzeczki, kołysząc się lekko.

- Zrewiduj mnie.

- Mam cię zrewidować? - spytał Alan.

Jej „tak” zabrzmiało głucho jak z jaskini.

Czasami znajdował broń, kiedy ją rewidował.

Ułożył króliczy łeb na huśtawce i podszedł do Jessiki. Przejechał dłońmi po jej żebrach, potem po plecach. Znalazł kilka małych, twardych grudek; były to opakowane w różową folię czekoladowe jajka wielkanocne. I dalej ją rewidował, przyciskając pierś do bioder, twarz do brzucha, i już się podniecił, nie tylko seksualnie, ale także romantycznie; kochał ją. Jessica puściła poprzeczkę i powoli zatoneła w jego puchatych, różowych, króliczych ramionach, oplatając nogami jego miękkie królicze biodra, krzyżując kostki na nastroszonym, białym ogonku i całując go namiętnie.

Ukryta w krzakach Lynn westchnęła boleśnie.

Alan był szczęśliwy, ale byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby Lynn nie ukrywała się w krzakach. Liczył, że weekend z nią rozwiąże problem. Koniecznie musiał omówić sprawę z Jessicą, jeszcze tego samego popołudnia.

Najpierw jednak uprawiał z nią seks na ławce. Jessica siedziała mu na kolanach, twarzą do niego. W króliczym kostiumie Alana był specjalny otwór.

Potem robili to jeszcze na trawie.

Lynn i Roland wiedzieli dokładnie, co oni robią, ale wielu innych ludzi tego nie wiedziało. Tak to wyglądało, jakby Jessica po prostu opasywała nogami człowieka-królika leżącego na plecach. Wykonywała ledwie dostrzegalne ruchy.

Potem razem z Alanem powędrowali do bardziej dzikiego zakątka parku i szli dalej ścieżką, trzymając się za ręce. Alan poruszył temat jego potencjalnego weekendu z Lynn.

Ledwie zaczął jej objaśniać cały pomysł, Jessica zaczęła od niego uciekać; biegła między drzewami niczym gaze-la. Alan biegł za nią, a Lynn i Roland za nim, wpatrzeni w krzywo podskakujący puchaty, biały ogon. Kostium był nie najlepiej uszyty, ale i tak ładny, zdaniem Lynn.

- Chodźmy do miasta - wydyszała Jessica, kiedy Alan wreszcie ją dogonił.

Nie umiał orzec, czy to łagodne dyszenie czy też takie, które zwiastuje huragan.

- Dobrze - odparł.

W drodze do miasta Alan nie zdjął z głowy króliczego łba, w nadziei że dzięki temu będzie wobec niego łaskawiej usposobiona.

- No więc jakie jest twoje zdanie na temat mojego weekendu z Lynn? - wykrztusił w końcu ostrożnie.

Jessica ni stąd, ni zowąd zboczyła w prawo, w stronę sklepu odzieżowego. Alan skrzywił się; odnosił wrażenie, że jednak się zdenerwowała. Niemniej to mu schlebiało, że być może jest zazdrosna.

Wszedł za nią do sklepu, zdejmując króliczy łeb jak dżentelmen, który zdejmuje kapelusz po wejściu do kościoła.

Żadne z nich nie zauważyło, że wchodzi do sklepu z odzieżą o dużych rozmiarach.

Jessica zaczęła kompulsywnie przymierzać jeden strój za drugim, rozkojarzona i pochłonięta własnymi myślami. Przy ubraniach nie było metek z numerami rozmiarów, w tym sklepie nie wierzyli w numery, Jessica więc przyjęła założenie, że te gigantyczne proporcje to po prostu odmienny luźny styl.

Alan uważał, że ubrania nie wyglądają na niej dobrze i że wcale nie pasują do jej normalnego stylu. Nie bardzo umiał wskazać, co jest z nimi nie tak, bo jego zmysł stylu nie był o wiele lepszy niż zmysł orientacji czy obserwacji, ale z kolei nie zastanawiał się nad tym zbyt mocno; próbował czytać w myślach swojej dziewczyny poprzez jej gesty. Przypuszczał, że cała się gotuje z zazdrości i bezskutecznie próbuje to ukryć.

Alan nie mógł być dalszy od prawdy. Jessica była rzeczywiście bardzo zdenerwowana, ale od Central Parku w głowie miała tylko jedno: Postaram się nie być za bardzo niegrzeczna. Była przerażona perspektywą, że przez cały weekend będzie musiała polegać na samej sobie. Próbowała się zmusić i powiedzieć mu, żeby nie wyjeżdżał z Lynn, bo jeśli wyjedzie, to wtedy ona się nie pohamuje i zacznie nurzać w uciechach. Niezdolna mu to powiedzieć, postanowiła więcej o tym nie myśleć, w nadziei że zgromadzi dość siły woli, jeśli znajdzie ciuch, który by na nią pasował. W żadnym z tych ubrań nie było jej do twarzy, o dziwo; zazwyczaj wszystko wyglądało na niej znakomicie. Była zbyt wytracona z równowagi, by dostrzec powód.

Jessica nie uważała się za uzależnioną od seksu. Wiedziała, że kiedyś była uzależniona, ale wierzyła, że jest już wyleczona. Owszem, zdarzały jej się romanse. Owszem, miała porannego kochanka i popołudniowego kochanka, ale większość kobiet miała kochanków i to wcale nie oznaczało, że były uzależnione od seksu. Ona też nie była uzależniona, a jednak wiedziała, że z powodu swojej przeszłości seksoholiczki jest podatna na pokusy. Pokus musiała unikać za wszelką cenę. Dziwne, że Alan o tym nie wiedział, tym bardziej jako stanowczy propagator idiotycznego sloganu: „Uzależniony zawsze pozostanie uzależnionym”.

Pod sklepem czatowała szpiegująca ich Lynn. Nie rozumiała, dlaczego Jessica, która jest chuda, przymierza duże rozmiary w sklepie dla tęgich kobiet. Nagle przyszła jej do głowy makabryczna myśl: może Jessica kupuje ubrania ciążowe! Może jest w ciąży!

Jessica nie przestawała topić się w kolejnych ubraniach, gdy tymczasem w jej wnętrzu wciąż szalała wojna.

Alan uznał, że najwyraźniej nie spodobał jej się pomysł z weekendem.

- Jessica - zaczął. - Nie dałaś mi odpowiedzi. Muszę wiedzieć, czy nie będziesz niezadowolona, jeśli wyjadę na ten weekend.

Musisz mi powiedzieć, co ty na to.

- Czekaj, chcę sobie znaleźć coś do ubrania.

- Możemy iść gdzie indziej, jeśli tu nic na ciebie nie pasuje.

- Nie! Tu mi się strasznie podoba. Kolory są obłędne, tkaniny miękkie i tyle tego. W życiu nie miałam takich świetnych ciuchów. Nie krępują mnie. Czuję się w nich jak naga. Czuję swoje ciało, to bardzo seksowne. Popatrz, wycięcia na ręce są tak nisko, praktycznie sięgają pasa

i dzięki temu skóra przedramienia ma kontakt ze skórą na zębrach. To naprawdę zabawne i fajne. Czuję się jak kochanka samej siebie.

Powstrzymywała się, żeby nie wrzasnąć do Alana: „Przestań się cykać! Przeleć ją tak, żeby jej w pięty poszło! Ja zrobię to samo z moimi kochankami. Daj mi się raz zabawić po mojemu!”

W sklepie były dwie tłuste sprzedawczynie; siedziały i przyglądały się Jessice.

Alan zauważył ich zakłopotane miny, więc podszedł je zagadnąć.

- Czy zechciałyby panie być wobec niej szczerze i powiedzieć, że w tych ubraniach po prostu źle wygląda?

Jedna ze sprzedawczyń głośno wypuściła powietrze, podźwignęła się z miejsca i podeszła do Jessiki.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak, czy to właśnie tak ma leżeć? - spytała Jessica. -Nie.

- Och, to dobrze, bo już miałam wrażenie, że źle to włożyłam. A jak trzeba to włożyć? - spytała, stając do niej twarzą, po czym wyciągnęła ręce, oferując swe ciało do modyfikacji.

- Te rzeczy na panią nie pasują - odparła kobieta, nie ruszając się, by jej pomóc.

- Rozumiem. Może pani coś zrobić, żeby pasowały?

- Nie mogę, ale mogę udzielić pani instrukcji.

- Okay - odparła Jessica, myśląc, że ta kobieta cierpi pewnie na jakąś fobię na punkcie dotykania ludzi.

- Proszę iść do domu, zjeść pudełko ciastek, karton lodów i sześć kawałków pizzy. Proszę to powtarzać codziennie i wrócić tu za trzy miesiące.

- Och. - Jessica rozejrzała się dookoła i wreszcie zro-

zumiała, w czym rzecz. - Mniej więcej właśnie tyle codziennie jem - oświadczyła, po części by uratować twarz, po części dlatego, że to była prawda. - Dlatego chyba powinnam porzucić nadzieję, że te ubrania kiedykolwiek będą na mnie pasowały. Sprzedawczyni przytaknęła.

- Życie bywa niesprawiedliwe, dlatego najlepiej po prostu pogodzić się z przegraną. Nie podejmować się i maszerować dalej.

Jessica postanowiła przyjąć te słowa jako militarną radę dotyczącą jej wewnętrznej wojny. Porozumiewawczo skinęła głową.

- Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

Szli dalej ulicą, jakiś czas nie rozmawiając. Alan niósł łeb królika pod pachą niczym hełm motocyklowy.

- Zrozumiem, jeśli nie czujesz się dobrze z tym pomysłem na weekend - powiedział w końcu. - Chcę tylko wiedzieć, co o tym myślisz.

Próbowała sobie wmówić, że może starczy jej siły woli, żeby nie angażować się w pseudoburdelowy scenariusz, o którym wiecznie fantazjowała. W jego ramach wyobrażała sobie, że znajduje się w sypialni, pod którą czeka w kolejce dwudziestu mężczyzn.

- Zgłodniałam od tego gadania o jedzeniu - powiedziała i ruszyła w stronę lodziarni po drugiej stronie ulicy.

W lodziarni sprzedawali tylko te perwersyjne europejskie rożki - ułożone w nich gałki lodów przypominały męskie jądra. Zawsze unikała takich rożków, bo pogłębiały jej problem. Ci Europejczycy byli obrzydliwi: jak można upodabniać niewinne lody do penisa?

Zastanawiała się, czy jednak nie zrezygnować z lodów,

ale się bała, że Alan domyśli się, na czym polega jej problem. Z drugiej jednak strony mógł niczego nie podejrzewać - nigdy nie była w stanie ocenić, do jakiego stopnia skojarzenia seksualne są oczywiste dla innych ludzi. Tak czy owak, nie chcąc ryzykować, że wzbudzi podejrzenia, wzięła rożek i polizała gałki na próbę, ot tyle, by sprawić wrażenie naturalnej. Usiłowała robić to jakby od niechcenia, a jednak jej język zrobił się spiczasty i naprężony. Dźgał kulki w sposób, który zapewne nie sprawiłby im przyjemności, gdyby były żywe.

- No więc co myślisz? - dopytywał się Alan. - Zgadzasz się?

Spuściła wzrok, trzymając jadalnego penisa z poczuciem winy.

- Tak, zgadzam się. - Była rozczarowana, że jednak nie wykrzesła z siebie dość siły woli, by powiedzieć mu, żeby jej nie porzucał na pastwę orgiastycznych zabaw.

Alan zaśmiał się.

- Nie bądź taka smutna! Ufasz mi, prawda? Westchnęła i skinęła głową. Alan objął ją ramieniem i przytulił, a potem jeszcze pocałował w skroń, miażdżąc jej perwersyjnego loda swą futrzastą, różową pierś.

- Ups. - Uśmiechnął się szeroko, a potem oboje się wytarli. Kilka przecznic dalej minęli księgarnię, Alan chciał do niej wstąpić.

- Po co? - spytała Jessica. Minęły już cztery godziny od ich ostatniego stosunku seksualnego i dzisiaj, kiedy miała wolne, spodziewała się więcej seksu. Poza tym lody ją pobudziły.

- Chciałbym sprawdzić opowiadanie *Idealny dzień na*

ryby Salingera, które Roland kazał mi przeczytać - odparł Alan. -
Znasz je?

Nie odpowiedziała. Alan spojrział na nią i zauważył, że ma dziwną minę. Nie miał pojęcia, jak ją zinterpretować, więc powtórzył pytanie.

- Znasz je?

- Tak. Nie ma powodu, żebyś je czytał. Roland to dureń i palant. Chodźmy.

- Nie jesteś ciekawa, dlaczego chciał, żebym je przeczytał?

-Nie.

- Bo już wiesz? -Tak.

- Więc dlaczego?

- Bo ewidentnie opowiedziałeś mu tę historyjkę z dzieciństwa, kiedy jakaś kobieta powiedziała, że to doskonały dzień na ryby, i pomogła ci pogłaskać mangorybę. Nie wiem, dlaczego ty się zwierzasz temu draniowi. Nie powinieneś mu mówić takich osobistych rzeczy.

- To nie jest aż takie osobiste.

- A właśnie że jest, jeśli chcesz znać moje zdanie. To strasznie osobiste.

- A jednak bym polemizował - upierał się Alan, otwierając zamasyżycie drzwi księgarni i kierując się w stronę działu z literaturą piękną.

- Alan - powiedziała Jessica cichym głosem, za jego plecami.

-Co?

- Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak kategorycznie. - Pogładziła go z czułością po szyi i pocałowała. Wyglądała na posmutniałą.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Kiwnęła głową, uśmiechając się uspokajająco.

Znalazł książkę. Przeleciał wzrokiem opowiadanie i nagle jego króliczy łeb poturlał się w głąb przejścia między regałami. Sam Alan osunął się na podłogę, Jessica zaś przypadła do jego boku, tuląc go i całując w policzek.

- Odezwij się - poprosiła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo nie możesz zmienić przeszłości. Nie musiałeś tego wiedzieć.

- Nie musiałem wiedzieć, że byłem molestowany seksualnie jako dziecko?

- Co się stało, już się nie odstanie.

- Żałuję, że się tego nie dowiedziałem wiele lat wcześniej. Moje życie byłoby inne.

I nic już więcej nie powiedział na ten temat.

Ale się nad tym zastanawiał. Na okrągło.

Molestowała go sąsiadka jego matki, panna Tuttle, i to ona dała mu do pogłądzenia coś, co nazwała mangorybą, a tymczasem teraz się dowiedział, że to była jej wagina. Pływał na jej żółtym materacu. Wsunęła jego dłoń pod wodę, w taki sposób, by materac zasłonił mu pole widzenia. Twierdziła, że mangorybą jest nieśmiała i woli, żeby na nią nie patrzeć. Przypomniawszy sobie, jaka ta ryba była w dotyku. Mechata i miała fałdy. A jednak przez te wszystkie lata, jakie minęły od tego czasu, nie przyszło mu do głowy, że dotykał kobiecych genitaliów.

Może powinien złożyć jej wizytę któregoś dnia, dokonać konfrontacji w związku z jej czynem.

Przez te lata Alan często pytał matkę, co słyhać u panny Tuttle, i w odpowiedzi dowiadywał się, że panna Tuttle jest taka jak zawsze, że mieszka tam, gdzie zwykle, że wciąż zarabia na życie jako fryzjerka i okazjonalnie zaba-

wia dzieci na przyjęciach urodzinowych. Nigdy nie potrafił pojąć, dlaczego właściwie się dopytuje o pannę Tuttle. Nic a nic go nie obchodziła. Teraz natomiast dostrzegał w tej obojętności wyparty wstyd, obrzydzenie, nienawiść do tej kobiety.

W rzeczywistości jestem normalnym człowiekiem, pomyślał ze zgrozą, człowiekiem, który przypadkiem był molestowany. Jestem normalny do szpiku kości. Nie urodziłem się z defektem, uszkodzono mnie później.

Alan zawsze czuł się kimś gorszym niż inni uzależnieni prześladowcy ze spotkań AP, którzy wydawali się bardziej zdrowi psychicznie niż on, ponieważ opowiadali o ludziach, którzy molestowali ich w dzieciństwie, obwiniając ich o swoje późniejsze uzależnienie. Alan miał normalne, szczęśliwe dzieciństwo, a to z kolei sprawiało, że czuł się jak outsider, dziwoląg, kryminalista o wiele prawdziwszy niż ci prześladowcy z ich usprawiedliwieniami.

Tymczasem teraz, kiedy odkrył, że nie miał zdrowego dzieciństwa, wszystko się zmieniło; fakt, że został wykorzystany seksualnie, stał się dla niego tym, czym religia dla innych. To tutaj znajdował wytłumaczenie dla swoich niedoskonałości, problemów, a nawet braku uzdolnień artystycznych. To wszystko było winą kobiety, która go molestowała. Niemalże czuł wobec niej wdzięczność. Wdzięczność, że może wszystko na nią zrzucić. Jego nałóg - jej wina. Jego kiepski zmysł orientacji, stylu, obserwacji - jej wina. Jego miny - w przeszłości zbyt drastyczne i zbyt częste - jej wina. To, że fatalnie śpiewał, fatalnie tańczył, że miał problemy z nadwagą, wypadaniem włosów, kiepską muskulaturą - jej wina. Życie nabrało sensu. Nareszcie. Rozmyślał nad swoimi problemami z pływaniem. Za-

stanawiał się, czy ktoś organizuje lekcje pływania dla ocalałych z akwaticznego molestowania seksualnego. Uważał siebie teraz za całkiem inną osobę: za ofiarę. I znajdował w tym moc wyzwalającą, czuł, że to obdarza go siłą, że podnosi jego samoocenę. Wprost nie posiadał się z zachwyty - jego życie stawało się coraz lepsze: najpierw pokonał swój nałóg prześladowczy, potem z powodzeniem zabrał się do samodoskonalenia, później jeszcze znalazł sobie fantastyczną dziewczynę, a na koniec dowiedział się, że w dzieciństwie go molestowano!

- Związek Zawodowy Brytyjskich Pracowników Transportu i Robotników Fizycznych odrzucił twoje podanie o członkostwo na takiej podstawie, że nie jesteś ani Brytyjką, ani pracownikiem transportu, ani też robotnikiem fizycznym - usłyszała Lynn od Patricii.

Lynn powoli skinęła głową, z wyrazem skupienia na twarzy. Patricia podziwiała samozaparcie, z jakim Lynn stosowała swoją metodę odrzuceniową, mimo że Alan odrzucał ją codziennie. Alan i Roland powiedzieli Lynn o ich pomysły na reaktywację umowy weekendowej. Nie dali jej wyboru co do kolejności - najpierw miała wyjechać z Rolandem, potem z Alanem. Zgodziła się.

Bezdomny eks-psychoterapeuta Ray wciąż przymykał oczy i wstrzymywał oddech, kiedy mijał go prześladowczy łańcuch. Znacznie wcześniej przestał wygłaszać swoje terapeutyczne komentarze. Stuknięci oszuści.

-Ach, Roland i jego prześladowca! - wykrzyknął ciepło Max, kiedy Roland i Lynn przyjechali do zajazdu.

- Niezupełnie - odparła Lynn. - Wszystko się zmieniło. Roland jest obecnie moim prześladowcą, a w przyszłym tygodniu przyjeżdżam tu z mężczyzną, którego z kolei ja teraz prześladuję. Lynn przyjrzała się dokładnie Maksowi. Ani trochę się nie zmienił. Wciąż miał długie, kręcone włosy, nosił koronkowe mankiety i sącze. Nagle ją zaciekawiło, co by zrobili Max i seksoholiczka Jessica, gdyby się poznali. Ostatecznie był facetem, który uważał, że prześladowane kobiety to dziwki i chcą, by ktoś je przeleciał. Jessica zapewne nie miałaby z tym problemu. Gdyby ją spytał: „Czy raczysz usiąść na moim kutasie?”, prawdopodobnie odparłaby: „Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?” I Alan odzyskałby wolność.

Roland poszedł zanieść bagaże do ich pokoju.

- Dziewczyna faceta, którego prześladuję, jest bardzo piękną seksoholiczką - powiedziała Lynn do Maksa. -I absolutnie się wypiera swojego nałogu. Myślę, że oboje powinniście się spiknąć. Jeśli uda mi się go odbić, będzie wolna. Zmuszała swojego faceta, żeby się przebierał za wielkiego, różowego królika i uprawiał z nią seks w Central Parku.

- Brzmi to dość mdło - stwierdził Max.

- Moim zdaniem spodobałbyś się jej - odparła chłodno Lynn. - Nie ma w tym nic mdłego. Podobnie jak w tym, że nosi przy sobie broń.

Kiedy Lynn zabrała się do rozpakowywania bagaży, Roland odszukał Maksa i spytał, czy może z nim pogadać

prywatnie. Poszli do jego biura, przy czym Roland dyskretnie zgubił guzik.

- Musisz mi pomóc odzyskać Lynn.

- Jasne, stary. A jak?

- Postaraj się być jak najmniej atrakcyjny.

- Dlaczego? Nie musisz się bać, że ona się mną zainteresuje.

- Wiem. Szukam kontrastu.

- Kontrastu?

- Między tobą a mną. Musimy zwiększyć kontrast. Jeszcze bardziej.

- Dlaczego?

- Żebym zabłysł w porównaniu. Max parsknął zdumionym chichotem.

- Wierzysz, że to podziała?

- Tak. Ostatnim razem podziałało.

- A niby jak? Ostatnim razem nie starałem się być mało atrakcyjny.

- Nie, ale i tak podziałało. Więc powinno podziałać jeszcze lepiej, jeśli naprawdę się postarasz. - Roland połapał się, że lekko obraża Maksa, ale nie bardzo wiedział, jak z tego wybrnąć. Dlatego uciekł się do takiej oto taktyki: - Lynn uważa, że ty i ja doskonale do siebie pasujemy, że jesteś moim najbardziej wysublimowanym ulepsza-czem. Rozumiesz, to jest tak jak ze szlachetnym kamieniem i tym, w czym ten kamień jest osadzony.

- Chcesz powiedzieć, że lśnisz obok mnie na zasadzie kontrastu?

- Tak - odparł Roland, jakby to było coś właściwego. Max milczał. Jego nastrój się zmienił. Uparcie gapił się na Rolanda.

- Naprawdę uważasz, że mogę być jeszcze mniej po-

ciągnący? Uważasz, innymi słowy, że mógłbym się stać jeszcze gorszy?

- Nie wiem. Sam byłbym w kropce, jak to zrobić. Ty pewnie będziesz to wiedział.

- Pewnie tak. To dla mnie zaszczyt, że tak na mnie polegasz.

-No cóż, ostatnim razem podzielało, a ty się nawet nie starałeś.

- Nie, nie starałem się być mało pociągający. Przeciwnie, starałem się być czarujący i zabawny. Dlatego możesz sobie wyobrazić, jaki będę fantastyczny, kiedy naprawdę postaram się być odstręczający.

Czekał, czy Roland coś powie, zaprzeczy w jakiś sposób, ale Roland tego nie zrobił. Tylko przytaknął. I właśnie wtedy serce Maksa, które stopniowo tonęło, wreszcie dosięgło dna i pękło. Ale się nie poddał.

Z kolei w mieście Alan siedział na poplamionym białym fotelu, głaszcząc Naleśniczka, który leżał rozwalony na jego kolanach. Rozmyślał o swojej przeszłości. Pławił się w niej i przeklinał ją na przemian, ale nie chciał, by takie myśli zawładnęły jego życiem, więc dla rozrywki zaczął wertować katalogi edukacyjne, mimo że było już za późno, by się zapisać na jesienne zajęcia. W jednym z katalogów natknął się na dziwny kurs, którego wcześniej nie wypatrzył, o nazwie: „Pływanie dla dorosłych, którzy boją się wody”. Było tam zdjęcie kobiety z delfinem, z podpisem: „Możesz się nauczyć pływać prędko i bezboleśnie - pokochasz wodę oraz pływające w niej niesamowite stworzenia!”

Faktycznie niesamowite! Zatrzasnął katalog. Czuł się ośmieszony. Jaki on był naiwny. A może rzeczywiście

taki był, w głębi? To pytanie nie dawało mu spokoju. Bo w takim razie dlaczego doczepił rybi ogon do waginy, którą rzeźbił na warsztatach dla bogiń, tworząc w ten sposób wagino-rybę? Raz jeszcze otworzył katalog i doczytał opis do końca: „Zajęcia prowadzone są z użyciem najrozmaitszych przyrządów pomocniczych, poczynając od dmuchanego makaronu, a kończąc na urządzeniach wspomagających utrzymywanie się na powierzchni wody”.

Znowu poczuł, że z niego drwią. Miał z tego rozumieć, że potrzebuje makaronu, żeby pływać? Na jego zajęciach z pływania nie używano żadnych klusek. Może właśnie dlatego nie poczynił żadnych postępów. Może kluski były niezbędne dla takich klusek jak on, tępych klusek molestowanych w wodzie. Poszedł sprawdzić wyjścia na klatkę schodową. Podczas ostatnich kilku miesięcy nie sprawdzał ich codziennie, co zresztą przyjął za oznakę poprawy swego zdrowia psychicznego. Wiedział jednak, że zaniedbywanie tej procedury grozi niebezpieczeństwem.

Kiedy pokonywał siedemnaście pięter, sprawdzając, czy wszystkie wyjścia są zamknięte, zastanawiał się, czy byłby w stanie odwiedzić pannę Tuttle. Zastanawiał się, co by jej powiedział i jak ona by zareagowała.

Następnego ranka Lynn i Roland zobaczyli Maksa przy śniadaniu w jadalni. I zdumieli się, bo był zmieniony nie do poznania.

Obciął włosy, pozbył się mankietów i sączka. Ubrał się jak przystało na dwudziesty pierwszy wiek.

Roland nie wiedział, co o tym myśleć. Spojrzał na Lynn.

Wyglądała na oszołomioną.

- Mam nadzieję, że muzyka nie przeszkadzała wam spać w nocy - powiedział do nich obojga Max. - Słuchałem Marii Callas, która śpiewała arię z *II Trovatore*... boskie. Powinniście zdobyć CD z jej wykonaniami, jeśli jeszcze takiego nie posiadacie. Albo zrobię dla was kopię. - Urwał i po chwili dodał: - Nawiasem mówiąc, mógłbym polecić cudowne miejsca w okolicy, gdybyście mieli ochotę na piknik. W kuchni przygotowują wam koszyk.

- Kędy mówisz „kuchnia”, co masz na myśli? - spytała Lynn, wiedząc, że Max nie zatrudnia żadnego personelu.

- Siebie, oczywiście - odparł z uśmiechem. - Ja mógłbym przygotować wam piknik.

Roland cały się gotował z oburzenia. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Lynn jest oczarowana tą transformacją. Był gotów zamordować Maksa.

Odszukał go po śniadaniu.

- Coś ty narobił! Prosiłem, żebyś stał się gorszy!

- Stałem się gorszy. Pozbyłem się swoich atrybutów. Obciąłem swoje lśniące pukle. Wiesz, ile lat mi zabrało zapuszczanie włosów? I zrezygnowałem także z cudownych koszul z mankietami i z męskiego sącza; noszę teraz te zwiędłe portki.

- Wyglądasz znakomicie! - wykrzyknął Roland, zapalczywie dźgając go w pierś. - Wszystko popsuleś. I coś ty zrobił ze swoją osobowością? Jest zmieniona jeszcze bardziej niż wygląd!

- Cieszę się, że zauważyłeś. Dla ciebie przeobraziłem się w schludnego fiutka. Żebyś ty mógł błyszczeć na tle takiego kontrastu!

Roland stwierdził, że weźmie sprawy w swoje ręce. Cały dzień usiłował być czarujący. Oferował nawet, że będzie karmił wiewiórki, szopy i inne dzikie zwierzęta typu szczury, skunksy, węże i niedźwiedzie, dosłownie wszystko. Bez skutku. Lynn była zimna i w ogóle się nim nie interesowała. Źle się wyrażał o Alanie. Ostrzegł ją, że mieliby brzydkie dzieci. Nic nie mogło jej zmiękczyć.

W ramach ostatniej deski ratunku próbował nieśmiało zniewolić Lynn fizycznie, czyli zrobić coś, co w przeszłości bardzo jej się podobało. Tym razem spryskała go gazem łzawiącym.

Lynn miała wrażenie, że spryskuje wielkiego komara.

Zmęczonego, anemicznego komara, który już kończy żywot.

Fruwał ciężko dookoła niej, wkurzająco powoli, nie zdając sobie sprawy ze swej nieruchawości, i dzięki temu doskonale łatwo można go było zabić.

Liczyła, że jeśli go spryska, to on się wścieknie, zarzuci wszelką nadzieję na pojednanie i da jej wreszcie spokój. Tymczasem Roland zaniósł się przeraźliwym płaczem i musiała się nim zająć, bo sprawił, że poczuła się winna.

Weekend okazał się fiaskiem.

Tuż przed wyjazdem z hoteliku Roland udzielił Maksowi poufnych instrukcji.

- Kiedy Lynn i Alan przyjadą na swój weekend, masz być taki sam jak teraz. Nie zmieniaj fryzury. Alan zblednie w porównaniu z tobą.

- Jasne.

- Przez cały czas będziemy z sobą w kontakcie przez telefony komórkowe. Masz mi składać regularne raporty.

Następnego dnia Roland został wezwany do swojej szefowej, która była najwyższym radcą prawnym.

- Obiecałeś, że przejrzysz akta sprawy Garcii sporządzone przez Davida Lestera i że usuniesz ten główny argument oparty na Pierwszej Poprawce.

- A ja myślałem, że Lester to sam zrobi, bo mu kazałem - odparł Roland.

- Poza tym nie dotrzymałeś terminu na złożenie apelacji w sprawie Freestone Industries.

- Tak, wiem, przepraszam.

- Jaką masz wymówkę tym razem?

Roland miał ochotę powiedzieć: „Prześladuję pewną osobę i praca mi w tym przeszkadza”.

- Mam kłopoty osobiste - odparł zamiast tego. - Kłopoty ze zdrowiem. Przepraszam. Już wszystko pod kontrolą.

Jedenaście

Po powrocie z weekendu z Rolandem Lynn odebrała telefon od Alana. Zaprosił ją do siebie na kolację w towarzystwie jego dziewczyny.

- Chcę uspokoić Jessicę, że weekend z tobą nie jest niczym niesamowitym i że nie stanowisz zagrożenia.

- Co to znaczy, że nie stanowią zagrożenia? - spytała urażonym tonem Lynn. - Dlaczego kolacja ze mną miałyby przekonać twoją dziewczynę, że nie stanowią zagrożenia? Takie sprawiam wrażenie?

Alan westchnął.

- Nie ty, tylko nasze interakcje.

Tak naprawdę chciał, żeby Lynn przyszła i zobaczyła, że on i Jessica są z sobą szczęśliwi i że nikt ich nie rozdzieli.

Jessica siedziała na białym fotelu, wpatrując się ponuro w Lynn i Alana, którzy siedzieli naprzeciwko niej na kanapie i układnie z sobą rozmawiali. Jessica rzadko uczestniczyła w rozmowie, mimo że to ona wydawała tę kolację.

Jessica miała pretensje do Alana o to, że postanowił wyjechać i tym samym narażał ją na pokusy. Był taki

ślepy. Podobnie zresztą jak wtedy, gdy dawał jej kupony na darmowe masażę i nalegał, by pytała o „Romana”, który rzekomo był najlepszy, w ogóle nie podejrzewając - oczywiście - że mogłaby poderwać tegoż Romana, ktokolwiek to był. Biedny Alanek. Ale kto by ją winił, w tak intymnych okolicznościach? To nie miało nic wspólnego z uzależnieniem od seksu, zwłaszcza że ona wcale nie była uzależniona.

Będzie musiała odpowiednio lawirować z czasem, by maksymalnie wykorzystać ten krótki weekend. Spisała listę mężczyzn, których zaprosi. Było ich dwunastu. Próbowwała jakoś się pohamować, mimo że po długim namyśle stwierdziła, iż tak naprawdę nie istnieje żadna górna granica w zakresie liczby mężczyzn, z którymi mogłaby uprawiać seks tego szczególnego weekendu, i nadal wcale to nie oznacza, że jest seksoholiczką. Każda szanująca się kobieta z całą pewnością zostałaby w domu i oddała się romansowaniu, gdyby jej chłopak spędzał weekend z inną kobietą. To, co on robił, zasługiwało na miano maltretowania. A tuzin mężczyzn wcale nie oznaczał uzależnienia od seksu, tylko to, że była normalną, odrażoną, zazdrosną kobietą.

Kiedy tak siedziała i patrzyła, jak Lynn i Alan gawędzą sobie w najlepsze, zrozumiała, że powinna się zmusić i zademonstrować niezadowolenie, po prostu po to, by dowieść, że jest normalna i zazdrosna.

— A więc próbujesz uwieść Alana i ukraść go mnie — powiedziała do Lynn, upijając łyk herbaty. Nie udało jej się wymówić tego z nutą tłumionej hysterii czy choćby zwykłego rozdrażnienia i pod wpływem tego niedociągnięcia zrobiło jej się głupio, dopóki się nie połapała, że żadne z nich nie zauważyło monotonii w jej głosie: słowa

niosły w sobie dostateczny wydzźwięk. Lynn i Alan wyglądali na bardzo zażenowanych, a to dodało jej sił i dzięki temu mogła się uspokoić. Przeciągnęła się, wyginając w łuk na oparciu poplamionego białego fotela. Gibka ta Jessica, zauważyła Lynn. — Naprawdę jestem wdzięczna, że jesteś taka wyrozumiała, taka... otwarta - powiedziała do Jessiki.

Potem próbowała zabawiać swoich gospodarzy, opisując Maksa, właściciela zajazdu. Na twarzy Jessiki pojawiło się zakłopotanie. — Naprawdę mówi: „Czy raczysz usiąść na moim kutasie”? - spytała cicho. - I naprawdę nosi sącze?

— Tak! — potwierdziła Lynn. — To niezły numer. Ostatnio zdjął sącze i nosi zwyczajne spodnie, ale jestem pewna, że wystarczy go poprosić i chętnie włoży go z powrotem. I twierdzi też, że ma ogromnego penisa. Większego niż ktokolwiek w okolicy.

Jessica do końca wieczoru wydawała się czymś pochłonięta.

Lynn wiedziała, że zachowała się okrutnie, tak kusząc i dręcząc Jessicę. Wiedziała i miała to w nosie.

Tymczasem Jessica była jeszcze bardziej wzburzona, niż Lynn to sobie wyobrażała. Musiała wręcz użyć całej siły woli, żeby się pohamować przed wskoczeniem do samochodu i pojechaniem do rzeczonoego właściciela zajazdu.

Boże, jak ona strasznie chciała wskoczyć na jego penisa.

Ale przecież nie była uzależniona od seksu. Była normalną kobietą, która miewała romanse. Cały problem polegał teraz na tym, że jej burdelowa

fantazja wydawała się błada w porównaniu z obyczajami właściciela zajazdu.

Uświadomiła sobie nagle, że normalna kobieta byłaby zbyt zazdrosna, żeby zostać w domu i romansować, że zamiast tego potajemnie ruszyłaby śladem swojego chłopaka, żeby go szpiegować, i zrobiłaby wszystko, byle nie dać się przyłapać przez tego zboczonego hotelarza; w przeciwnym razie musiałaby go błagać, nie, nie błagać, przekupić go - najrozmaitszymi nieobyczajnymi środkami - żeby nie powiedział jej chłopakowi, że ona go szpieguje.

Rolanda oczywiście nieraz korciło, żeby wlać Alanowi, już od pierwszego dnia, kiedy się poznali, ale pokusa nigdy nie była tak silna jak teraz. Powiedział Alanowi przez telefon, że Lynn opryskała go gazem, tymczasem ten wredny kurdupel dalej zamierzał wybrać się z nią na weekend.

- Powinieneś się wycofać - powiedział Roland. - Przez lojalność wobec mnie.

- Przykro mi - odparł Alan. - Nie jestem taki jak ty. Ja się trzymam danego słowa. Obiecaliśmy Lynn, że jeśli zgodzi się pojechać z tobą, to ja zgodzę się pojechać z nią.

Roland obiecał sobie, że gdy tylko Alan wróci z weekendu, zbije go na kwaśne jabłko. Na razie jednak zadowolił się tym, że wyszczał do telefonu:

- Ty chcesz ją zdobyć. Alanowi zrobiło się żal Rolanda.

- Powinieneś spróbować zrobić coś zabawnego... i rozrywkowego podczas tego weekendu. Powiem ci z doświadczenia, że to nie jest przyjemne tak czekać, kiedy osoba, którą kochasz, przebywa w towarzystwie osoby, którą ona kocha.

- Kiedy wreszcie przestaniesz wycierać sobie gębę tym pomysłem, że ona cię kocha?

W piątek Patricia weszła tanecznym krokiem do gabinetu Lynn, wymachując jakimś listem.

- Mam ci do przekazania dość osobliwe wieści.

- Co takiego?

- Disney World przyjął twoje zgłoszenie do roli jednego z dwunastu krasnoludków w filmie, który będą kręcili latem.

- Przecież wcale nie jestem mała! - wykrzyknęła Lynn, uderzając dłonią o blat biurka i podnosząc się z krzesła.

- No raczej nie.

- To prawdziwa zniewaga, że mnie przyjęli!

- Uspokój się. Nie należało się zgłaszać, jeśli myślałaś, że możesz dostać tę rolę.

- Oczywiście że wcale tak nie myślałam, Patricia. Nie jestem karłowata!

- Tak, ale wzrost to kwestia względna. Może zmuszą cię, żebyś grała tę rolę na kolanach.

- No cóż, odpisz im i przekaż, że już mnie zatrudniono do roli Mini-Me w najnowszej produkcji Austina Powersa.

W sobotę, wczesnym rankiem, tak jak to uzgodnili z Rolandem, Alan i Lynn pojechali jeepem Rolanda do zajazdu. Jesienne liście mieniły się przepięknie odcieniami czerwieni i żółci.

Za nimi wynajętym samochodem jechała Jessica. Wiozła cały swój sprzęt - lornetki, przebrania, chusteczki higieniczne - tak jak to zrobiłaby każda odrażona kobieta. Radio ryczało na pełen regulator, gdy tymczasem ona po-

drygiwała na siedzeniu, co jakiś czas chwytając za wielką lornetkę i przyglądając się tamtym, by znaleźć potwierdzenie, że jest normalna.

Nie mogła się doczekać, kiedy dojedzie do hotelu, dlatego kusiło ją, żeby najechać na zderzak Alana i zmusić go, by jechał prędzej. Był taki mało spostrzegawczy, w życiu by nie zauważył, że to ona.

Kiedy już dojechali na miejsce, nie traciła czasu na starania, by nie dać się przyłapać przez Maksa. Już sama fraza „dać się przyłapać” sprawiała, że puszczała kierownicę i machała rękami w powietrzu w takt muzyki dyskotekowej.

Max powitał ich bardzo ciepło. Lynn ze zdziwieniem zobaczyła, że wrócił do swojego dawnego „ja”; przywdział znów sączone i mankiety. Włosy oczywiście nie mogły tak szybko odrosnąć, ale nie zastąpił ich peruką.

Lynn przedstawiła ich sobie.

- Max, to jest Alan, opowiadałam ci o jego dziewczynie.

Alan spojrzał na Lynn.

- Opowiedziałas mu o Jessice? Co mu opowiedziałas? -Ze jest bardzo pięknym prywatnym detektywem -
odparła Lynn.

Max już nie mógł się doczekać przyjazdu Alana i okazji zrobienia czegoś wbrew zaleceniom tego obrzydliwego Rolanda. Ułożył na łóżku Alana piękną satynową pościel, a w łazience wyjątkowo drogie kosmetyki do kąpieli. A także szalenie zmysłowe ręczniki. Oraz kwiaty i miseczki z cukierkami. Zrobił wszystko, co tylko można, by ukazać Alana w jak najbardziej korzystnym świetle, zarówno w przenośnym, jak i dosłownym sensie. Zamówił

nawet kogoś, by zrobił mu masaż i oczyszczanie twarzy. Alan oczywiście nie pogardził masażem, zawartym rzekomo w cenie pokoju, jak wyjaśnił Max. Dlaczego Lynn nie otrzymała tych usług, pozostawało tajemnicą, a Max, kiedy go o to spytano, odrzekł, że te luksusy zostały doliczone wyłącznie do pokoju Alana - pokoju numer pięć -ale nie do innych. Jeśli ktoś był szczęściarzem i zajął akurat ten pokój, wcale nie droższy od pozostałych, wówczas korzystał z takich właśnie przywilejów. Max nie miał ochoty obdarzać Lynn jakimikolwiek luksusami, bo nawet jeśli nie został przez nią tak obrażony jak przez Rolanda, to jednak wcale go to nie zachwyciło, gdy usłyszał, że jej zdaniem Roland lśni w porównaniu z nim.

Alan zaproponował Lynn, że zamieni się z nią na pokoje, dzięki czemu to ona mogłaby pławić się w zbytkach, bo przecież to ona była w potrzebie jako nałogowy prześladowca: czuł, że takie zmysłowe przyjemności dobrze by jej zrobiły. Zawsze pomagały prześladowcom. Myślał w duchu, że któregoś dnia powinien napisać poradnik dla prześladowców. Dogadzaj sobie jak tylko możesz: tak brzmiałaby rada numer jeden, której by im udzielił. Prześladowcy zazwyczaj nie dogadzali sobie dostatecznie. Istniały oczywiście wyjątki - przypadki prześladowców, którzy dogadzali sobie za bardzo, a to z kolei potęgowało ich nałóg. Człowiek zatem potrzebował idealnie wypo-środkowanych dawek, żeby zminimalizować nałóg: nie za dużo i nie za mało. Tak więc przenieśli swoje rzeczy i wyszli na spacer. Po powrocie przekonali się ze zdumieniem, że satynowa pościel, fikuśne kosmetyki do kąpieli i inne luksusy zamieniły pokoje i znajdowały się teraz w nowym pokoju Alana.

Został do nich dołączony liścik o treści: „Kierownictwo zajazdu źle patrzy na gości zamieniających się pokojami. Zamienianie pokoi nie przyniesie niczego dobrego. Pokój będzie wędrował za takim gościem, gdziekolwiek się uda, już do końca jego pobytu. No chyba że zostanie uznany za kawał łotra”.

Alan wzruszył ramionami.

- Tere-fere - powiedział do siebie, z żelazną konsekwencją nie pozwalając, by dziwactwo właściciela zajazdu odciągnęło jego uwagę od celu tego weekendu, a mianowicie bycia nieatrakcyjnym. Kiepskie ubranie, kiepska woda kolońska. Starał się znów robić miny, „zbyt drastyczne”, jak to ujęła Lynn dawno temu. Próbował też odtworzyć nerwową mowę ciała, ale stwierdził, że jest zbyt niepokojąca, zbyt przerażająca, jakby był opętany przez diabła. Dlatego postanowił, że mowa ciała to jedyna rzecz, w której nie będzie się babrał, bo towarzyszyły jej zbyt wysokie koszty. Zamiast tego skupił się na mówieniu dobrze o Rolandzie. „Wprost bucha od niego energią. Ma taki wspaniały metabolizm. Jest opalony. Jest Francuzem. Och! Ach! I zawsze ze mną wygrywa w racquetball!”

Podczas lunchu Max przysiadł się do Lynn i Alana, gdy jedli grillowanego łososia, którego dla nich przygotował. Wychwalał Alana pod niebiosa, wskazując Lynn te cechy, które jego zdaniem były cudowne. Lynn zgadzała się z nim w całej rozciągłości.

Tymczasem Jessica błąkała się po hotelu i szpiegowała. Wciąż uważała, by nie dać się przyłapać Maksowi, a on wciąż jej nie łapał. Dlatego więc starała się szpiegować z większym wigorem, ale i tak jej to uchodziło na sucho. Szpiegowała więc z takim zapalem, że prawie w ogóle

się nie kryła. Aż wreszcie Max przyuważył ją o piętnastej w bawialni; była ubrana w czarną miniówkę, a z jej szyi dyndały dwie pary lornetek. Schowała się za ciężkimi drzwiami pokoju.

- Dlaczego się pani ukrywa? - spytał Max, podchodząc do niej.

- Szpieguję mojego chłopaka.

- Mam pani w tym pomóc?

- Nie. Mam tylko wielką prośbę, żeby pan mu o tym nie mówił.

Zrobiłabym wszystko, byleby pan mnie nie zdradził.

- Och - odparł po kilku sekundach. Niepewien, co tu jeszcze powiedzieć, dodał tylko: - Wszystko?

- Tak. Bo tak bardzo nie chcę, żeby pan mu o tym mówił.

Dopiero wtedy do Maksa dotarło, że ta kobieta jest być może dziewczyną Alana, a więc tą fantastyczną sekso-holiczką, o której tyle opowiadała Lynn.

- Przypadkiem nie jest pani dziewczyną Alana, prawda?

- Owszem, jestem.

Zmarszczył brwi, oceniając sytuację.

- Bardzo nie pochwalam szpiegowania. Dlatego cena może być wysoka.

- Wiem - odparła, uwodzicielsko spuszczaając wzrok i nawet zdobywając się na lekki rumieniec.

Był pod wrażeniem.

- Pani może nie być przygotowana na to, co mam na myśli - powiedział.

Wciąż nie podnosiła wzroku.

- Może się to wiązać ze zbliżeniem się mojej odstręczającej osoby do pani. - Zrobił krok do przodu.

- Pan wcale nie jest odstręczający - powiedziała cichym głosem.

-Ach nie? Pochlebstwa nie wpłyną na złagodzenie wyroku, proszę o tym pamiętać.

- Zapamiętam.

Ośmielił się zapuścić rękę pod jej spódniczkę, bo stał już bardzo blisko.

- Gdzie masz majtki? - spytał.

- Zgubiłam je.

- Gdzie?

- W ogrodzie. Spadły ze mnie podczas szpiegowania. Nie miałam czasu, żeby ich poszukać.

- Masz strasznego pecha, co z pewnością nie pomoże w twojej sprawie.

Przycisnął ją do ściany, za drzwiami, odpiął swój sącdek i wyjął z kieszeni prezerwatywę.

Wsunął wzwiedzionego członka pod jej spódniczkę, potem między jej nogi i na koniec wepchnął się w nią.

Na jej twarzy malował się wyraz zaskoczenia zmieszanego z bezradnością. Oczy miała szeroko rozwarte, brwi ułożyły się w dwa łuki smutku. Jej cudownie wykrojone wargi rozchyliły się, wyglądały na niewinnie zszokowane. Zaczął ją penetrować.

Rytmicznie i powoli. Za każdym razem, gdy wnikał do środka, robiła ostry wdech. Pełen przerażenia. Doceniał jej aktorstwo.

Słyszeli ludzi rozmawiających w korytarzu, tuż przed bawialnią. Jeszcze bardziej zwolnił ruchy, ale nie przerwał ich do końca.

Ona zaś ledwie rozstawiała nogi.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - wyszeptał Max do ucha Jessiki i wyjął penisa.

Zabrał ją do pustej sypialni i kazał jej tam zostać. Powiedział, że ma coś do zrobienia, ale wróci.

Roland nie mógł tego dłużej wytrzymać. Telefoniczne sprawozdania od Maksa już go nie kołysły. Potrzebował sprawozdań co pół godziny albo przeciętnie dwanaście razy na sześć godzin i Max zgodził się je składać, niemniej odpowiadał jedynie na co drugi telefon Rolanda. Dlatego Roland postanowił przyjechać do hotelu i naocznie sprawdzić, jak się sprawy mają. Przekonać się, czy Alan jest godzien zaufania, czy zrobił się obrzydliwy na użytek Lynn.

O szesnastej wypożyczył samochód i ruszył w drogę.

Kiedy Lynn wspomniała, że podczas swego pierwszego pobytu w zajeździe karmiła szopy, Alan ożywił się i oświadczył, że on też chce iść je karmić.

- Ale jeden mnie pogryzł - ostrzegła. - Mogą mieć wściekliznę. Musiałam dostać sześć zastrzyków w ciągu miesiąca.

Jego pragnienie, by karmić szopy, było większe niż strach przed wścieklizną i większe niż pragnienie, by wydawać się mało interesującym.

- Mam to gdzieś - odparł. - Chcę koniecznie nakarmić jakiegoś szopa. Nie musisz iść ze mną.

Świetnie się bawili przy karmieniu szopów i Lynn uznała, że Alan jest niebotycznie wprost atrakcyjny.

Jessica czekała na Maksa. W końcu otworzył drzwi. Stwierdziła, że jest zniewalająco przystojny.

Siedziała przy biurku. Max usiadł na krześle obok łóżka.

-Widziałaś ostatnio jakieś dobre filmy? - zagadnął.

Spytał ją także, dokąd chciałaby podróżować i jakie ma zainteresowania. Nie rozumiała, dlaczego on się tak nią bawi.

Wiedział, dlaczego ona tu jest.

Wstała, podeszła do niego, pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta. Bardzo się polubili. Wstał i powiedział, że musi znowu wyjść, dopatrzeć czegoś w hotelu.

Została w pokoju zdumiona, zastanawiając się, co powinna zrobić.

Dziesięć minut później wrócił, zdjął sącdek, włożył prezerwatywę, podniósł Jessicę do góry i nabił ją na swojego członka.

- Życie jest zbyt krótkie, żeby nie uprawiać seksu przez cały czas, nie uważasz? - zapytał.

- O tak - zgodziła się.

Alan i Lynn, siedzący obok otwartego okna, jedli kolację, gdy tymczasem Max uwijał się dookoła stołu, podając steki i pieczone ziemniaki im i dwóm innym parom. Powietrze było nadzwyczaj ciepłe i przyjemne jak na październikowy wieczór. Na dworze, w ciemnościach, ukrywał się Roland, który przy okazji zgubił monetę. Słyszał każde ich słowo.

Zdumiał się, gdy zobaczył, że Max siada przy ich stole i mówi:

- Świetna z was para, ludziska.

Roland nerwowym ruchem wyciągnął komórkę i wybrał numer jego komórki. Zobaczył, że Max patrzy na swój aparat i wzdycha ostentacyjnie.

- To znowu on - powiedział do nich, a zaraz potem zmienił ton na uprzejmy, przybliżając usta do telefonu. - Halo?

- Jesteś teraz z nimi? - spytał Roland jak zawsze, tyle że tym razem mówił szeptem.

- Tak - odparł Max.

- Okay, więc będę ci zadawał tylko takie pytania, na które będziesz odpowiadał „tak” lub „nie”.

- Uhm. A czemu mówisz szeptem?

- Bo... znajduję się w publicznym miejscu... w księgarni.

- Ach, rozumiem - odparł Max, zakrył dłonią mikrofon i powiedział do Alana i Lynn: - Roland zamecza mnie pytaniami na wasz temat, moi państwo. Jakie to żałosne.

Roland usłyszał to przez otwarte okno.

- Halo? Jesteś tam jeszcze? - odezwał się. Max do niego.

- Tak - odparł szeptem Roland.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Traktujesz ich źle? - spytał Roland, czując, że robi mu się słabo.

- Ależ oczywiście! - zapewnił go Max, dolewając Alanowi wina.

Ukryty w mroku Roland skrzywił się.

- A dobrze się bawią? - spytał po chwili.

- Ale gdzie tam - odparł Max.

- Czy Lynn... sprawia takie wrażenie, jakby go lubiła?

- Boże uchronaj. - Max znowu zakrył dłonią mikrofon i powiedział do Alana i Lynn: - Dacie wiarę? On mnie pyta, czy już uprawialiście seks!

Zaczajony pod oknem Roland przestraszył się, że zaraz zemdleje.

- Okay, dziękuję ci - wyrzęził.

- To już wszystko? - spytał Max, niemalże rozczarowanym głosem.

- Tak, dziękuję ci za całą pomoc. - Roland rozłączył się.

Wiedział, niemal od urodzenia, że prawdopodobnie nie jest szczególnie miły. Niemniej nigdy nie przyszło mu

na myśl, że chętnie by kogoś zabił oprócz siebie. Tymczasem teraz, ku jego przerażeniu, nic nie wydawało się równie ważne jak zabicie Maksa. Niezachwiane przeświadczenie o konieczności dokonania tego aktu przepęłniło go bezradnością. Nie walczył z nią.

W niedzielne popołudnie Lynn i Alan wylegiwali się przy basenie.

Lynn wertowała czasopismo poświęcone modzie.

- Gdybyś nie miał dziewczyny - spytała Alana - czy zainteresowałbyś się mną?

- W sensie uczuciowym? - Tak.

- Nie.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Ponieważ to by oznaczało wykorzystywanie ciebie. Nie myślisz jasno. Jesteś teraz prześladowcą.

- Przestań chrzanić! Gdybym potrafiła myśleć jasno, byłbyś zainteresowany?

- Prześladowcy nie są pociągający.

- Przecież ty mnie też prześladowałaś. I to pierwszy! Kiedyś tak strasznie mnie pragnęłaś! Nie pamiętasz?

- Ludzie się zmieniają.

- Ale ja się nie zmieniłam. Nadal jestem tą samą osobą, której kiedyś pragnęłaś.

- Nieprawda. Teraz jesteś makabryczna. Ale ja się na tym znam. O nic cię nie obwiniam.

Lynn zaczęła mówić nienaturalnie spiętym głosem.

- Okay, okay, a gdybym nie była prześladowcą, ale po prostu... była tobą zainteresowana zgodnie z nakazami rozumu... czy mógłbyś zainteresować się mną uczuciowo?

- Hm, nie, nic by z tego nie wyszło, biorąc pod uwagę

naszą wspólną przeszłość, czyli to, że cię prześladowałem i tak bardzo się upokarzałem.

- Nawet w połowie nie tak, jak ja się upokarzam!

- Po pierwsze tu można polemizować, po drugie to nie jest dobry argument.

To, co się stało potem, dla niej nie miało żadnego znaczenia.

- Nie chcę wracać z tobą. Jadę do domu pociągiem.

- Pomaszerowała do hotelu i spakowała rzeczy. Po półgodzinie już jej nie było.

Zrobiwszy wszystko, co w jego mocy, by pomóc Lynn i

Rolandowi w ponownym zejściu się z sobą, Alan stwierdził, że spędzi jeszcze jedną noc w hotelu, by się odprężyć i rozkoszować nowo odkrytą wolnością od swego prześladowcy.

Zamierzał wczesnym rankiem wracać do miasta. Zadzwoił do swojego mieszkania, by powiadomić Jessicę, jakie ma plany, ale Jessica nie odbierała telefonu. Nagrał więc wiadomość. Odkąd wyjechał z miasta, nie był w stanie nawiązać z nią kontaktu. Miał nadzieję, że u niej wszystko gra i że nie jest zbyt zazdrosna, ale nie przejmował się zanadto, bo uprzedziła go, że być może spędzi ten weekend ze swoją przyjaciółką Mary.

Zadzwoił na komórkę Rolanda, by poinformować go, jak zakończył się ten weekend. Roland siedział w wypożyczonym samochodzie, zaparkowanym na poboczu, tuż przy krańcu podjazdu. Czekał, aż zajazd opustoszeje, jak należało się spodziewać w niedzielą noc, dzięki czemu mógłby zostać sam na sam z Maksym i rozprawić się z nim. Jedna z par właśnie wyjechała, a potem zobaczył Lynn, która opuszczała to miejsce taksówką.

- Lynn wyjechała sama. Wściekła się na mnie - powiedział Alan, kiedy Roland odebrał telefon. Myślał, że zachwyci tym Rolanda.

- A ty? Wyjeżdżasz już? - spytał Roland.

- Nie, zamierzam zostać jeszcze jedną noc.

Dla Rolanda było to bardzo kłopotliwe, bo nie chciał spać przez całą noc w samochodzie, w oczekiwaniu aż Max zostanie sam.

- Dlaczego? - spytał.

- Żeby odsapnąć.

- Nie musisz iść jutro do pracy?

- Spóźnię się.

- Nie możesz odsapnąć w domu, ze swoją dziewczyną?

- Mojej dziewczyny chyba nie ma w domu. Jestem tutaj, więc równie dobrze mogę odsapnąć tutaj. A czemu pytasz?

- Chcę odzyskać samochód.

- To pilne? - spytał Alan.

- Tak! Chcę go mieć natychmiast.

- Naprawdę nie mam ochoty siadać teraz za kierownicą, po tych wszystkich przejściach z Lynn. Boję się, że mógłbym spowodować wypadek.

- Potrzebuję samochodu.

- Dlaczego to takie pilne?

Roland nie umiał wymyślić dobrego powodu.

- Bo umowa była taka, że będziesz mógł zatrzymać samochód do niedzieli wieczór. I kropka. Chcę mieć samochód. Trzeba dotrzymywać słowa, jak sam mówiłeś.

- Jestem zmęczony. Gadasz bez sensu. Przyjadę jutro rano.

Roland westchnął.

- Boże, ale z ciebie kretyn. - Nie mógł się doczekać, kiedy będzie miał okazję zbić Alana. Nawet wyobraził sobie, jak się tym uraczy po wizycie u Maksa. -Dobra, chcę dostać samochód jutro rano. Wybieram się na pole miłości Lynn, bo kto wie, może ten instruktor czytania map miał rację i to zwiększy moje szanse na odzyskanie jej miłości. Pole leży przy twojej drodze powrotnej na Manhattan. Spotkaj się tam ze mną, wrócimy razem.

Wyjaśnił Alanowi, gdzie znajduje się pole, i kazał mu tam czekać o ósmej trzydzieści następnego ranka.

- Jesteś pewien, że je znajdziesz z twoją beznadziejną orientacją w terenie? - dodał.

- Znajdę je - zapewnił go Alan.

- A tak nawiasem, ten Max to niezły dupek, co? - spytał Roland.

- Tak, trochę przesadza z tym preferencyjnym traktowaniem, luksusami i podarunkami.

Roland upewnił się w tym momencie, że ani nie zrozumiał opacznie, ani nie zinterpretował błędnie tego, co usłyszał przez okno.

Alan wciąż jeszcze wylegiwał się nad basenem, kiedy przyszedł do niego Max.

- Przykro mi, że Lynn wyjechała w takim popłochu — powiedział.

- Och, wiem, to szkoda, ale pewnie nie dało się tego uniknąć. Może tak lepiej.

- O której chcesz się wymeldować?

- O siódmej rano.

- Możesz sobie wziąć coś z kuchni, kiedy wstaniesz, na wypadek gdybym ja jeszcze nie był na nogach.

Alan spojrział na niego zezem, zdumiony tą jego dobrocią. Za nimi świeciło zachodzące słońce.

- Dzięki.

O siódmej rano Max zamierzał uprawiać seks z Jessicą, w bawialni. Nie powiedział jej, że właśnie o tej porze jej chłopak będzie schodził na dół. Powiedział jej natomiast, kiedy już zwabił ją na dół, że aspekt publiczny doda niesamowitej pikanterii całej sytuacji. Prawda była taka, że był nią urzeczony i nie miałby nic przeciwko, żeby ją mieć dla siebie. Liczył, że Alan z nią zerwie. O siódmej rano Alan ich przyłapał.

- Coś ty jej zrobił?! - wrzasnęła, spychając Maksa ze swojej dziewczyny. - Ona jest chora! Pieprzysz się z chorą osobą!

- Cholera jasna! - odwrzasnął Max. - A na co jest chora? Ma opryszczkę, rzeżączkę, HIV? Proszę, nie mów mi, że to HIV!

- Ona jest seksoholiczką - wysyczał Alan.

- Przykro mi, ale to koniec, Alan - powiedziała Jessica. - Nie mogę być z nikim długo. Bycie z tobą tak długo to był mój rekord i dziękuję ci za to, ale to się stawało dla mnie zbyt trudne.

- Rzucasz mnie dla niego?

- Nie. Nie jestem zainteresowana związkiem z Makssem. Nie mam zamiaru więcej się z nim spotykać. To był tylko skok w bok.

- Nie zrywam z tobą znajomości z tego powodu - powiedział Alan. - Pomogę ci wrócić na właściwą drogę. Tak ci dobrze szło, przez tyle miesięcy. Nie może tak być, żeby jedno potknięcie zniszczyło wszystko.

- Wcale nie szło mi dobrze. Uprawiałam seks z innymi mężczyznami prawie codziennie.

-Nie.

- Tak! Myślałeś, że jestem zazdrosna o ten weekend. Cóż, myliłeś się. Denerwowałam się z powodu twojego wyjazdu, ponieważ wiedziałam, że zabraknie mi siły woli, by nie przespać się z kilkunastoma mężczyznami.

Alan miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Chwiejnie podszedł do pożyczonego samochodu i pośpiesznie odjechał.

Nie mówiąc ani słowa ani nie patrząc na Maksa, Jessicą podbiegła do wynajętego samochodu i ruszyła za Alanem, nie tylko dlatego że to było w jej naturze, ale dlatego że chciała się upewnić, że on nie zrobi nic auto-destruktywnego.

Alan jechał i płakał. Czuł, że odzywają się w nim ciagoty prześladowcze, ale starał się je zwalczyć. Nie zamierzał prześladować Jessiki. Nie chciał jej chcieć. Tak czy owak wiedział, że pokusa, by ją prześladować, jest absurdalna, bo widział we wstecznym lusterku, że ona prześladowuje teraz jego, a na dodatek, dowiedziawszy się o jej niewierności, wcale tak naprawdę nie chciał jej odzyskiwać. Co z kolei było osobliwie bardziej bolesne niż pragnienie, by ją mieć.

Jego jedyną pociechą było to, że molestowano go seksualnie w dzieciństwie. Wręcz czuł ulgę, że może obarczyć winą osobę, która go molestowała. Ponieważ kusilo go, żeby naprawić coś w swoim popieprzonym życiu, podjął nagle decyzję - która lekko poprawiła mu nastrój - by jechać do tej osoby, nawrzeszczyć na nią, pokazać jej, jak zniszczyła mu życie. Jak się człowiek wyłości na swojego oprawcę, to potem wszystko może być tylko lepiej.

Alan pojechał prosto do Cross, oddalonego o czterdzieści pięć minut. Próbował się dodzwonić do Rolanda, powiedzieć mu, że spóźni się co najmniej godzinę na ich spotkanie na polu miłości Lynn, ale Roland nie odbierał, więc Alan nagrał wiadomość. Zaparkował samochód pod domem swojego oprawcy. Jessica stanęła nieco dalej.

Nacisnął dzwonek panny Tuttle.

Panna Tuttle mocno się postarzała przez te trzydzieści lat. Stała w drzwiach, zawiązując pasek szlafroka.

- Czy nie przeszkadzam? - spytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Co wcale nie znaczy, żeby mnie to obchodziło.

Obejrzała go sobie od stóp do głów, w wielkopański sposób, jego zdaniem.

- Przyłapałeś mnie w trakcie robienia sobie jednej z moich comiesięcznych, rozbieranych sesji zdjęciowych, dzięki którym śledzę proces starzenia się.

- Pani jest chorą kobietą. Dziwię się, że pani nie popełniła samobójstwa.

- Dlaczego mówisz mi takie straszne rzeczy? - spytała panna Tuttle.

- Pani mnie zmusiła do dotknięcia mangoryby. Pamięta pani? Miałem tylko pięć lat, na litość boską! Taki Seymour to chociaż nie zmuszał tej małej dziewczynki do dotykania ryby bananówki.

- To dlatego, że nie istnieje nic takiego jak ryba ba-nanówka - odparła panna Tuttle. - Ja natomiast miałam mangorybę. Nadal ją mam. Jest w mojej sypialni. Możesz tam wejść i obejrzeć ją sobie, jeśli chcesz.

Wszedł do sypialni, spodziewając się, że panna Tuttle albo urządzi mu striptiz, albo będzie próbowała go zabić.

A jednak w sypialni znajdowało się akwarium o pojemności pięćdziesięciu galonów, lśniące w mroku niczym gigantyczny

klejnot. W środku pływała ryba, długości około sześciu cali, która miała wąsy i pomarszczoną skórę jak u basseta.

-Ale w jaki sposób trzymała pani rybę przy sobie w wodzie? Nie da się trzymać ryby na smyczy.

- Miałam ją w plastikowej torbie; rozchyliłam odrobinę tę torbę, żebyś mógł ją pogłaskać.

Alan przeprosił pannę Tuttle za to, że oskarżył ją o tak ohydne przestępstwo. Naszła go też irracjonalna ochota, żeby rybę również przeprosić, ale wiedział, że to nie jest ta sama ryba, bo przecież ryby nie żyją tak długo.

Wrócili do salonu. Alan czuł się jak sflaczały balon. Panna Tuttle, starając się poprawić mu samopoczucie, przyniosła z kuchni babeczkę.

- Chcesz skosztować mojego ciastka? - spytała. - Jest miłe i ciepłutkie.

Zbladł, a wtedy wybuchnęła śmiechem.

- Tylko żartuję! Ależ ty jesteś śmieszny, musisz mnie koniecznie znowu odwiedzić. Ludzie tutaj są tacy poważni, wierz mi. Nie tak jak ty! - I na tym skończyła.

Wyznał jej, że cieszyłby się, gdyby kiedyś go molestowała, i że teraz, chcąc nie chcąc, czuł do niej lekką odrazę, bo jednak tego nie zrobiła. Wyjaśnił, jakie niedobre było jego życie i jak się polepszyło, a teraz znowu pogorszyło i jak obarczanie jej winą złagodziło jego cierpienie.

I pospiesznie uciekł, czując do siebie obrzydzenie.

Dziesięć minut później Alan musiał zjechać na pobocze, żeby jeszcze sobie popłakać. Jessica zatrzymała się za nim i przyjrzała mu się przez lornetkę. Zrobiło jej się

przykro, gdy zobaczyła, że on płacze, ale wiedziała, że tak to już musi być.

Alan płakał i czuł się jak Kopciuszek punktualnie o północy. Wszystkie cudowne rzeczy w jego życiu na powrót przeobraziły się w śmieci. Stracił dziewczynę i oprawcę. I na domiar wszystkiego nawet się nie zapisał na jesienny semestr. Gdyby choć czekały go jakieś kursy, to może wszystko nie wydawałoby się takie straszne.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lynn i nie wykorzystać jej w celach seksualnych, ale najpierw postanowił odsłuchać wiadomości nagrane na jego sekretarce, by sprawdzić, czy nie dzwonił jakiś znajomy o tendencjach samobójczych, który mógłby go rozweselić. Znalazł dziewięć obsesyjnych wiadomości od Lynn, co sprawiło, że stała się mało pociągająca, a zatem bezużyteczna, nawet w chwili słabości.

Postanowił spotkać się z Rolandem, by mogli okazać sobie wzajemne współczucie: dwaj porzuceni mężczyźni.

Uruchomił samochód i ruszył w stronę pola miłości Lynn.

Jechał, a tymczasem Jessica obserwowała go przez lornetkę.

Widziała wprawdzie tylko tył jego głowy, ale wydawał się teraz spokojniejszy. Dlatego więc pojechała w stronę Manhattanu, żeby rozpocząć zwyczajny dzień w roli prywatnego detektywa i nowe życie w roli samotnej seksoholiczki.

W czasie, gdy Alan prowadził rozmowę konfrontacyjną z panną Tuttle, Roland odbywał spotkanie z Maksem.

Max zdziwił się na widok Rolanda na swoim progu. Usiedli w bawialni, żeby pogadać. Roland chciał usłyszeć,

jak minął ten weekend; taki podał pretekst swojego przyjazdu.

- Wszyscy twoi goście wyjechali?

- Tak - odparł Max.

- Bardzo tu cicho, kiedy nikogo nie ma.

Zgodnie z nadziejami Rolanda Max nie zaprzeczył, że w budynku nie ma żywej duszy.

- Nie zatrudniasz jakichś ludzi do sprzątanania czy w ogóle kogoś do pomocy? Masz pewnie mnóstwo roboty, robiąc wszystko sam.

- Sprzątaczką przyjdzie po południu - wyjaśnił Max.

- No więc czy twoim zdaniem udało ci się ukazać Alana w niekorzystnym świetle?

-Tak.

- A wiesz, jaka jedna rzecz naprawdę mnie w nim irytuje?

Max potrząsnął głową.

- To, że on tak powoli pije wodę - powiedział Roland.

- To znaczy?

- To znaczy to, co znaczy. A jak stara się pić ją szybciej, to się dławi. Ja sam piję wodę szybko, więc pewnie dlatego oczekuję tego po innych - powiedział Roland. -Nigdy się nie dowiedziałem, że piję ją szybko, dopóki nie zauważyłem, że niektórzy ludzie nie potrafią jej pić równie szybko bez kasłania. Sam zobacz, pokażę ci. - Wstał.

- Mówisz poważnie? - spytał Max.

-Jak najbardziej! Masz coś przeciwko, jeśli pójde do kuchni i wezmę sobie szklanekę?

- Ależ czuj się jak u siebie w domu - powiedział Max i zachichotał.

Roland wrócił dwie minuty później z dwiema wyso-

kimi szklankami wypełnionymi wodą. Postawił przed Maksem szklankę, do której dosypał zawartość swojego medalionu.

- Co? Ja też mam pić wodę? - spytał Max.

- Tak, ale wstrzymaj się chwilę i popatrz, okay? Max przytaknął. Roland wypił wodę bardzo szybko - choć nie nadzwyczajnie szybko, tylko po prostu jak przeciętny człowiek, który szybko pije wodę.

Max znowu przytaknął, nieznacznie dając do zrozumienia, że pokaz zrobił na nim średnie wrażenie.

- No co ty - powiedział Roland. - Musisz przyznać, że zrobiłem to cholernie szybko.

- Jesteś szurnięty - odparł Max i parsknął.

- Ty nie wypiłbyś wody nawet w połowie tak szybko, jak ja to właśnie zrobiłem. W każdym razie uważam, że Francuzi mają naturalną przewagę nad Amerykanami. Moim zdaniem statystycznie potrafimy pić wodę znacznie prędzej. - Roland padł na krzesło, jakby był gotów zakończyć na tym sprawę i przejść do innego tematu.

Max sennie podźwignął się i usiadł prosto, po czym podniósł swoją szklankę.

Rolandowi zaczęło gwałtownie bić serce. Nie mógł uwierzyć, że to może być aż takie proste. Teraz, kiedy Max miał zaraz napić się cyjanku, umysł Rolanda mógł się bardziej zatroszczyć o ryzyko, że zostanie przyłapany i oskarżony o morderstwo.

- Gdzie twój asystent? - wybuchnął.

- Jaki znowu asystent?

- Ten facet, który pierwszego dnia powiedział Lynn i mnie, że to ty zaaranżowałeś, abyśmy cię nakryli na uprawianiu seksu, ponieważ uwielbiasz się wstydzić.

- Och, to był tylko mój bliski znajomy, który czasami wyświadcza mi tę przysługę.
- Ponieważ uwielbiasz się wstydzić.
- Tak. A już zwłaszcza się czerwienić.
- To jakiś obłąd, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ale też idiotycznie rozbrajające - stwierdził z irytacją Roland.
- Cieszę się, że tak uważasz. I pozwól, że będę jeszcze bardziej rozbrajający: pokażę ci, jak szybko potrafię wypić tę wodę. Gotów?

Roland skrzywił się, ale nie wykonał żadnego ruchu. Nie powstrzymał Maksa, choć byłoby to łatwe. Mógł zabrać mu tę szklankę, powiedzieć, że do niej nasikał czy coś równie nieszkodliwego.

Max wypił wodę bardzo szybko. Kilka kropel ściekło mu po policzku. Hałaśliwie odstawił szklankę.

- Ohydna ta woda - stwierdził. - Wzięłeś ją z kranu?
- Dlaczego mnie zdradziłeś? - spytał Roland. - Kiedy zadzwoniłem, nie tylko powiedziałaś Alanowi i Lynn, że to ja dzwonię, ale nakłamałaś, że pytam, czy uprawiali seks! Wszystko słyszałem.

Max miał przed sobą kilka sekund życia, a Roland chciał zaspokoić swoją ciekawość.

- Dlaczego mnie zdradziłeś?
- Bo jesteś świnią, dzisiaj jeszcze bardziej uroczą, z tymi wodnymi kryteriami oceniania ludzi. Au! - jęknął, chwytając się za brzuch.
- Dlaczego jestem świnią? Bo poprosiłem cię o pomoc? Bo ujawniłem, że zdaniem Lynn byłeś moim ulep-szczem? O to chodzi? Twoje uczucia zostały zranione? I ty myślisz, że to dostateczny powód, aby zrujnować mi życie?

- Au! - Max zgiął się wpół. A potem krzyknął: - Dałeś' mi cos' paskudnego do wypicia!

- Tak! Cyjanek. Za kilka sekund będziesz martwy. -Nie!

Ciałem Maksa targnęły konwulsje, po chwili padł na bok. Roland wiedział, że to jednodominutowa śpiączka, która poprzedza zgon. Kiedy Max już nie żył, Roland wytarł odciski palców. Użył całej siły woli, żeby się pohamować i nie upuścić spinacza - wolał nie zostawiać żadnych śladów.

Potem odwiózł samochód do wypożyczalni i pojechał taksówką na pole miłości Lynn, na spotkanie z Alanem. Był tam wcześniej od Alana, który spóźnił się nie tylko z powodu wizyty u panny Tuttle, ale także za sprawą kiepskiej orientacji w terenie, podleczonej jedynie nieznacznie dzięki kursom czytania map. Kiedy Alan tam wreszcie dojechał, Roland siedział po turecku, na samym środku opustoszałego pola.

- Czy Lynn nadal się tobą interesuje? - zawołał Roland, kiedy Alan wysiadł z samochodu.

- Tak. Nie chce mi dać spokoju. Zostawiła dziewięć wiadomości w mojej skrzynce głosowej.

- Po prostu nie byłeś w stanie stać się mniej atrakcyjny?

Alan nie miał ochoty wysłuchiwać krytyki. Postanowił, że wymusi na Rolandzie prędkie doładowanie ego.

- Próbowałem. Ale, no wiesz, to trudne. Roland podszedł do Alana.

- Jesteś dupkiem! - wrzasnął.

-Co ty powiesz? A czy sam starałeś się sprawić, żeby Lynn cię znieubiła, kiedy ja chciałem ją zdobyć?

- Ple, ple, ple! - krzyczał Roland. Zaskoczył Alana, uderzając go w twarz. - Naprawdę myślałeś, że przyjechałem na to pole, by znaleźć się tam, gdzie miłość Lynn? Jaki ty jesteś naiwny. I durnowaty.

- Nie wiem, po co mi to - odparł Alan, prostując się i przykładając palec do zakrwawionych warg. - Moja dziewczyna właśnie ze mną zerwała, nie zapisałem się na żaden kurs, przeze mnie Lynn jest bliska samounicestwienia. A poza tym okazało się, i to jest z tego wszystkiego najgorsze, że w dzieciństwie wcale nie byłem molestowany, co z kolei oznacza, że nie można tych wszystkich spraw wytłumaczyć inaczej jak tylko tym, że jestem urodzonym zerem.

Roland znowu uderzył Alana, tak że ten upadł na ziemię. A potem jeszcze go kopnął, raz, drugi, po czym zmusił się, by przestać. Już zabił jednego człowieka tego ranka. Upuścił na ziemię spinacz, wskoczył do samochodu i pośpiesznie odjechał. Alan powłókł się piechotą do stacji kolejowej i wrócił do domu pociągiem, raz po raz zapewniając się w duchu, że jest wspaniały, czysty, należycie przystosowany do życia, że się nie stoczy, że nie będzie prześladował swojej dziewczyny, że nigdy nie będzie uganiał się za kimś, kto go nie chce.

Właśnie powtarzał sobie tę mantrę, gdy wysiadał z windy i ktoś rzucił się na niego od tyłu. To była Lynn, której udało się przemknąć niezauważenie obok portiera i potem ukrywała się na klatce schodowej, czekając, aż Alan wróci do domu. Tego już było za wiele. Poczul się jak zbity pies. Wepchnął ją do swojego mieszkania; zatoczyła się, ale poza tym ani trochę się nie złąła. Zbliżyła się do niego jak magnes, z wyciągniętymi ramionami, wyraźnie

chcąc go uściskać. I zrobiła to. A potem próbowała go pocałować. I położyła też dłoń na jego kroczu.

Alan poczuł, że ma erekcję. Wiedział, że nie musi tego dłużej znosić i jak się jej odpłaci. Po prostu ją zgwałci.

Spróbuje, choć to będzie trudne. Nielekko zgwałcić kogoś, kto tak rozpaczliwie cię pragnie.

Kiedy zdzierał z niej ubranie, Lynn najwyraźniej zrozumiała to opacznie. Myślała, że on po prostu jest taki roznamiętniony.

Postanowił jej pokazać, że to nie namiętność. Że to przemoc, gwałt.

Oczywiście rozchyliła nogi tak ochoczo i tak szeroko, że to nie wyglądało jak gwałt, ale naprawił to brutalnymi pchnięciami.

- Tak, tak! - jęczała.

Naprawdę próbowała znaleźć w tym przyjemność? Jakim prawem! Obejmowała go, niwecząc efekt gwałtu i doprowadzając go niebezpiecznie blisko orgazmu, nie mówiąc już o tym, że bolały go żebra od kopniaków Rolanda, dlatego więc ścisnął ją za nadgarstki i przytrzymał je obok jej głowy. Tak czy owak przeżył orgazm.

Zaskowytała cicho. Z bólu. A przynajmniej wmawiał sobie, że z bólu.

Niczego nie wskórał. Dalej go pożądała. Wstał z łóżka, czując się jak kastrat. Nie odważył się jej poinformować, że właśnie ją zgwałcił, ze strachu, że ona roześmieje mu się w twarz. W ogóle nie wiedział, co robić. Wyjął szczura z klatki, zapatrzył się na jego paciorkowate oczy i telepatycznie zadał mu pytanie: „Czy widziałeś, jak Jessica mnie zdradza, non stop?” Nie umiał orzec, jaką odpowiedź mu daje szczur, ale był pewien, że brzmiała twierdząco.

Dźwięk telefonu zaskoczył ich oboje. Pomyłka. Alan

rozłączył się i usiadłszy na białym fotelu, wbił wzrok w krajobraz za oknem.

- Zostaw mnie w spokoju na jakiś czas, dobrze? - powiedział do Lynn.

Usiadła na kanapie i zaczęła czytać czasopismo, raz po raz na niego zerkając.

- Co się stało z twoją twarzą? - spytała w końcu. Nie chciał jej mówić, że Roland go pobił.

- Przewróciłem się.

W końcu wziął prysznic. W południe oznajmił, że wybiera się na spacer.

Uznał, że lepiej zrobi, jak pozwoli jej zostać w mieszkaniu, bo wtedy nie będzie za nim szła po ulicy. Byłaby to miła odmiana. Godzinę później, kiedy otworzył drzwi, jego nozdrza zaatakował cudowny aromat gotowania.

Poczuł się uciśniony i pokrzepiony zarazem. Tak się składało, że akurat był głodny. Cholera jasna, pomyślał. A kiedy wreszcie na nią zerknął, zobaczył, że ma na sobie tylko bokserki i podkoszulek i że wygląda cholernie seksownie.

Wyszła z kuchni z rondlem i podsunęła mu drewnianą łyżkę, prosząc, żeby spróbował jej sosu. Wepchnęła tę łyżkę do jego ust znacznie delikatniej, niż on wpychał się w nią. Niechętnie rozchylił wargi i spróbował. Pycha. Za-burczało mu w brzuchu. Miał nadzieję, że nie usłyszała tego, ale jej uśmiech wskazywał na co innego.

- Usiądź. Będzie gotowe lada chwila - obiecała i tanecznym krokiem wycofała się do kuchni; jej jędrny tyłek podrygiwał tak, jak to potrafią tylko jędrne tyłki.

Pięć minut później postawiła posiłek na stole. Wgryzł się w makaron. Był pyszny. Zawstydział się

z powodu zadowolenia, jakie go ogarnęło. Jadł ze wzrokiem wbitym w talerz. Na nią spojrzał tylko raz, ze zwykłej ciekawości; patrzyła na niego i uśmiechała się. Rozjątrzony spuścił wzrok. Zjadł jeszcze trochę, odsunął talerz i już miał wstać, kiedy Lynn powiedziała:

- To jeszcze nie wszystko.

Wstała i po chwili wróciła z kuchni, niosąc ciepły *crème brûlée*. Cholera, pomyślał. Nie miał pojęcia, że ona potrafi gotować. Przycisnął dłonie do twarzy. Co ma zrobić? Zachichotała. Pewnie odgadła jego myśli. Tak, zje trochę *crème brûlée*. To jednak wcale nie oznaczało, że wygrała. Grillowany karmel na szczycie wyglądał na chrupiący. I ten zapach. Zapach też był doskonały. Nie jadł, gapił się tylko na deser wytrzeszczonymi oczyma.

- No zjedz - zachęciła go.

Podniósł łyżeczkę i posmakował. Zmarszczył brwi. Jakim sposobem stała się taką dobrą kucharką? Potajemnie chodziła na jakieś lekcje? Zjadł wszystko do końca.

- Proszę, Kochaj się ze mną jeszcze raz - poprosiła. Jeszcze raz? A więc jej zdaniem on się z nią kochał?

Przecież to był gwałt. Więc po co w ogóle było próbować? Spojrzał na nią chłodno.

- Proszę, Kochaj się ze mną jeszcze raz - powtórzyła.

- Nigdy się z tobą nie kochałem - odparł, wstając od stołu.

- Aua.

No, nareszcie.

- Proszę, weź mnie jeszcze raz - poprosiła, stając przed nim.

Objęła jego twarz dłońmi i pocałowała go delikatnie w usta. Nie zrobił ani jednego ruchu, zwiesiwszy tylko

bezwładnie ręce wzdłuż boków. Ujęła je i próbowała się nimi opasać, ale kiedy je puściła, znów opadły.

- Nie chcę - powiedział. - Nie chciałem wcześniej i nie chcę teraz.

- Nie chciałeś wcześniej? Udało ci się mnie nabrać - stwierdziła.

- To nie był akt seksualny, to był akt przemocy - poinformował ją, licząc, że do niej dotrze, iż właśnie wygłosił definicję gwałtu.

A jednak ona tego tak nie widziała.

- Wolałbym, żebyś pojechała do domu i zostawiła mnie w spokoju - powiedział.

Pocałowała go w ucho, przejechała językiem po jego małżowinie. Miał nadzieję, że nie poczuła, jak to na niego podziałało.

Wetknęła język do środka ucha.

Żałował, że się nie zna na sztuce uwodzenia. Że nie udawała niezdobytej, nie zmieniała bezustannie zdania. Przynajmniej wtedy uzyskiwałyby chwilowy oddech od jej prześladowań, gdyby na przykład odgrywała zimną. To byłoby takie odświeżające. Poszukałby dla niej kursów. Może nawet nauczyłby ją, jak się poddawać.

Odepchnął ją, a wtedy pogładziła go po szczęce, po lewym pośladku. Lekko odsunął biodra, żeby nie poczuła jego erekcji.

- Boże, jak ja cię kocham - wymruczała.

Oparł się o szafkę z książkami i już nie mógł cofać się dalej. Półki wbijały mu się w plecy.

- Podnieciłeś się! - zauważyła. Gwałtownymi ruchami rozpięła mu pasek, guziki i zamek w spodniach, po czym ściągnęła je razem z majtkami. - Boże, jak ty mnie kręcisz.

Zacisnął usta, z rękoma rozpostartymi u boków, z dłoń-

mi wpitymi w półki. Nie patrzył na swojego penisa, tak samo jak nie patrzyłby, gdyby pobierano mu krew u lekarza.

Pocierała kciukiem czubek jego penisa. Wstrzymał oddech. Nie ruszył się nawet o cal.

Pociągnęła go do sypialni i na łóżko, położyła go na plecach i objęła nogami. Uparcie wpatrywał się w sufit.

Wsunęła mu język w usta, polizała jego zęby. Nic nie działało.

Przestała go całować i tylko ujeżdżała go, z policzkiem wspartym o jego skroń. Słyszał, jak mu dyszy do ucha. Jej oddech był ciepły. A potem zaczęło to brzmieć inaczej. Dyszenie przeobraziło się w łkanie, przewróciła go i zwinęła się na boku, plecami do niego.

- Co się stało? - spytał.

- Nie reagujesz - odparła.

Westchnął, ubrał się i przeszedł do dużego pokoju. Poszła tam za nim.

Znowu pomyślał o Jessice i posmutniał. Przypomnił sobie nagle, że Lynn nie wie o ich rozstaniu.

- Poczułaś się tu niemal jak u siebie, z tym gotowaniem i w ogóle

- powiedział. - A gdyby tak weszła tu Jessica?

- Dotychczas ani razu o niej nie wspomniałeś. Nie wykorzystasteś jej jako wymówki, by powiedzieć, dlaczego nie powinniśmy robić tego, co robimy. To dobry znak.

- Znak czego?

- Że ona nie ma aż takiego wielkiego wpływu na twoje emocje. A może znak, że ona nie zaspokaja cię całkowicie. Chcę powiedzieć... no wiesz... że ty ją zdradzasz.

- Nie, wcale jej nie zdradzam. W życiu jej nie zdradzę.

Lynn zmarszczyła brwi, po czym jej twarz złagodniała w uśmiechu.

- Naprawdę nie? Pokręcił głową.

- To wspaniała wiadomość! - powiedziała. - Kiedy to się stało i z jakiego powodu?

- To nie jest wspaniała wiadomość. Bardzo mi smutno. - Usiadł na kanapie.

- Och, nie smuć się! - powiedziała, tuląc go od tyłu. - Poprawię ci nastrój. Jesteś moim misiaczkiem.

- Nie jestem żadnym misiaczkiem.

-Ależ jesteś, jesteś. Każdy ma prawo wybrać sobie swojego misiaczka, a misiaczki nie mają prawa się sprzeciwiać. Misiaczki nie mają nic do gadania. Mogą tylko mówić, kto jest ich misiaczkiem, a nie czym misiaczkiem są.

Zdjęła z niego koszulę.

Tylko nie to!

Próbował się opierać, ale był taki zmęczony, że rozebrała go do naga w ciągu trzech minut. Rozłożyła na kanapie folię od rzeczy przyniesionych z pralni.

Chwilę wcześniej puściła płytę kompaktową - z *Toccatą i fugą d-moll* Bacha.

Stanąła za jego plecami. Wzięła kuchenny nóż i roz-smarowała mu coś na ramieniu. W drugiej ręce trzymała słoik. Miód, a więc nic raczej szkodliwego. Po chwili pokryła nim całe jego ciało.

Znów miał erekcję, ale ignorował to.

Wziął do ręki gazetę i zagłębił się w lekturze artykułu poświęconego trawnikom.

- Widzisz, jesteś moim misiaczkiem. Cały usmarowałeś się miodkiem, nie zaprzeczysz - powiedziała, nadal

przy nim majstrując, dotykając go, a kiedy znów spojrzął po sobie, zobaczył, że oblepiła jego ciało liśćmi mięty.

- Naprawdę muszę iść do pracy - protestował bezsilnie.

Wtedy powciskała w miód płatki ryżowe, przez co jego ciało zrobiło się gruzłowate, jakby miał jakąś straszną chorobę skóry.

Nagle naszło go podejrzenie, że ona chce go zjeść.

Potem obsypała go całego kakao, sprawiając, że był nie tylko gruzłowaty, ale i brązowy. Wyglądał potwornie, zauważyła z satysfakcją. Od niepamiętnych czasów marzyła o uprawianiu seksu z potworem. Liczyła, że akt pokrywania go jedzeniem pomoże jej go odzyskać: to był akt cudaczny, spontaniczny, swawolny, artystyczny, uroczo dziecięcy i zmysłowy.

Do jednych części jego ciała użyła Nesquika, do innych Ovaltine. Poprosiła, żeby zamknął oczy. Kiedy obsypywała mu twarz kakao, powiedział:

- Naprawdę muszę iść do pracy. Co z moją pracą? Nie mogę tam iść w takim stanie.

- Jest już wpół do trzeciej. Nie uważasz, że już trochę za późno, żeby iść do pracy?

- Lepiej późno niż wcale.

Potem przyniosła pojemnik z bitą śmietaną. Muzyka organowa nabrała namiętnego brzmienia, kiedy pokrywała śmietaną jego sutki, włosy łonowe i genitalia.

- Jeśli nie pójdę do pracy, wyląduję na bruku. Już jestem żebrakiem. Zebrzę o litość. O samotność.

Lynn nie znalazła w kuchni wisienek, więc wróciła z jagodami, które umieściła na czubku jego sterczącego pionowo penisa.

Czyste pozostawiła tylko stopy i większą część jego ly-

sej czaszki. Ukłękła przed nim, pokryła jego stopy oliwą z oliwek i zaczęła robić mu masaż. Kilka razy wierzgnął nogą, bo miał łaskotki. Wsuwała palce między jego palce. Uczucie błogości, które starał się ignorować, wsączało się wciąż w artykuł o trawnikach.

Rozległ się sygnał domofonu. Oboje popatrzyli na siebie.

- Odbierzesz? - spytał Alan.

Lynn puściła jego stopę i poszła podnieść słuchawkę.

- Tak? - Słuchała. Spojrzała na Alana. - Dozorca twierdzi, że Roland chce wejść na górę.

Alan nie odpowiedział.

- Powiem mu, żeby go tu nie wpuszczał - stwierdziła Lynn.

- Nie! Nie rób tego!

- Czego mam nie robić? Nie wpuszczać go tutaj?

- Nie, nie mów mu, żeby tu nie wchodził.

- Chcesz, żeby on tu wszedł?

- Tak. - Alan urwał. - Tak, powiedz mu, żeby tu wszedł.

- Dlaczego? Zwariowałaś? Popatrz, w jakim jesteś stanie.

Zdenerwuje się, jak mnie tu zobaczy. Może stracić panowanie nad sobą.

- I dobrze, niech nas pozabija. Zresztą po co mam żyć? Wpuść go tutaj!

Lynn powiedziała portierowi, żeby wpuścił Rolanda na górę.

Otworzyła drzwi wejściowe. Przycupnęła na oparciu kanapy, nad Alanem, oplatając go nogami w taki sposób, że jego głowa była wsparta o jej krocze. Zaczęła robić mu masaż głowy.

Wszedł Roland i wytrzeszczył oczy na widok tego spektaklu.

Alan cieszył się, że jest pokryty jedzeniem, bo, jak so-

bie uświadomił, to dowód obsesji Lynn, a także władzy, jaką nad nią miał. Miał nadzieję, że tak właśnie Roland będzie na to patrzył.

Roland rzeczywiście patrzył. Lynn i Alan siedzieli w taki sposób, jakby Lynn była tronem Alana. Jej palce na jego głowie tworzyły koronę. Kiedy masowała mu czaszkę, skóra na jego twarzy była napięta, oczy rozciągały się w szczeliny. Alan usiłował ją odsunąć, ale ona trwała taka przylepiona do niego, opuszki jej palców zaciskały się na jego prawie łysej głowie niczym macki. Alan bez wątpienia wygrał. Nic lepiej nie mogło sprawić, by Roland poczuł się bardziej przegrany, niż ten pokaz. Wychodził dalece poza scenkę domowego ciepłka, która już z pewnością byłaby zniechęcająca. Alan stał się potężną, majestatyczną, groteskową bestią. Roland zamrugał kilka razy. Odruch kazał mu się uklonić i wyjść, ale zmusił się i jednak został.

- Czego właściwie chcesz? - spytał Alan. Roland nie odpowiedział od razu.

- Czy mogę zabrać Lynn? - spytał po dłuższym milczeniu. Wybaw mnie od niej, wybaw mnie od niej, pomyślał Alan.

- Wolałbym, żebyś nie zabierał jej siłą, ale zasadniczo tak, możesz ją sobie zabrać, jeśli ona się zgodzi - powiedział zamiast tego.

- Jesteś mięczakiem, brak ci kręgosłupa, ani trochę mnie to nie dziwi, że twoja dziewczyna puściła cię kantem - odparł Roland. - Zresztą zdumiewające, że w ogóle z tobą była.

- Lynn, proszę, idź do mojej sypialni, zajrzyj do trzeciej szuflady od góry i przynieś to, co tam znajdziesz.

Lynn posłuchała. Wróciła z pistoletem Jessiki.

- Zabij go - rozkazał Alan.

Roland spojrzął na broń w dłoni Lynn, wycelowaną w niego.

Lynn nie strzeliła.

- Albo go zastrzelisz, albo natychmiast się stąd wyniesiesz, i to raz na zawsze - warknął Alan.

Lynn znów nie pociągnęła za spust.

- Jeśli go zabiję - powiedziała w końcu - to pójdę siedzieć i już nigdy więcej cię nie zobaczę. - Położyła pistolet na kanapie, tuż obok Alana.

Roland rzucił się w jego stronę. Alan ani drgnął, pozwolił mu schwycić pistolet. Roland strzelił do niego: W pistolecie nie było kul i Roland cisnął go z powrotem na kanapę.

- Wcale nie zamierzałeś mnie zabić, ty ciamajdo.

- Zgadza się, nie zamierzałem - odparł wyniośle Alan. - A teraz wynoście się, proszę. Oboje - powiedział zmęczonym głosem.

Lynn usiadła obok Alana na kanapie i błagała, żeby nie zmuszał jej do odejścia.

- Czy zechciałbyś zabrać ją z sobą? - zwrócił się Alan do Rolanda. - Mam tłuste stopy i boję się, że mógłbym się poślizgnąć. I jestem śmiertelnie wyczerpany.

Roland upuścił spinacz, wziął Lynn na rękę i roz-wrzeszczoną zaniósł do drzwi.

- Jedną chwilę - powiedział Alan i Roland się zatrzymał. Alan wstał, z płachtą folii przyklepioną do tyłka. Szedł w stronę Rolanda, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Pogładził Lynn po włosach i dodał: - Byłem niejako podniecony wizją, że zrobiłabyś dla mnie wszystko. Dlatego tolerowałem twoją obecność. Ale nie pociągnęłaś za

spust. Już się ani trochę nie podniecam. - To, co mówił, było prawdą, ale nie zawsze mówi się coś, bo to prawda. Powiedział to, żeby po raz kolejny wydać się mało atrakcyjny. Wyszli. Alan przyniósł kule z szafy w sypialni. Nabił nimi pistolet. Wyjął kartkę papieru i zapisał na nim numer telefonu matki Jessiki, a pod spodem prośbę, żeby Jessica zajęła się Naleśniczką. Dodał jeszcze kilka słów: „Nikogo nie należy winić za moją decyzję odebrania sobie życia. Nie jestem szczęśliwym człowiekiem. Mamo, bardzo cię kocham. Byłaś i jesteś najlepszą z matek. Proszę, nie smuć się. Ze mną już teraz wszystko dobrze. Kocham cię, Alan.

Zostawił list obok klatki szczura.

Pożegnał się z Naleśniczką. Wiedział, że Jessica serdecznie się nim zajmie. Była kobietą, która lubi szczury i broń.

Przyłożył lufę pistoletu do skroni. Omsknęła się i zjechała w dół policzka. Wsadził ją do ust. Poczował smak miodu i kakao, które zebrały się na czubku. Wylizał lufę do czysta, wsadził ją nieco głębiej.

W tym momencie rozległ się sygnał alarmu pożarowego. Upuścił pistolet, wyciągnął Naleśniczkę z klatki i wybiegł z mieszkania.

W nozdrzach poczuł łaskotanie dymu. Rzucił się pędem w dół klatki schodowej, otaczając się chmurą sproszkowanego kakao.

Ostatnio nie chciało mu się sprawdzać wyjść na klatkę schodową i doigrał się: w jego domu wybuchł pożar! Zastanawiał się, kto podłożył ogień, czy to mógł być Roland. Stopniowo gubił liście mięty, które sfruwały z niego niczym pióra z ptaka. Powoli osypywały się ziarenka ryżu, wciąż przy-

klejone miodem, ale już nie chrupkie, a z sutków i ud ściekały kleksy bitej śmietany. Poślizgnął się i kilka razy upadł, bo miał stopy umazane oliwą. Rękę, w której trzymał Naleśniczka, podnosił wysoko przy każdym upadku, żeby chronić szczura. Nie spotkał nikogo na klatce schodowej, ale nie dziwił się temu; mieszkał na ostatnim piętrze i wiedział, że będzie ostatni w kolejce, że w wypadku pożaru nikt go nie wyminie na schodach. Zresztą ci wszyscy durnie prawdopodobnie zjeżdżali na dół windami. Nie mieli zielonego pojęcia o zachowaniu ostrożności w razie pożaru; nawet nie pilnowali, by wyjścia z ich pięter na klatkę schodową były zamknięte.

Kiedy dotarł do chodnika, zadyszany i roztrzęsiony, większość mieszkańców już tam była. Przerazili się na widok nagiego mężczyzny wysmarowanego czekoladą, ze szczurem w rękę. Zakładali, że tak wygląda, bo przypiekł go ogień, bo jego skóra spaliła się na węgiel i już puchła, pokrywała się pęcherzami i w ogóle reagowała obrzydliwie. Że ta bita śmietana to jakiś dziwny płyn, który wydzieliło jego płonące ciało, że pachwiny i sutki zaczęły się pieniść. Tylko te liście mięty były dziwne, bo jagody odpadły dużo wcześniej. Gdyby jeszcze tam były, mieszkańcy domu pewnie by zrozumieli.

Alan zapewnił ich, że jest po prostu pokryty jedzeniem. Szedł przez tłum, gładząc Naleśniczka, żeby go uspokoić, i pytał ludzi, gdzie się pali, jak w ogóle doszło do pożaru. Nikt niczego nie wiedział z całą pewnością. Niektórzy twierdzili, że wszystko się zaczęło od czwartego piętra, ale i tak uparcie zmieniali temat, wracając do czekolady na jego ciele i taktownie próbując mu przypomnieć, że jest nagi. Pytali, czy nie mógłby się czymś okryć, ale nikt nie

zapropował żadnego ubrania. Alan nie pojmował, dlaczego jego sąsiedzi zajmują się tak trywialnymi sprawami jak jego nagość. Czy to nie było jasne, że brał udział w jakiejś' zбочzonej grze seksualnej? Czy to naprawdę właściwy moment, żeby się nabijać z czyjegoś ciała umazanego czekoladą, gdy tymczasem płonął ich własny dom? Czy ci ludzie potrafili widzieć coś jeszcze prócz czubka własnego nosa?

Popołudnie było chłodne.

Pojawił się policjant, który kazał Alanowi się ubrać, bo inaczej aresztuje go za to, że się publicznie obnaża.

- Ale w moim domu wybuchł pożar! - zaprotestował Alan.

- Ekshibicjoniści zawsze mają wymówki - odparł gliniarz.

Zaczęła krążyć plotka, jakoby pożar został wywołany przez młodą kobietę z trzynastego, a więc pechowego piętra, która podpaliła pakt spisany i podpisany krwią przez jej chłopaka. Chłopak zobowiązał się w, tym pakcie, że nigdy więcej jej nie okłama, a potem ją okłamał, dlatego podpaliła papier i pozostawiwszy go bez dozoru, poszła samotnie płakać w łóżku. Alan podszedł do podpalaczki z trzynastego piętra. Tłum mieszkańców zrobił mu przejście.

Stanął przed nią.

- Jak pani mogła zostawić płonący papier bez dozoru? - wybuchnął. - Czy pani jest nienormalna?

- Ubolewam, że przeszkodził panu w niewłaściwym momencie - odparła, wskazując jego obsmarowaną czekoladą nagość.

- Nie ma właściwego momentu na wywoływanie pożaru - odparł Alan.

- Przepraszam. Przeżyłam rozczarowanie.
 - Dlaczego?
 - To osobista sprawa.
 - Wszyscy już wiedzą. Chłopak panią okłamał i dlatego spaliła pani umowę, w której przysięgał, że nigdy więcej pani nie okłamię. Nieprzyjemna sprawa. I co pani na to?
 - Niech pan ze mnie zejdzie. Pan jest nagi, obrzydliwy i narusza pan moją prywatność.
 - A pani wywołała pożar. Jestem jedną z pani ofiar. Przewróciła oczami.
 - Na świecach piszą: „Nie zostawiać palących się świec bez dozoru". Nigdy nie miała pani świecy?
 - Proszę mnie zostawić w spokoju - powiedziała, kuląc się. - Pan jest nagi, ohydny i trzyma pan szczura.
- Alan nadał klatkę piersiową i stanął nad nią, starając się wyglądać groźnie. A potem wskoczył na niewielki murek i obrócił się, twarzą do tłumu mieszkańców, wciąż ze szczurem w ręku. Drugą dłoń wskazywał rozczarowaną podpalaczkę.
- 1 czyja to wina? Czy to ja postanowiłem zostawić ogień bez dozoru w chwili, kiedy akurat byłem nagi i oblepiony jedzeniem? Co miałem zrobić? Zostać w mieszkaniu i spalić się żywcem razem z moim zwierzątkiem?
 - Proszę posłuchać, rozumiem, dlaczego pan się denerwuje - powiedziała kobieta. - Czuje się pan upokorzony i sfrustrowany, bo najwyraźniej przeszkodziłam panu w samym środku jakiejś perwersyjnej gry seksualnej, ale niewiele pan wskóra wrzaskiem.
 - To rzeczywiście tak wygląda, jakby alarm pożarowy dopadł pana w samym środku jakichś seksualnych bale-

tów - zauważył biznesmen spod 3A. - Niezły numer, że tak wam przerwano.

- Nie! Znajdowałem się w samym środku popełniania samobójstwa, okay?

Kilku mieszkańców domu wybuchło śmiechem, zakładając, że to jakiś dowcip. Biznesmen uśmiechnął się.

- A jakąż to metoda samobójcza obejmuje smarowanie się czekoladą?

- Żadna. Ale bycie usmarowanym czekoladą wcale nie stoi na drodze samobójstwu - odparował Alan.

- Nie? A moim skromnym zdaniem zagradza - stwierdził tamten. - Okresowe smarowanie się czekoladą, z dowolnych powodów, to oznaka, że życie takiego człowieka jest ekscytujące, bynajmniej niewarte zakończenia.

- I tu się pan mylisz.

- Jeśli się mylę, to w takim razie dlaczego wybiegł pan z budynku, żeby ratować swoje życie, skoro właśnie zamierzał je pan sobie odebrać?

- Ratowałem szczura, nie swoje życie. Wszyscy umilkli.

- Robię codzienne obchody klatki schodowej, zamykając wszystkie wyjścia na piętra, aby uchronić siebie i innych przed takimi wariatkami, które zostawiają pogwałcone, wypisane krwią, płonące pakty bez dozoru! - dodał Alan.

- A jak jest teraz? Nadal zamierza się pan zabić? - spytał biznesmen.

- Chyba nie. Moment przeminął.

- A zatem dożyje pan końca swoich dni dzięki niej.

- Ano tak. I jeśli moje życie będzie niedobre, a praw-

dopodobnie będzie, bo na ogół takie dotąd bywało, to też dzięki niej.

- Nie wolno o wszystko obwiniać innych ludzi.

- Tylko mi się przypatrzcie. Jestem pewien, że wszyscy doskonale wiecie, jakie to krzepiące, jakie psychicznie pomocne, zrzucać winę na innych. Wszyscy macie swoich oprawców z dzieciństwa, złych rodziców, nauczycieli, którzy was obrażali, ludzi, których można za wszystko winić. Ja nigdy kogoś takiego nie miałem. Niedawno ubrdało mi się, że mam, ale zostałem wprowadzony w błąd. A teraz wreszcie mam kogoś takiego dla siebie. - Wycelował palec w stronę kobiety spod 14C i oznajmił: - Reszta mojego życia będzie jej winą!

Bezdomny eks-psychoterapeuta ukradkiem to wszystko podpatrywał, umęczony i zafascynowany zarazem. Czuł się zbity z nóg, wykończony zalewem pytań kursujących po jego umyśle niczym narkotyk, którego skutkom starał się stawić opór. Tak to dla niego wyglądało, jakby Alan brał udział w castingu na jego pacjenta, i Ray musiał przyznać, że to przekonująca demonstracja szaleństwa.

- Rzuć broń! - krzyknął ktoś donośnie.

Alan spojrział w kierunku, z którego dochodził głos, i zobaczył dwóch policjantów celujących w niego z broni palnej i znowu rozkazujących mu rzucić broń.

- To nie broń, to mój oswojony szczur! - odkrzyknął Alan.

- Rzuć to, co trzymasz w ręku! - powiedzieli.

- Nie! Popatrzcie, to nie jest broń, to mój oswojony szczur, Naleśniczek. On nie jest taki jak pies. Ucieknie, jeśli go puszczę.

- Alan podniósł Naleśniczka za

ogon, pozwolił mu zawisnąć w powietrzu. Trzymał ogon między kciukiem a palcem wskazującym, pozostałe palce rozcapierzył, pokazując, że nie ukrywa nic więcej. Naleśniczek wierzgał gwałtownie, starając się wyrwać na wolność, po czym znieacka ugryzł Alana w rękę.

- Au! - wrzasnął Alan, upuszczając szczura, który natychmiast czmychnął. Alan zeskoczył z murka, krzycząc w stronę tłumu: - Łapcie go! Łapcie! To moje zwierzątko domowe!

Policjanci pobiegli za Alanem, który wreszcie dogonił szczura i jakoś go schwytał. Z wściekłością zwrócił się w ich stronę.

-Jak śmiecie, przez was omal nie straciłem mojego zasranego zwierzaka! Czego chcecie? Jestem nagi, bo w moim domu wybuchł pożar i nie zdążyłem się ubrać, to jakaś zbrodnia?

- Pan pozwoli z nami na przesłuchanie.

- Bo jestem nagi?

- Nie, w innej sprawie.

- To nie ja wywołałem pożar. Wszyscy już wiedzą, że to ta kobieta spod 14C. Przyznała się.

- Tu chodzi o inną sprawę.

- Jaka inną sprawę?

- Proszę wsiąść do samochodu.

-Ale przecież jestem nagi i usmarowany czekoladą i miodem. Zabrudzę wam siedzenia.

- Nieważne. Widywaliśmy gorsze rzeczy.

Policjanci przesłuchali Alana w sprawie Maksa, na koniec zdradzając mu, że znaleziono właściciela zajazdu martwego.

Alan powiedział im o swojej ostatniej rozmowie z Maksem i o tym, jak go przyłapał na uprawianiu

seksu z Jessicą. Przesłuchali Jessicę, która odpowiedziała im na wszystkie pytania zgodnie z prawdą i natychmiast wpadła w głęboką depresję przekonana, że stała się powodem samobójstwa Maksa, bo przecież powiedziała Alanowi, w jego obecności, że nie ma zamiaru więcej go widzieć. Przesłuchali Lynn. Przesłuchali także Rolanda, mimo że na ile wszyscy się orientowali, nie był w hoteliku ponad tydzień. Po krótkim dochodzeniu w sprawie śmierci Maksa wydano oficjalne orzeczenie, że to było samobójstwo. Jessica opuściła Nowy Jork; pojechała na kilka miesięcy do rodziców, którzy mieszkali na Środkowym Zachodzie, żeby się zastanowić nad swoim życiem oraz ludźmi, których skrzywdziła.

Dwanaście

Minęły cztery miesiące, nadeszła pełnia zimy i o dziwo, nic się nie zmieniło, łańcuch prześladowczy trwał.

Pożar nie poczynił znacznych zniszczeń w domu Alana. Wszyscy mieszkańcy mogli dalej tam mieszkać, wyjąwszy podpalaczkę, której mieszkanie uległo całkowitej dewastacji. Alan w dalszym ciągu sprawdzał codziennie wyjścia na klatkę schodową.

Od pożaru i wieści o śmierci Maksa Alan przestał się przejmować tym, że Roland pobił go na polu miłości Lynn, że przyszedł do jego mieszkania i strzelił do niego z pistoletu, który równie dobrze mógł być nabity, a potem wyszedł z Lynn przewieszoną przez ramię.

Alan wspomniał o tych występkach podczas przesłuchania na policji, co stanowiło powód, dla którego przesłuchali również Rolanda, ale nie chciało mu się wysuwać oskarżeń przeciwko niemu czy też domagać się nałożenia na niego zakazu zbliżania się. Jego wielkoduszność nie zrodziła się z poczucia siły, tylko przeciwnie, z poczucia, że jest osaczony i odrętwiały.

Nieszczęście karmi się czyjąś wiarą w siebie. Nowe silne „ja” Alana osłabło. Poznał nieprawdziwość powiedzonka

„Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Wiedział teraz, że to, co nie zabija, czyni człowieka coraz słabszym. Nie miał już kontaktu z przyjaciółmi poznanymi w tym nowym życiu, które teraz było stare i utracone. Wychodzący z nałogu zaprzyjaźnieni prześladowcy przestali do niego dzwonić, bo brakowało mu energii, żeby podnosić ich na duchu i pomagać w stawianiu oporu ciągłom prześladowczym. Jego samego nie dopadł impuls, by nadal prześladować, ale co z tego? Wcale nie czuł się szczęśliwszy. Był pogrążony w depresji, samotności i ze wstydem przyznawał się przed samym sobą, że to było krzepiące, kiedy ktoś stale go nękał. Jego życie wydawało się takie mroczne, że prześladowcy stali się iskierkami światła. Mimo że rzadko z nimi rozmawiał, myślał o nich jako o grupie wsparcia.

Roland potrzebował kilku tygodni, by przystosować się do życia bez cyjanku, bez tego zapewnienia, że może wszystko zakończyć z minutowym wyprzedzeniem, jeśli zechce. Czuł się podatny na atak. Ale też czuł, że jest teraz bliżej innych ludzi, jakby znajdowali się na tej samej łodzi. On i oni mieli jedną wspólną cechę: nie nosili przy sobie cyjanku. Roland wciąż wkładał medalionik, żeby aż tak często nie przypominać sobie o tym braku.

Nie zaprzętał sobie głowy tym, że jest mordercą. Stwierdził, że to mało interesujący temat; koniec końców to nie było samobójstwo.

Od tamtego czasu nie dopuścił się żadnych poważniejszych występków. Prawda, próbował zastrzelić Alana z nie nabitego pistoletu - dzięki Bogu, bo tego nie dałoby się zakwalifikować jako samobójstwa. Wyniósł Lynn z mieszkania Alana wbrew jej woli, ale gdy tylko stanęli na chodniku, puścił ją - niełatwo nieść rozkrzyczaną ko-

bietę po ulicy. Wzięła taksówkę i pojechała do domu. Był zadowolony, że przynajmniej zabrał ją od Alana.

Następnego dnia łańcuch się odnowił, jak gdyby nigdy nic.

Patricia zdziwiła się, że Lynn, mimo że codziennie prześladowała Alana i znajdowała się w stanie permanentnego odrzucenia przez niego, nadal tak na wszelki wypadek stara się o przyjęcie do klubów, które nie chciały jej przyjmować w swój poczet.

Alan, Lynn i Roland dalej dawali jałmużnę Rayowi, bezdomnemu ex-psychoterapeucie, który dalej wstrzymywał oddech, kiedy mijał go łańcuch, szczególnie po tym, jak był świadkiem dziwnego zachowania jednego z jego ogniów, które całe nagie i wysmarowane czekoladą, ze szczurem w ręku bredziło jak obłąkane na murku, dopóki nie zostało stamtąd zabrane przez policję.

Pewnego śnieżnego, zimowego dnia Alan przystanął przed bezdomnym dłużej niż zazwyczaj, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek tak często przymyka oczy i wstrzymuje oddech.

Zdjął swój kożuszek i otulił nim mężczyznę. Był to kożuszek z krótko strzyżonej owczej skóry beżowego koloru; Alan nosił go od trzech lat i już miał go dosyć. Ray przytrzymał kożuszek ze zdumieniem. Zazwyczaj nie przyjmował prezentów, ponieważ bezdomnym żebrakiem został w zasadzie intencjonalnie, niemniej prezent od ogniwa w łańcuchu prześladowczym był czymś, czemu nie bardzo potrafił się oprzeć.

Ray chrząknął.

- Co to jest?

- Prezent. Włóż go, proszę - odparł Alan.

Ray nie zrobił żadnego ruchu. Musiał przyznać, że jest poniekąd zaciekawiony, poniekąd zbałamucony, mimo że

rozum podpowiadał mu coś innego, mimo absolutnego przeświadczenia, że tak naprawdę ten świr jest prawdopodobnie osobą nad wyraz banalną.

Alan stanął za plecami Raya i przytrzymał kożuszek, by tamten mógł wsunąć ręce w rękawy. Po chwili wahania Ray zrobił to. Chcąc nie chcąc, rozkoszował się każdą sekundą, kiedy ten ponętny, szurnięty człowiek naciągał pierwszy rękaw na jego rękę. A zaraz potem drugi.

- No i proszę, bardzo ci w nim do twarzy i pasuje jak ulał - orzekł Alan. Chciał oczywiście powiedzieć: „Jak na kożuszek o dwa numery za mały pasuje na ciebie nie najgorzej”.

- Dziękuję - powiedział Ray. Miał teraz doskonałą sposobność, by spytać Alana, dlaczego łańcuch prześladowania zmienił porządek, ale nie udzielił sobie zgody na zadawanie jakichkolwiek pytań. Nie chciał majstrować przy swoich zaburzeniach powodowanych chorobliwą ciekawością.

Alan uśmiechnął się i poszedł dalej.

Lynn była świadkiem jego gestu i tak długo przetrawiała cały epizod w głowie, aż wreszcie wpadła na własny ekscytujący pomysł. Chcąc zrobić wrażenie na Alanie, zapłaciła w delikatesach na rogu, żeby przez cały miesiąc dostarczali bezdomnemu dwa posiłki dziennie, w papierowych torbach. Gest nie zaliczał się do tanich, ale nie żałowała, bo wszak wiązał się z szansą zrobienia wrażenia na Alanie.

Poddała Rayowi jego pierwszy lunch i poinformowała go, że będą jeszcze następne.

- Proszę tylko o jedno, żebyś wspomniał o tym Alanowi - powiedziała do Raya. - Alan to ten mężczyzna,

który ofiarował ci kozuszek. *Bon appétit*. - Uśmiechnęła się na pożegnanie.

Kiedy Lynn odeszła dostatecznie daleko, przed bezdomnym przystanął Roland.

- Co ci powiedziała ta kobieta?

- Powiedziała, że zapłaciła w tamtym sklepie, żeby dawali mi dwa posiłki dziennie przez miesiąc.

Roland oddalił się, upuszczając guzik i międląc to wszystko w głowie. W końcu wpadł na pomysł, który sprawił, że rta jego twarzy wykwitł uśmiech, niepewny i praktycznie niezauważalny. Roland wynajął mieszkanie dla Raya. Przekazał mu tę wieść na ulicy następnego dnia.

- Posłuchaj, nie wiem, jakie jest twoje podejście do spania na ulicy - powiedział - i nie chciałbym, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie, ale wynająłem dla ciebie niedużą kawalerkę na zimę. Nie będziesz mi nic winien, pod warunkiem że będziesz mówił o mnie dobrze na użytek Lynn i że powiesz jej, jaką wyświadczyłem ci przysługę.

Ray z początku milczał.

- Jasne, czemu nie - odparł po chwili.

Dotąd miał dość siły woli, żeby nie zadawać pytań, ale nie dość, żeby odmówić. Wiedział, że powinien odrzucić te prezenty, wiedział, że to los się z niego naigrawa, ale po prostu nie potrafił. Znużonym krokiem powlókł się do wynajętej kawalerki.

Ray miał teraz kozuszek, jedzenie i kawalerkę, a mimo to dalej zebrał na rogu. Następnym razem, kiedy zobaczył Alana, poczuł się niejako zobligowany, żeby mu powie-

dzieć o posiłkach podarowanych mu przez Lynn. A skoro już o tym powiedział, to wspomniał także o kawalerce użyczonej mu na zimę przez Rolanda. Alan stał na śniegu, kompletnie ogłupiały. Ray nie mógł się oprzeć i dodał jeszcze:

- Wpadnij do mnie kiedyś.

Alana zdenerwowały gesty Lynn i Rolanda, bo wiedział, że ten żebrak ostatecznie poczuje się zawiedziony, kiedy dwaj prześladowcy przestaną go utrzymywać. Czuł się odpowiedzialny za to, że bezmyślnie wywołał tę reakcję łańcuchową. Żeby uśmierzyć poczucie winy, kupił Rayowi trochę ubrań. A kiedy odwiedził jego nowe lokum i zobaczył ten obraz nędzy i rozpacz, bo brakowało tam telewizora, a umeblowanie było nader skąpe, poszedł kupić kanapę, stół i krzesła, po czym kazał je dostarczyć Rayowi.

Kiedy Lynn zobaczyła, jak wiele tamci dwaj zrobili dla bezdomnego, chciała prześcignąć ich gesty, żeby zrobić wrażenie na Alanie, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. I w końcu wymyśliła, że Rayowi przydałby się jakiś krąg towarzyski, dlatego więc zorganizowała przyjęcie w jego kawalerce.

Podczas przyjęcia Roland stał w kącie, rozmawiając z jakimś nieznajomym.

- Stworzyliśmy tę istotę wspólnie, siłami naszej zbiorowej energii. Jest tak, jakbyśmy spłodzili nowego człowieka. To nasze dziecko - powiedział, mając na myśli Raya.

- Czy to aby trochę nie naciągane? - spytał w odpowiedzi jego rozmówca, wrzucając do ust orzeszka ziemnego. - Że niby co, ofiarowujesz bezdomnemu jedzenie i schronienie i to nagle czyni z ciebie stwórcę życia?

Ray rozmawiał ze swoimi gośćmi uprzejmie, ale ci go nie interesowali; byli zwyczajnymi ludźmi - nie jak te jego świry. Wzrokiem mimowolnie szukał świrów bezustannie i obserwował ich bacznie. Zrozumiał, że jeszcze chwila, a się w nich zakocha. Gdyby teraz miał odkryć, że są na wskroś banalni (a dalej uważał, że tak prawdopodobnie jest), byłby mocno zawiedziony. Dlatego wciąż nie zadawał im żadnych pytań. Sprawy ludzi to ich sprawy. Wiedza potrafi przynosić rozczarowania.

Co ciekawe, owo zaciekawienie Raya dotyczące świrów było równie ekstremalne jak brak ciekawości świrów względem niego. Czuli się wręcz winni, że ten człowiek tak kompletnie ich nie interesuje. Wiedzieli, że koniecznie powinni zdobyć się na tę uprzejmość i zadać mu choć parę pytań na temat jego życia, przeszłości, czegokolwiek, a jednak się uchylali, bali się długiej, nudnej odpowiedzi, bali się go poznać. Podczas przyjęcia przyzwoitość nie pozwoliła im dłużej tego odkładać. Otoczyli więc Raya półkolem, przy czym Roland schował rękę za plecami i upuścił spinacz.

- No to czym się zajmowałeś, zanim stałeś się bezdomny? - spytał Alan. Reszta mu zawtórowała.

Ray nie chciał zdradzać prawdy, że dawniej był psychologiem, że potrafiłby poddać ich analizie, gdyby chciał, i że mógłby nawet, być może, im pomóc. Dlatego powiedział im, że kiedyś był ślusarzem, specem od zamków.

- Ach, ślusarz! - wykrzyknęli, mężnie udając entuzjazm. - I cóż takiego się stało? Jakim sposobem straciłeś dom?

- Przeżyłem zawód.

- Wobec życia? - spytała Lynn.

- Nie, wobec zamków.

- Naprawdę? Jak to?

- Kiedyś uważałem, że zamki są skomplikowane i ekscytujące, ale skomplikowanie ukrywa nudę. Miałem nadzieję, że znajdę taki zamek, który będzie trudno otworzyć, zrozumieć, względnie nieprzewidywalny i dlatego interesujący, ale takiego zamka nie ma.

- W takim razie dlaczego w ogóle zostałeś ślusarzem? - spytał Roland.

- Lubię mieć klucz do wszystkiego. I lubię otwierać, co się da. Gdybym był żoną Sinobrodego, też bym już nie żył. Zrobiłbym to co ona. Użyłbym kluczyka, żeby otworzyć zakazaną komnatę i zobaczyć, co jest w środku.

- Jesteś bardzo ciekawski? - spytała Lynn.

- Tak - wyznał cicho Ray, spuściwszy wzrok. I dodał: - Ale niestety, to co jest w środku, często rozczarowuje.

- Ty rzeczywiście jesteś rozczarowanym ślusarzem - stwierdził Roland.

Mijały tygodnie. Ray stopniowo dowiadywał się całkiem sporo o sytuacji świrów, bo mimo że w ogóle się nie dopytywał, wychodziły na jaw różne drobiazgi. Na domiar wszystkiego świry nie były szczególnie tajemnicze, gdy szło o ich uczucia. Ray nie był nimi rozczarowany, ale pozostawał sceptyczny. Za każdym razem, gdy odpadała jakaś kolejna, nowa warstwa, dziwił się, że jeszcze nie zaczął zdychać z nudów. Za każdym razem, gdy któreś mówiło do niego: „Pozwól, że ci opowiem o sobie” lub coś w tym guście, Ray odpowiadał: „Uhm, proszę, nie opowiadaj”.

Ostatecznie Ray zaczął odczuwać pokusę, by wywierać na nich wpływ. Widział, jak głęboko są nieszczęśliwi

i dysfunkcjonalni, dlatego korciło go, by sprawdzić, jak mógłby poprawić ich życie. Wmawiał sobie, że to nie byłoby takie niebezpieczne jak zasypywanie ich pytaniami. To przez zadawanie pytań wylądował w więzieniu, ale dla odmiany nigdy tak naprawdę aktywnie nie starał się ulepszać cudzego życia, chyba że ktoś by liczył terapeutyczne komentarze, które szeptał na ulicy. Najbardziej oczywistym sposobem, na jaki wpadł, żeby ulepszyć im życie, było znalezienie im partnerów.

Szukał takich przez miesiąc. Nawiązywał znajomości w autobusach, gromadził adresy e-mailowe i numery telefonów, odnawiał kontakty z dawnymi znajomymi, którzy byli samotni w czasach, kiedy był czynnym psychologiem, i sprawdzał, czy dalej są samotni. Rozpytywał na mieście.

W końcu zorganizował w swojej zimowej kawalerce prywatkę zapoznawczą.

Świry nie znalazły sobie partnerów, ale inni tak, co mu dostarczyło bodźca, by pomyśleć o kolejnej takiej prywatce.

Zorganizował ją. Kolejni ludzie znaleźli partnerów. Ale nie świry. A Raya wchłonął biznes swatania.

Świrom Ray wydawał się stopniowo coraz bardziej interesujący. Nie posiadali się z wrażenia, kiedy ludzie zaczęli się domagać kolejnej prywatki. I zaczęła ich zżerać ciekawość. Nie zabołało, kiedy podsłuchali dawnego znajomego Raya, który na jednym z jego przyjęć powiedział do kogoś: „Ray był kiedyś psychologiem”. Zdumieni podeszli do tego człowieka i spytali go, czy to prawda. Indagowany, zrozumiał, że popełnił gafę (bo Ray poinstruował wszystkich dawnych znajomych, żeby nie zdradzali jego prawdziwej dawnej profesji i potwierdzali historyjkę o ślusarzu), naprawił to, mówiąc:

- Nie, przesłyszeliście się, wcale nie powiedziałem „psycholog”, tylko „psycho-ślusarz”.

- Ano tak, wszystko staje się tym bardziej zrozumiałe - stwierdziły świry. - Ale w jakim sensie „psycho”?

- Kompulsywna potrzeba otwierania różnych rzeczy. Tak długie grzebanie w zamkach, aż się poddadzą.

Ray zorganizował jeszcze kilka prywatek dla samotnych. Wieści się rozchodziły. Zaczął pobierać opłaty. Ludzie szukali jego usług jako swata. Ktoś pomógł mu założyć w Internecie stronę www.zeswirujwmiosci.com, która znakomicie prosperowała, mimo że odradzano mu taką nazwę jako odstraszącą potencjalnych klientów, zwłaszcza kobiety. Cieszył się, że nareszcie znalazł profesję, w której jest dobry.

Nieważne, ile razy powtarzał sobie, że świry wcale nie są aż takie interesujące, nie potrafił wybić ich sobie z głowy. I co gorsza, od czasu, kiedy odniósł sukces ze swoim biznesem, często go nachodzili. Zaczynali go podziwiać.

Wymyślali najrozmaitsze preteksty, żeby móc do niego wpadać, choć wcale tych wymówek nie potrzebowali, jako że mieszkanie należało do Rolanda, meble do Alana, a jedzenie do Lynn.

Zdarzało się, że przebywali w kawalerce wszyscy troje naraz. Obsesja na punkcie nich samych niejako zelżała, ponieważ jej część została przeniesiona na Raya.

Gospodarz patrzył na nich, kiedy tak siedzieli rzędem na kanapie. Nie pytał ich o nic, słuchał tylko i odpowiadał na pytania.

W końcu poczuł, że to wszystko nie może tak trwać. Nikt nie powinien być zmuszony do takiego życia. Widział, że oni nadal nie są szczęśliwi, że sam też tak naprawdę nie jest szczęśliwy, i dlatego całymi godzinami

próbował wpaść na jakieś rozwiązanie, które pomogłoby jego przyjaciółom. Chadzał na długie spacerunki po okolicy, wpatrując się w trotuar i myśląc.

W końcu znalazł rozwiązanie - swoiste lekarstwo. Szczegółów nie dopracował, ale miał ogólny zarys niezwykłego pomysłu, który miał przynieść im szczęście i sprawić, by zrozumieli, że poza nimi jest jeszcze jakieś życie, a zarazem nie stracili swego wyjątkowego świrowatego posmaku.

Tymczasem Roland został wezwany do gabinetu szefowej, Mary Smith.

- Rekomendowałam cię na członka komitetu w sprawach z paragrafu 71, a teraz Suzan Kahn mi mówi, że nie pokazałeś się na ani jednym posiedzeniu.

- Ci z komitetu mnie nie potrzebują.

- To nie jest usprawiedliwienie. - Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. - I to jeszcze nie wszystko. Wszystko wskazuje na to, że kłamiesz. Twierdziłeś, że przedłożysz ustny argument w sprawie Seligman kontra Departament Zdrowia, ale Jerry Corman był w sądzie i powiedział, że sprawa Seligmana została przedstawiona bez argumentu.

Roland nie podnosił wzroku.

- Nic nie mówisz. I dobrze, wcale nie mam ochoty wysłuchiwać twoich wyjaśnień. - Westchnęła. - Posłuchaj, to się dzieje za często. Występujesz przeciwko interesom klientów, nie stawiasz się w sądzie i najwyraźniej jesteś myślami gdzie indziej, kiedy redagujesz sprawozdania. Nie mam wyboru, muszę cię zwolnić.

Trzynaście

Ray zaprosił świrów na kolację do restauracji. Byli zachwyceni. Zamówili jedzenie, chwilę pogadali o jakichś bzdurach, a potem Ray przystąpił do rzeczy.

- Moim zdaniem, nie żyjemy sensownie. Jesteśmy znudzeni. Być może tak nie uważacie, ale wiercie, że tak jest, że to dotyczy nas wszystkich. Nasze życie to odpowiednik komory deprivacji sensorycznej, a zatem nie zasługuje na miano zdrowego.

Sprawia, że świrujemy. - Popatrzył na nich znacząco. Nie zdawali sobie sprawy, że uważa ich za świrów, ale to spojrzenie miało stanowić pod-powiedź. - Gatunek ludzki - ciągnął -

wyewoluował w sposób, który odpowiednio go przystosował do pewnego określonego modelu życia, wiążącego się z niebezpieczeństwem w codziennym bytowaniu. Mijały wieki i ludziom udało się znacząco zredukować częstotliwość niebezpiecznych zdarzeń. Czy jak dotąd mnie rozumiecie?

Przytaknęli. Uznali, że jak na ślusarza potrafi się wypowiadać całkiem inteligentnie. On tymczasem mówił dalej.

- Owa redukcja niebezpiecznych zdarzeń mogła uchodzić za roztropny pomysł. Dzięki niej nasze życie wyda-

wało się szczęśliwsze i przyjemniejsze na pewnym bezpośrednim poziomie, jednak model życia, dzięki które mu pierwotnie staliśmy się tacy, jacy jesteśmy, nie był bezpieczny. Dlatego właśnie poprzez narzucenie sobie bezpiecznego stylu życia doświadczamy pewnych nieprzyjaznych skutków ubocznych - powiedział i wyjął z torby niewielką tablicę. - Moim zdaniem są to następujące skutki. - Zapisał na tablicy:

1. Utrata witalności.
2. Utrata perspektywy.
3. Utrata zdrowia psychicznego.
4. Utrata całego spektrum wielorakich odmian szczęścia, których ludzie mogliby doświadczać, gdyby żyli zgodnie z modelem życia, do którego zostali stworzeni.

Ustawił tablicę na blacie stolika, obok swojego talerza, aby wszyscy mogli ją widzieć.

- Czy zauważyliście, że wystarczy poczytać sobie książkę o tym, jak kiepskie mogą być warunki bytowania, i zaraz zaczynacie doceniać zwykle drobne wygody. No cóż - parsknął - wyobraźcie sobie tylko, o ileż potężniejszy byłby skutek, gdybyśmy rzeczywiście żyli w takich kiepskich warunkach. Moim zdaniem to dość oczywiste, do czego zmierzam, racja?

Świry gapiły się na niego, nie reagując. Alan przysiadł sobie na rękach.

- Ujmując rzecz w skrócie - ciągnął Ray - raz na rok człowiek powinien doświadczać czegoś ekstremalnego, by oprzytomnieć. To przydatne dla higieny psychicznej, porównywalne z myciem zębów czy braniem prysznic.

Żeby utrzymać optymalne zdrowie psychiczne, co jakiś czas musimy się poddawać silnej stymulacji. A ponieważ nasze nowoczesne życie jej nie zapewnia, musimy sami ową stymulację wytworzyć. Co wy na to?

-Tak... interesujący pomysł - odezwała się Lynn, której się pomyślało o Judy. - To mi przypomina pewną przyjaciółkę, która dała się potraćić przez ciężarówkę i twierdziła, że to ożywcze. Tak więc zrobiła to jeszcze raz i umarła.

- Bywa i tak, ale czy wyobrażasz sobie, o ile lepiej by na tym wyszła, gdyby żyła? - spytał Ray.

- A mogła jakoś wyjść na tym, że umarła?

- Nie, chciałem powiedzieć, że gdyby przeżyła, nie odnosząc znacznych obrażeń, to miałaby się znacznie lepiej niż wtedy, gdyby nie została potraconą przez ciężarówkę.

- Nie zgadzam się - oświadczył Alan. - Nie wierzę w to durne powiedzonko: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Myślę, że prawda jest zupełnie odwrotna.

- W pewnej mierze masz rację - powiedział Ray. - Co cię nie zabije, zazwyczaj cię osłabia. Ale są rzeczy, które nie zabijają, tylko naprawdę wzmacniają. I czynią cię szczęśliwszym.

- Na przykład co?

- Na przykład niektóre niebezpieczne sytuacje.

- Na przykład jakie?

- Myślę, że powinniśmy wspólnie taką wybrać - zaproponował Ray.

- Świetny pomysł - wtrącił Roland, gładząc palcem pusty medalionik.

Podano im jedzenie.

- Moglibyśmy się napić przeterminowanego mleka - rzucił Alan.

Roland ukrył głowę w dłoniach.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem - powiedział Ray do Alana.

- No jak to, sugerowałeś, że powinniśmy doświadczyć niebezpieczeństw i nieprzyjemności? - spytał Alan.

- Właśnie tak, ale uważam, że powinniśmy wybrać coś bardziej niebezpiecznego niż przeterminowane mleko - odparł Ray.

- Moglibyśmy się przykuć łańcuchami do płonącego domu - podsunął Roland.

Zapanowało milczenie.

- To jakby zbyt ekstremalne - zauważył Ray. - Myślę, że idealnie powinno tu być dwadzieścia pięć procent negatywnych skutków.

Tak plus minus.

- Co masz na myśli, mówiąc „negatywny skutek”? - spytał Alan.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy być tacy dosadni - odparł Ray - ale używając frazy „negatywny skutek”, mam na myśli śmierć.

- Jakoś nie szaleję za tym pomysłem, Ray - oświadczyła Lynn.

Ray gładził w zadumie nóżkę swojego kieliszka.

- Pozwólcie, że zadam wam krępujące pytanie - powiedział. - Czy jesteście szczęśliwi?

- Bywało gorzej - odparła Lynn.

- To wspaniale. Naprawdę jestem wami zachwycony - stwierdził Ray.

Trafił w sedno z tym swoim sarkazmem, pomyślała Lynn.

- Posłuchajcie, moim zdaniem żadne z was nie jest tak szczęśliwe, jak na to zasługuje - ciągnął swoje Ray.

Z tym nie mogli się sprzeczać.

- Chcemy narazić nasze życie na ryzyko, nie kłaść mu kres. Masz jakieś pomysły, Lynn? - A ponieważ nie odpowiadała, dodał: - Hipotetycznie?

- Nie mam nic przeciwko pomysłowi Alana — powiedziała w końcu. - Żeby zjeść coś popsutego. Coś, co moglibyśmy znaleźć w lesie.

- Na przykład co? - spytał Ray.

- Oczywiście trujące grzybki! - zawołał Roland. - Bombowy pomysł, Lynn. Jestem za.

- To właśnie miałaś na myśli, Lynn, trujące grzybki?

- Rzeczywiście wpadło mi to do głowy, ale ryzyko jest chyba zbyt duże - odparła Lynn. - Prawdopodobnie przekracza dwadzieścia pięć procent.

- Też tak sędzę - wtrącił Alan. - Mnie z tego wykreślcie. - Zamówił kieliszek wina w nadziei, że zażądatają od niego dokumentów, ale tak się nie stało.

Ray odłożył krede.

- Chyba powinniśmy trochę się zastanowić, aż wymyślimy coś takiego, co nam pozwoli dalej żyć.

- Albo umrzeć - powiedział Roland.

- Albo umrzeć - zgodził się Ray.

Następnego wieczoru wszyscy czworo znajdowali się w kawalerce Raya; zgłaszali kolejne pomysły, na które żadne z pozostałych nie chciało się zgodzić. Mimo że zima minęła i Ray podnajmował mieszkanie od Rolanda za skromną sumkę, wciąż nazywali je zimową kawalerką.

- A może tak weźmiemy pistolet Alana i zagramy w rosyjską ruletkę? - rzucił Roland.

- To był pistolet Jessiki. Zabrała go, kiedy z sobą zerwaliśmy - odparł Alan.

- A poza tym z rosyjskiej ruletki nie wyszłoby nic do-

brego - dodał Ray. - Ryzyko, na jakie narazimy nasze życie, powinno trwać dłużej niż sekundę. Musimy pozostawać w niebezpieczeństwie przez jakiś' czas. Tak właśnie rodzi się mentalne dobro.

Alan i Roland siedzieli na kanapie, Lynn natomiast przesiadła się na krzesło, obok Raya.

- Dlaczego chcesz to zrobić razem z nami, Ray? - spytała. - Nie płyniesz tą samą łodzią co my. Ty nie jesteś nieszczęśliwy.

- A właśnie wszyscy nią płyniemy, choć czasami może tego nie widać.

- I ja też, choć wiem, że czasami wcale to tak nie wygląda.

Wszyscy się roześmieli. Roland bywał zabawny.

- Moglibyśmy razem popłynąć jedną łodzią i wyskoczyć za burzę

- zaproponowała Lynn. - I wtedy ta różnica zdań byłaby

bezpodstawna. Już nie płynęlibyśmy tą samą łodzią. -

Zachichotała.

- Musielibyśmy rozstać się z łodzią - odparł Ray. - Wyskoczyć z niej w biegu.

- Dlaczego? - spytała Lynn.

- Żeby nie móc wskoczyć do niej z powrotem. Przytaknęła.

- Musielibyśmy potem dryfować - ciągnął Ray. - I czekać. I bylibyśmy świadkami, jak nasze życie odzyskuje perspektywę, wartość. I jak powraca nam zdrowie psychiczne. Mielibyśmy spore szanse, że ktoś nas wyratuje i dzięki temu zbierzemy korzyści z podjętego ryzyka. Powiedziałbym, że tak na oko istnieje dwadzieścia pięć procent szansy, że... że stałoby się inaczej.

Otwarte szeroko oczy Raya przypominały dwa oceany, z których dryfujący ludzie są zawsze ratowani.

Lynn i Alan potrzebowali tygodnia, żeby stwierdzić, czy odpowiada im pomysł Raya, by narazić swoje życie na ryzyko i dzięki temu je ulepszyć.

Alan, który spędził trochę czasu na swoim białym fotelu w towarzystwie szczura, przemyśliwując to wszystko, ostatecznie zgłosił swój udział w zbiorowym skoku z łodzi. Umiał już pływać i był z tego dumny, nie bał się wody, a poza tym i tak mieli włożyć kamizelki ratunkowe. Nie mówiąc o tym, że już raz wcześniej chciał się zabić. To, że ostatnio los dał mu w kość i osłabił go, wcale jeszcze nie oznaczało, że nie może choć trochę z nim powalczyć. Po raz kolejny zamierzał wziąć wolne, na kilka dni albo na zawsze, w zależności od rezultatu.

Lynn przystała na cały pomysł, bo Alan na niego przystał. Wyraziła tylko sprzeciw wobec wybranej przez nich daty, bo akurat tego dnia była umówiona na kolację, przed którą wzdragała się od tygodni, a jednak nie mogła jej uniknąć. Na tę kolację zaprosił ją pewien namolny kolekcjoner, który sporo od niej kupił. Próbowwała się wykręcić, twierdząc, że ma inne zobowiązania, ale kolekcjoner zmienił datę, żeby jednak mogła przyjść. Lynn powiedziała pozostałym o tym konflikcie interesów i spytała, czy nie mogliby wyskoczyć z łodzi kilka dni później.

- A czemu nie kilka dni wcześniej? - odparł Ray. - Jeśli umrzesz w oceanie, będziesz miała doskonałą wymówkę, by nie iść na tę kolację, a jeśli przeżyjesz, niebezpieczeństwo, którego doświadczysz, uczyni tę kolację bardziej znośną.

Lynn zastanawiała się nad tym przez chwilę i zgodziła się na przyspieszenie daty ich zbiorowego pólśamobójstwa.

- Czy teraz umówiony dzień wszystkim pasuje? - spytał Ray.

Alan przytaknął, a Roland powiedział, że w ogóle nie ma żadnych planów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Ray.

- Jestem wolny od rana do wieczora.

- Ale chyba w granicach rozsądku, prawda?

- Nie, cały czas. Wylali mnie z pracy.

Mijały dni i czworo świrów spokojnie zajmowało się swoimi sprawami, ze stoicką świadomością zbliżającego się dnia i czynu, który mieli tego dnia popełnić. Dla nich nie było to nic innego jak pewien gest. Rzadko z sobą o nim rozmawiali, a jeśli już, to tylko aluzyjnie.

Tuż przed udaniem się na lotnisko Alan zostawił list pożegnalny w swoim mieszkaniu, ten sam, który napisał w dniu pożaru.

Powiedział portierowi, że wyjeżdża na kilka dni, i poprosił, żeby zajrzał do jego mieszkania, gdyby nie wrócił po tygodniu, i dał jego gryzoniowi więcej jedzenia. List samobójczy zostawił obok klatki, więc portier miał zrozumieć, co się stało.

Pocałował Naleśniczka, przytulił go do serca i pożegnał się.

Lynn powiedziała Patricii, że wybiera się na kilkudniowe wakacje.

- Harlem Globetrotters właśnie odrzucili twoje podanie o sprawdzian kwalifikacyjny - powiedziała Patricia. - To ci powinno dodać sił i utrzymywać w zdrowiu psychicznym podczas urlopu.

Troje świrów i menel spakowali się i wsiedli do samolotu lecącego na Bahamy o ósmej rano. Zameldowali się w hotelu „Atlantis” na Rajskiej Wyspie. Usiedli na leżakach nad jednym z basenów; przyglądali się nerwowo

sztucznym wodospadom i wszystkim tym ludziom, którzy nie zamierzali wyskakiwać z łodzi następnego dnia, żeby uczynić swe życie szczęśliwszym, pełniejszym i bardziej wartościowym. Poszli na kolację w jednej z hotelowych restauracji. Zamówili butelkę wina. Kelnerka poprosiła Alana o dowód tożsamości.

- Dawno temu zgubiłem prawo jazdy, a paszport zostawiłem w pokoju. Wezmę colę - powiedział Alan.

- On ma trzydzieści pięć lat - wyjaśnił kelnerce Roland. - I moim zdaniem wygląda na starszego.

-Wszyscy jesteśmy dość młodzi - zauważył Alan chwilę później, kiedy już popijał colę.

- Tak? I co z tego? - spytał Roland.

- A nic - odparł Alan.

Podczas posiłku czworo przyjaciół podawało sobie sól i pieprz; tylko Ray kilka razy próbował nawiązać rozmowę, ale nie wkładał w to serca, niebawem więc się poddał. Nie potrafił się zmusić, żeby ich zapytać, czy plan nadal im się podoba, ponieważ sam nie do końca czuł się z nim swobodnie.

Po kolacji wrócili nad brzeg basenu i usiedli samotnie na tych samych leżakach, jedno obok drugiego, w ciemnościach. Minęło dużo czasu, zanim któreś wreszcie się odezwało.

Był to Ray.

- Pomyślałem, że dobrą porą będzie jedenasta. Dzięki temu zostanie nam jeszcze sporo dnia i być może w tym czasie ktoś nam przyjdzie na ratunek.

- Dziwne - stwierdził Alan. - To jakby popełnić samobójstwo na odwrót czy coś w tym stylu.

- To prawda - zgodził się z nim Roland. - To prawie

jak samobójstwo, tyle że nie popełnione z nienawiści do życia, tylko z miłości do życia, z chęci jego odzyskania. To poświęcenie na rzecz życia.

Następnego dnia wszyscy czworo znajdowali się już na pokładzie tej samej łodzi; byli ubrani w obszerne kamizelki ratunkowe i małe białe czapeczki. Wpatrywali się w stały ląd, już bardzo niewyraźny, nadzwyczaj daleki. Nie mieli żadnych wymówek. Zresztą wcale ich nie szukali, ani wcześniej, ani teraz. I żadnej by nie znaleźli: ocean nie był wzburzony, powietrze nie było zimne, ani jednej meduzy w zasięgu wzroku, za to na niebie kilka uroczych chmur, które chroniły ich przed porażeniem słonecznym.

Roland ukradkiem zgubił monetę.

Kiedy nadszedł czas, Ray lekko przyspieszył małą motorówkę, którą wynajęli na cały dzień. Wszyscy czworo wdrapali się na burłę, schwycili się za ręce i skoczyli.

Czternaście

Odprawiali wzrokiem oddalającą się łódź, w nadziei że nie odpłynie daleko, a jednak ona płynęła i płynęła - nie było powodu, by się zatrzymała. Potem rozejrzeli się dookoła, w poszukiwaniu jakiejś szalupy ratunkowej, ale żadnej nie zobaczyli.

- No i zrobiliśmy to - zagaił Alan, kiedy już znaleźli wygodne pozycje w wodzie.

- To był błąd - stwierdziła po dłuższej chwili Lynn. - Naprawdę wierzycie, że będziemy bardziej cenić życie, jeśli wyjdziemy z tego cało?

- Za późno, żeby zadawać takie pytanie - odparł Ray.

- To koszmar umierać w takim pięknym, słonecznym otoczeniu - powiedziała Lynn. - Śmierć, jeśli już chcesz umrzeć, zasługuje na odrobinę dramatu i ważności, tymczasem nasza śmierć nie będzie ani trochę dramatyczna.

- To był twój pomysł, żeby umrzeć w taki sposób — przypomniał jej Roland. - To będzie piękna śmierć, jeśli umrzemy, albo piękne życie, jeśli przeżyjemy.

Alan zaczął się śmiać, po czym się zorientował, że jednocześnie płacze. Pozostali czekali ze strachem na dalszy rozwój wypadków.

- Jak samopoczucie? - spytał Ray po chwili.

-Wiecie, gdzie tu ironia? - Alan uderzył dłonią w wodę.

- Gdzie? - spytała Lynn.

- Wciąż się znajdujemy na tej samej łodzi.

Roland westchnął z rozdrażnieniem, ale pozostali się uśmiechnęli, bo chcieli być mili.

- Bardzo śmieszne - pochwalili Alana.

- Chodziło nie tyle o to, żeby się znaleźć na innych łodziach, tylko przesiąść się do... lepszej łodzi. Mam rację? -dodała Lynn. Alan się uspokoił.

Aby ktoś przypadkiem się nie odłączył od pozostałych, wymyślili system. Zabrali paski od swoich hotelowych szlafroków i związali je, tworząc zamknięty krąg. Sami włożyli zwyczajne skórzane paski i każdy wziął hak do wspinaczki, dzięki czemu mogli przywiązać się w pasie do tego kręgu.

Po dwóch godzinach spędzonych w oceanie Lynn, Alan i Roland zrozumieli, jakimi są świrami. Pogratulowali Rayowi jego dobroczyńnego pomysłu. Nie mogli uwierzyć, że dobrowolnie narazili swoje życie na ryzyko i że teraz kiwają się w wodzie niczym korki, gdy tymczasem świat jest pełen ekscytujących, przyjemnych rzeczy, które mogą robić.

Po upływie dwóch i pół godziny w powietrzu zaczęły fruwać wyzwiska i oskarżenia pod adresem Raya, że jest „pieprzonym przywódcą kultu”. Odparł, że przyjmuje do wiadomości ich gniewne nastawienie i że przecież dla nich tak się poświęcił.

- Nasza śmierć będzie straszna, jeśli nikt nas nie ura-

tuje - powiedział. - Ale nawet jeśli dojdzie do tego, zaczerpniemy przyjemności z wiedzy, jakie wspaniałe mogło być życie.

Umrzemy z tą wiedzą, co już samo w sobie jest przyjemne. To dar.

Lynn prysnęła mu w twarz. Alan kopnął go pod wodą.

Po sześciu godzinach spanikowali, kiedy zobaczyli pływającego dookoła nich rekina. Alan, Lynn i Roland wierzgali kończynami, drąc się jak opętani, a Ray histerycznie starał się ich uspokoić, ostrzegając, że ich zachowanie to najskuteczniejszy sposób na zachęcenie rekina do ataku. Zastygli jak kłody, co, zdaniem Raya, też nie było wiele lepszym wyjściem. Powiedział im, że muszą się poruszać w zdrowy sposób, emanujący spokojem i pewnością siebie.

- Poruszać się w zdrowy sposób? A co to, do diabła, znaczy? - syknął Alan.

- Teraz nie pora na takie analizy - odsyknął Roland. - Po prostu poruszaj się w zdrowy sposób.

- Przestańcie się kłócić - powiedział Ray. - Kłótnia też może sprawić, że rekin będzie chciał was zjeść.

- Czy ktoś tu krwawi? - spytał Roland. - Rekiny potrafią wyczuć krew z odległości mili.

- Nie, czemu ktokolwiek miałby krwawić? - zdziwił się Alan.

- No przecież tu jest kobieta - zauważył Roland, wskazując Lynn.

- Czyli istota, która od czasu do czasu krwawi. Krwawisz, Lynn?

- Chyba tak - odparła Lynn, która wiedziała, że wcale nie krwawi.

- A z jakiego innego powodu ten rekin mógł tu przyplłynąć? Inne pewnie też się zjawia.

Rekin jakby się oddalał, aczkolwiek wobec takich zjawisk trudno było mieć pewność.

Chciało im się pić. Alan próbował napić się morskiej wody; Ray powiedział mu, żeby tego nie robił, że umrze pierwszy, jeśli napije się morskiej wody.

- Jesteśmy w wodzie i nie możemy się jej napić? - spytał Alan. - Dlaczego nas nie ostrzegłeś, że staniemy w obliczu takiej pokusy?

- Nie rób tego, Alan. Ćwicz siłę woli - poradziła mu Lynn.

Dwie godziny później, kiedy słońce już zachodziło, zobaczyli coś, co ich zdaniem było kolejnym rekinem, i Alan natychmiast zaczął się poruszać w sposób, który wydawał mu się zdrowy.

- Rekiny pojawiają się nocą jeszcze częściej - powiedział Ray. - Wypływają na żer.

Ale to był tylko delfin.

Lynn nie mogła uwierzyć, że kiwa się jak korek w samym środku nicości. Ona, właścicielka superślawnej galerii sztuki. Była wściekła na siebie, że podążyła śladem Alana na sam środek oceanu. Życie pełne takiego potencjału - zmarnowane. O tym, jaki szmat czasu zmarnowała na prześladowanie, wolała nie myśleć. Uznała, że zasłużyła na to, by umrzeć.

Zapadła noc. Byli zmęczeni, zmarznięci, chciało im się pić, a teraz jeszcze osłabli z głodu.

- Zimno mi - poskarżył się Alan.

- Nasze ciała mogły ucierpieć, ale nasze umysły nigdy nie były zdrowsze - powiedział Ray, budząc powszechną

irytację. - Tylko pomyślcie: im bardziej teraz cierpimy, tym szczęśliwsi będziemy później.

- Jesteś nienormalny - stwierdziła Lynn. - Powinieneś się udać do jakiegoś terapeuty.

Roland wyjął z kieszeni monetę i spojrzał na nią w świetle księżyca. Wpuścił ją pod wodę, przyglądał się, jak wiruje i po chwili znika. A potem zaczął energicznie poruszać kończynami.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Alan.

- Próbuję się rozgrzać.

- Dobry pomysł - stwierdził Alan i zaczął entuzjastycznie poruszać tułowiem i kończynami. Lynn i Ray też to robili. -

Tylko pamiętajcie, aby poruszać się energicznie i zdrowo - poinstruował ich Alan. - To ważne. Lynn, twoje ruchy nie wyglądają dostatecznie zdrowo. Widać w nich słabość i zmęczenie. Włóż w nie więcej wigoru albo przestań się ruszać.

- Jestem zmęczona - odparła Lynn.

- Nie pokazuj tego, błagam - powiedział Alan. - Jeszcze zwabisz rekina, który potem zje któreś z nas, a nie tylko tych, którzy poruszają się niezdrowo. To nie byłoby sprawiedliwe.

- Problem z energicznymi ruchami - wtrącił Ray - polega na tym, że człowiek prędzej się odwadnia i spala też mnóstwo kalorii, a to teraz nie jest dla nas dobre.

Wszyscy znieruchomieli.

- Kiedy ja marznę! - znowu poskarżył się Alan. Ray wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo, sam zdecyduj, jaki rodzaj dyskomfortu wolisz. Jeśli nie znosisz, jak chce ci się pić i jeść, to przestań się ruszać. Jeśli zmarznięcie jest jeszcze gorsze, poruszaj się.

Lynn i Alan tkwili nieruchomo, w odróżnieniu od Rolanda. Ray robił coś pomiędzy.

- A żeby cholera wzięła tę dziewczuchę, która wywołała pożar w moim domu - powiedział Alan. - Przeszkodziła w mojej próbie samobójczej. Teraz byłbym szczęśliwym trupem, zamiast umierać.

Ostatecznie wymyślili, że aby się rozgrzać, każde z nich będzie kolejno wpływało do środka kręgu, a pozostała trójka będzie go tulić.

Nocą trochę spali, mimo strachu przed rekinami. Kiedy wzeszło słońce, zauważyli, że Lynn zgubiła czapkę. Mężczyźni uznali, że powinni się okazać dżentelmenami i kolejno pożyczać jej swoje czapki. Najpierw jednak Roland i Alan wdali się w spór, który z nich powinien dać jej dodatkowy czas. Alan twierdził, że jego czas powinien być krótszy, bo on jest łysy, a poza tym Lynn go prześladowała. Powiedział, że Roland powinien pożyczać jej czapkę częściej, bo z kolei on prześladował ją i na pewno chciałby ją zadowolić.

- Ale ja mam czarne włosy - zaprotestował Roland. - Czarny kolor przyciąga ciepło bardziej niż taka łysa, biała głowa.

- Ale moja czaszka się spali - odparł Alan. - Nie dość, że doznam porażenia słonecznego, to oprócz tego jeszcze oparzeń słonecznych. A poza tym ty ją prześladowałaś. Powinieneś pożyczyć jej swoją czapkę! Nie możesz zrobić chociaż tego dla osoby, na punkcie której rzekomo masz obsesję? A zresztą co to za obsesja?

- To prawda - powiedziała Lynn do Rolanda. - Co to za żalonna, mięczakowata, egoistyczna obsesja?

Roland cisnął jej czapkę w twarz.

- Ach, jakież to ożywcze! - powiedziała Lynn. - Czy to oznacza, że przestaniesz mnie prześladować? - Włożyła czapeczkę na głowę.

- Kusi mnie - odparł Roland.

- Brawo! - pochwalił ich Alan. - A jak tam z tobą, Lynn, czy ciebie też kusi, żeby przestać mnie prześladować?

- Tak. Ale z innych powodów. Po prostu nie potrafię uwierzyć, że tu jestem. Znalazłam się tu, bo cię prześladowałam. Nie chcę więcej marnować życia.

- Dlaczego w ogóle tak rozmawiamy, jakbyśmy przyjęli założenie, że jednak będziemy żyli?

- Nie mamy wyboru - powiedział Ray. - Jak w innym razie mielibyśmy dalej trwać?

- A jest po co? - Roland wsparł głowę na kołnierzu swej obszernej kamizelki ratunkowej i zamknął oczy. - Nie mamy środków, żeby wyjść z tego cało.

Trzy świry rozgniewały się, że Ray nie zaaranżował potajemnie, by ktoś ich wyratował. Ray miał spore trudności, żeby przekonać ich, że nie zrobił tego. Im zaś trudno było uwierzyć, że postanowił narazić na ryzyko swoje godne, nowe życie z mieszkaniem i przynoszącym zyski zajęciem. Czuli, że jest znacznie bardziej nienormalny niż oni.

Za dnia zobaczyli dwie łodzie, jedną rano, jedną po południu i obie bardzo, bardzo daleko. Za każdym razem machali, ale ich nie zauważono.

- Max był niesamowicie mądry, że użył cyjanku i zabił się dzięki temu tak szybko - stwierdziła Lynn.

- Tak, to luksus - zgodził się Alan. - To jest jak śmier-

telny lot concordem. Podczas gdy my zmierzamy ku śmierci na grzbiecie żółwia.

- Prędkość może być jedną z najbardziej luksusowych rzeczy na świecie - dodała Lynn.

Roland nie interesował się tematem od czasu, gdy zamordował Maksa.

- Wiem, jaki czeka nas los - powiedział, żeby zmienić temat.

- A niby skąd? - spytał Alan.

- Po prostu wiem. Ja umrę, a wy wszyscy będziecie żyli.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo nie jestem dobrym człowiekiem.

- Co ty nie powiesz? My wiemy, że nie jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś skończonym łajdakiem. Ale czy uważasz, że życie jest sprawiedliwe? - spytał Alan.

- Nie, ale jestem jeszcze gorszy, niż myślicie. - Ach tak? Jak to? Roland westchnął.

- Jestem nadzwyczaj zdolny do nienawiści. I postępuję zgodnie z jej nakazami.

- To nieważne - stwierdził Alan. - Możesz być dziesięć razy gorszy, niż jesteś, ale to nie oznacza, że jest znacznie bardziej prawdopodobne, że ty umrzesz, a my nie, niestety. I to również nie oznacza, że niekoniecznie musisz mieć szczęśliwe życie. Życie po prostu takie jest. Wredne. Nie jesteśmy bohaterami hollywoodzkiego filmu. To jest prawdziwe życie. A to z kolei oznacza, że prawdopodobnie będziesz żył długo i szczęśliwie, że nigdy nie zostaniesz ukarany za to, że jesteś łajdakiem, że nigdy nie dostaniesz tego, na co sobie zasłużyłeś, nie zbierzesz tego, co posiałeś, podczas gdy my, ci dobrzy ludzie, praw-

dopodobnie będziemy żyli nieszczęśliwie albo umrzemy młodo. Lynn i Ray przytaknęli na znak, że się z nim zgadzają.

- Doceniam twoje wysiłki, żeby mnie pocieszyć - powiedział Roland.

- To smutna prawda - odparł Alan.

- Dlaczego nie kręcą więcej filmów, w których źli faceci nie zostają ukarani? Przecież takie historie są o wiele bardziej realistyczne - stwierdziła Lynn.

- I również przygnębiające - zauważył Ray.

- To prawda - dodał Roland. - Dlaczego ktoś miałby chcieć oglądać, jak komuś uchodzi na sucho morderstwo?

- Bo to czysty realizm! — wykrzyknął Alan. — Nie sądzicie, że ludzie by to jednak przełknęli? Nie sądzicie, że byłoby to z korzyścią dla społeczeństwa, gdyby się dowiedziało, że świat jest do dupy?

- Ależ ludzie to wiedzą - odparł Ray. - Nie chcą tylko, by im to przypomniano w ramach rozrywki. To nie jest przyjemne.

- Cóż, wszyscy z wyjątkiem Europejczyków - powiedział Roland z wyniosłą miną, młócąc nogami wody oceanu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Ray.

- Europejczycy często kręcą dwa różne zakończenia dla danego filmu: przeznaczone na rynek amerykański i dla pozostałej części świata. W *Wielkim błękicie* bohater na samym końcu topi się w oceanie, ale dla potrzeb amerykańskiej dystrybucji kazali mu odpłynąć w stronę zachodu słońca w towarzystwie delfina.

- Nie wierzę ci - zaprotestował Alan.

- To prawda! Wypożycz go sobie, jeśli przeżyjesz — powiedział Roland.

- A nie żałujesz, że nie jesteś bohaterem filmu, amerykańskiego filmu, bo dzięki temu nie musiałbyś umierać w oceanie, a Roland zostałby ukarany za to, że jest takim draniem? - zwróciła się Lynn do Alana.

Kiedy Roland ocknął się z drzemki, wszyscy zaczęli fantazjować na temat tego, co zrobiliby ze swoim życiem, gdyby ich uratowano.

- Chciałabym poznawać nowych ludzi, jeść soczyste jedzenie — powiedziała Lynn. — Chciałabym się nurzać we wszelkiego typu fizycznych przyjemnościach. Wykorzystałabym każdy dzień co do sekundy, żeby pławić się w jakichś niewiarygodnych rozkoszach.

- Tak to brzmi, jakbyś definitywnie się uporała ze swoim problemem z chceniem - powiedział Roland.

- A żebyś wiedział. Poradziłam sobie z nim całe wieki temu.

-Jeśli przeżyję, będę hodował więcej zwierzaków -oświadczył Alan.

- Zwierzaków? Jakich zwierzaków? Więcej szczurów? — pytał Ray.

- Nie wiem jeszcze. Ale chcę ich mieć całe mnóstwo.

- Ale dlaczego?

- Chyba żeby być otoczonym ciepłem i miłością. -A po chwili dodał: — Boże, muszę dostać z powrotem czapeczkę. Głowa mi płonie. Teraz czyjaś inna kolej.

Roland odwrócił wzrok, udając zadumę, choć wiedział, że to jego kolej. Kiedy nic nie usłyszał, zerknął na Raya, który patrzył na niego z ponagląjącą miną.

- Mam czarne włosy - bąknął.

Ray dał Lynn swoją czapkę, popatrując na Rolanda z lekkim szyderstwem.

- Dzięki, Ray - powiedziała Lynn, podobnie spoglądając na Rolanda.

Alan nabrał wody do swojej czapeczki i włożył ją sobie na głowę.

- Ach - powiedział z zachwytem, kiedy po jego twarzy spłynęły kaskady wody.

- Jeśli ja przez to przebrnę - odezwał się Ray - to będę chciał obejrzeć więcej filmów, zarobić więcej pieniędzy i być suchy. Może zrobić sobie wakacje w jakimś naprawdę suchym miejscu. Suchym i cienistym. Może na pustyni, pod namiotem. Czekali, aż Roland zdradzi im swoje pragnienia. Nie zdradził.

- A jak jest z tobą? - spytał go Ray. - Czy jest coś, co chciałbyś zrobić, gdybyś przeżył, tak bardzo, że dałbyś się za to pokroić?

- Cóż za interesujący dobór słów - stwierdził Roland.

- Dziękuję.

- Dałbym się pokroić za nowy zapas - oświadczył Roland.

- Zapas? - spytał Ray. - Czego?

- Czegoś, co kiedyś miałem i straciłem.

- A co to było? - zaciekawił się Alan.

- Och, coś, dzięki czemu czułem się silny, wyjątkowy - odparł Roland.

- To jakiś narkotyk? - spytała Lynn. - Tak jakby.

- Jaki?

- To osobista sprawa - skwitował Roland.

- A jak działał? - dopytywała się Lynn.

- Potrafił wytworzyć pewną przyjemną perspektywę.
- Perspektywę? Ale nic rzeczywistego? - nie ustępowała Lynn.
- A któż się zna na rzeczywistości? - odparł filozoficznie Roland.
- Ze co? - spytał Alan. - O czym my rozmawiamy? Nie łąpię.
- Roland tylko wzruszył ramionami i nie odpowiedział.
- Ale zażyłbyś go teraz, gdybyś go miał przy sobie? - spytała Lynn.
- Może i tak - odparł Roland. - A może zaczekałbym, aż sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.
- O ile gorszy, żebyś szukał takiej pociechy?
- Ogromną pociechą byłaby świadomość, że mógłbym go zażyć.
- Nawet jeśli jego zażycie wiąże się z przejściem do całkiem nowej formy bytu, z której raczej nie ma powrotu.
- To cię niszczy? - spytała Lynn.
- Mam dość tego przesłuchania - oświadczył Roland. - Wiem tylko, że byłem durniem, nie zdobywając zapasu. Cała ta kretyńska sytuacja byłaby znacznie łatwiejsza do zniesienia, gdybym miał go teraz przy sobie.
- Dzięki Bogu, że przynajmniej mamy siebie... - Alan się zamyślił. - Wyobrażacie sobie, o ileż gorzej by wszystko wyglądało, gdybyśmy byli samotni w tym oceanie? Nie dość, że bez zapasu, to jeszcze nie moglibyśmy zabijać czasu tymi fascynującymi konwersacjami.
- To ma być sarkastyczna, a jednak głęboka myśl, Alan?
- Niewykluczone.

Ku zdumieniu wszystkich Roland wyjął z kieszeni szortów puszkę z tuńczykiem. Kiedy się zorientowali, że nie ma zamiaru się z nimi dzielić, stwierdzili, że tuńczyk przywabi rekiny, i prędko odpięli się od koła z pasków z froty i odpłynęli od niego. Roland pożarł swojego tuńczyka i przyłączył się do nich, podsuwając w ich stronę zwiotczone koło, zachęcając, żeby z powrotem się przypięli. Wolał się nasłuchać ich zniewag, zamiast być samotny w oceanie.

Lynn pierwsza straciła przytomność, a może raczej usnęła; w oceanie przebywali całą dobę i pięć godzin. Roland zaproponował, że trzeba jej napluć do ust, żeby ją nawodnić. Ostatecznie jednak tego nie zrobili, bo w życiu o czymś takim nie słyszeli.

Ocknęła się czterdzieści pięć minut później, akurat w porę, by usłyszeć, jak Ray się wścieka na ich głupotę. Przeklinał samego siebie, że to on wpadł na pomysł z wskakiwaniem do oceanu, i przeklinał ich za to, że dali się namówić.

-Jak słowo daję, jesteście ulegli jak masło! - krzyczał. - Jak mogliście posłuchać rady bezdomnego? Jesteście pokręceni! I teraz wszyscy przez to umrzemy.

Dwie godziny później Lynn znowu straciła przytomność. A kiedy ją odzyskała, pierwsza zauważyła łódź, której pozostali nie dostrzegli.

Zaczęli machać jak oszalali, ale łódź zauważyła ich już wcześniej i płynęła w ich stronę. Zatrzymała się w niedużej odległości, wyłączono silnik. Na relingu stało sześciu ludzi, patrzyli na nich z góry. Sprawiali wrażenie przyjaznych.

- Potrzebujecie pomocy? - zawołał w ich stronę starszy mężczyzna o dystygowanym wyglądzie.
- O tak, bardzo - odkrzyknął ochrypłym głosem Ray.
- W takim razie zapraszam na pokład - powiedział mężczyzna, wskazując gestem tył łodzi.

Czwórka smiertelnie zmęczonych przyjaciół skwapliwie przepłynęła całą długość stustopowego jachtu, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie dystygowany starszy pan spuszczał drabinę. Wspinali się na górę, mając przed sobą wypisaną ogromnymi literami nazwę łodzi: „Gałka oczna”.

W tej samej chwili, gdy palec jego stopy dotknął pokładu, samopoczucie Raya znacznie się poprawiło i ogarnął go znakomity nastrój. On i jego świry wygrali! Doświadczenie okazało się bezcenne! Odtąd będą zbierali zniwo w postaci samych korzyści.

- Usiądźcie i cieszcie się - powiedział do Lynn, Alana i Rolanda, kiedy wspinali się jego śladem. - Rozkoszujcie się tą magiczną chwilą. Niewiele chwil w waszym życiu będzie równie cudownych. Postarajcie się wryć ją sobie w pamięć. Zwróćcie uwagę na ekstazę, jakiej właśnie doświadczacie. Smakujcie każdy jej odcień.

- Nie sprawiasz wrażenia bardzo odwodnionego - zauważyła Lynn, która ledwie trzymała się na nogach.

Dano im wodę i wypuszczono ich w Nassau. Taksówką dojechali przez most do hotelu na Rajskiej Wyspie. Wzięli prysznic i włożyli suche ubrania.

Każde w swoim pokoju zadzwoniło na room service. Lynn przypomniała sobie z dzieciństwa książkę z obrazkami, w której napominano, by się nie obżerać, kiedy się nie jadło przez dwa dni, bo można się rozchorować.

Zamówiła makaron i awokado nadziewane krewetkami. Alan zamówił dwa cheeseburgery; Roland stek, wino, ser i mus czekoladowy, a Ray potrawkę z muszli, makaron i obrzydliwy suflet ananasowy.

Lynn żałowała, że jest sama w tym momencie, ale było to lepsze niż przebywanie z nimi. Byłaby szczęśliwa, gdyby towarzyszyła jej jakaś serdeczna przyjaciółka, na przykład Patricia.

Alan myślał wyłącznie o potrzebach cielesnych. Chciał się najeść i jak najszybciej iść spać.

Roland brzydził się sobą, że udał się na tę wyprawę razem z tymi durniami. Nie posiadał się ze wstydu.

Lynn, Alan i Roland mieli te same odczucia wobec jednej kwestii. Nie igra się z własnym życiem. Nie wolno traktować życia jako czegoś danego z góry, nie wolno go marnować, myśleli. Mówili to sobie i docierało do nich, że eksperyment się udał. To nowe podejście do życia było właśnie takie, jakiego mieli nadzieję nabrać.

Po zjedzeniu posiłku wywiesili na swoich drzwiach tabliczki z napisem „Nie przeszkadzać” i poszli spać.

Piętnaście

Na jakiś czas ich egzystencja skarłała nieco i zarazem rozkwitła. Najdrobniejsze elementy codziennego życia wydawały się niebiańskie w porównaniu z dryfowaniem w oceanie. Niektóre drobiazgi przysparzały im takiego zadowolenia, że wystarczały niemal za wszystko. Przysiadali na swoich łózkach i już sam dotyk pościeli (w wypadku Alana była to sierść szczura na policzku) przynosił im rozkosz. Czuli, że mogliby tak żyć przez pięćdziesiąt lat i nie domagać się niczego więcej od życia. Dużo spali. I uwielbiali spacerować. Spacerowanie po stałym lądzie przypominało orgazm.

Łańcuch prześladowczy rozpadł się w oceanie. Świry były zbyt zmęczone, żeby mieć ochotę na wzajemne prześladowanie. Zmęczenie z czasem ustąpiło, ale wizja, że znowu kogoś nękają, wydawała się nużąca, powtarzalna, monotonna; zapowiadała zwykłą stratę czasu niezbyt odmienną od kołysania się w oceanie. Życie jest zbyt krótkie, by je tak marnować.

Lynn chciała zapomnieć o wszystkim, co przeżyła w oceanie, i wrócić do normalnego życia jak najszybciej i możliwie najgruntowniej. Chciała przesiąknąć normalnością i rutyną. Gdyby rutyna była płynna, uwielbiałaby

brać w niej kąpiel. Chociaż nie, lepiej nie - byłoby to zbyt podobne do ich przeżyć.

Poszła na niechcianą kolację, której kiedyś miała nadzieję uniknąć dzięki śmierci. Strasznie się wstydziła swojego wyglądu: jej włosy były przesuszone i osłabione, bo tak długo moczyły się w wodzie, a jej cera nie wydawała się zbyt świeża. Ale Ray miał rację: koszmarne kolacja wcale nie okazała się taka zła w porównaniu z dryfowaniem w oceanie przez kilka dni.

Namolność goszczącego ją kolekcjonera wydała się jej ujmująca. Z kolei Ray wciąż rozbudowywał www.zeswirujwmilosci.com, jak zawsze odnosząc sukcesy. Zachwycał się, że oceaniczne przejścia uwrażliwiły go na przyjemności życia i zobojętniły na niewygodę, pułapki i złe dni. Ledwie nad sobą panował, bo tak go to ekscytowało, i był przekonany, że za rok albo dwa zrobi to jeszcze raz. Życie jest zbyt krótkie, żeby takiego doświadczenia nie powtórzyć - nawet jeśli ono mogło jeszcze bardziej je skrócić. Świry wyzbyły się obsesji na swoim punkcie i to go cieszyło. Ale też rozczarowało, bo nie potrzebowali niczego więcej oprócz stałego lądu, bo wydawali się nieobecni duchem, niczym cienie swoich dawnych „ja”. Utemperowane ego — być może tym właśnie jest zdrowie psychiczne.

A jednak ten stan nie utrzymał się długo. Boska perspektywa, którą dostrzegli dzięki ponuremu doświadczeniu na oceanie, dość prędko się zatarła, jak to niestety z nią jest. Utracili perspektywę i ich apetyt na coś więcej niż stały ląd obudził się ponownie.

Przypomnieli więc sobie o pewnych rzeczach, które chcieli robić, jeśli zostaną wyratowani z opresji.

Alan kupił sobie więcej zwierzaków. Oprócz szczura miał teraz jeszcze królika, psa i fretkę.

Roland pojechał do Francji odwiedzić ojca i poprosić o nowy zapas cyjanku. Kiedy ojciec spytał, co się stało z cyjankiem w jego medalioniku, Roland odparł, że opróżnił medalionik któregoś dnia, kiedy policjanci rewidowali wszystkich w pewnym parku, gdzie właśnie popełniono zbrodnię. Ojciec powiedział Rolandowi, że podjął właściwą decyzję, że z powodu noszenia przy sobie cyjanku można się nabawić mnóstwa kłopotów. Dał synowi nowy zapas, ponieważ posiadał niewielki zbiornik wypełniony cyjankiem, przekazywany z pokolenia na pokolenie, razem z medalionikami. Przydawał się, kiedy medalioniki bywały opróżniane z tych czy innych powodów.

Miesiąc po oceanicznym doświadczeniu Lynn stała razem z Patricią w kolejce w lokalnej cukierni, kiedy usłyszała za swoimi plecami atrakcyjny męski głos, który wypowiedział jej sekretne „prawdziwe” imię.

Nie obróciła się w stronę głosu, nie mogła się do tego zmusić. Schwyciła ramię Patricii i ścisnęła je z całej siły.

- Co jest? - spytała jej asystentka.

Lynn nie odpowiedziała i zaraz potem wyszła z cukierni, nie patrząc w stronę, z której dochodził głos. Zrozumiała, że nigdy się nie dowie, kto to był. Może to było lepsze niż rozczarowanie. Jeszcze tego samego popołudnia na pytanie Patricii, dlaczego wydaje się taka melancholijna, wyjaśniła, że znalazła się na odległość wyciągniętej ręki od mężczyzny ze swych marzeń i nie dość, że go nie dotknęła, to nawet na niego nie spojrzała.

- Kiedy?

- W cukierni, kiedy schwyciłam cię za ramię.
- Który to był facet?
- Nie wiem, ale słyszałam, jak za naszymi plecami mówi do kogoś: „Kocham arie Lehara”.
- Ten facet? Ja wiem, kto to jest, Lynn. To twój sąsiad. Jeśli to mężczyzna z twoich marzeń, to z pewnością go nie straciłaś. Prawdopodobnie widywałaś go w okolicy. Często chciałam cię spytać, co o nim myślisz, bo wydawał się w twoim typie.
- Znasz go?
- Tylko z widzenia. Ale jest przystojny.
- Kim on jest?
- Pracuje w kwiaciarni, trzy domy dalej, ale ty nie kupujesz kwiatów, więc pewnie nigdy go nie zauważyłaś.

Lynn wybiegła z galerii.

Weszła do kwiaciarni. Zobaczyła mężczyznę siedzącego na krześle w kącie, który robił coś ze sznurka i kwiatów. Miał siwe wąsy, poza tym był całkiem przeciętny. Podeszła do niego i popatrzyła łagodnie, zachęcająco, z głową ptasio przekrzywioną w bok. Mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. W kwiaciarni mógł pracować jeszcze ktoś. Musiała się upewnić, że znalazła tego właściwego, tego, który wymówił jej prawdziwe imię, a nie wyciągać pochopne wnioski. Okręciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z jeszcze innym mężczyzną, który stał tam, tuż za nią, ubrany w granatowy fartuch, z wazonem w ręku. Wystarczyła jej jedna chwila, żeby zapamiętać jego twarz, a czynność ta zazwyczaj zajmowała jej całe godziny.

- Czym mogę pani służyć? - spytał, a wtedy rozpoznała głos, który wymówił w cukierni jej prawdziwe imię.

Uśmiechał się tak czarująco, że niemal przeszył ją ból.

- Jakie kwiaty by pan polecił?

- Na jaką okazję? - spytał.

- Na tę okazję.

- A cóż to za okazja? - spytał niewinnym tonem, ale jego uśmiech stał się bardziej filuterny.

Nie mogła przecież powiedzieć: „Początek reszty naszego życia”.

-Taka, że weszłam do tej kwiaciarni pierwszy raz w życiu - powiedziała zamiast tego - mimo że od sześciu lat pracuję trzy domy dalej.

- Doprawdy? - zdziwił się. - W takim razie to cudowna okazja.

Poleciłbym... - rozejrzał się dookoła, pocierając dłonią podbródek - ...poleciłbym kremowe róże. Co pani powie na kremowe róże?

- Znakomicie.

Wybrał kwiaty i opakował je w milczeniu, gdy tymczasem ona obserwowała każdy jego ruch. Wręczył jej bukiet.

- Ile płacę? - spytała.

- Miło było nareszcie panią poznać - odparł.

- O tak, nareszcie. Więc ile jestem winna? -Nic.

- Naprawdę?

- A może tak kawa?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drugi mężczyzna, ten siedzący w kącie, przemówił do mężczyzny jej życia.

- Hej, co o tym myślisz?

Mężczyzna jej życia zerknął na bukiet, który ten drugi właśnie skończył układać, i podniósł kciuk w górę.

- Sam czar i elegancja - pochwalił i dopiero wtedy obrócił się w stronę Lynn.

Zdezorientowana Lynn wytrzeszczyła na niego oczy.

- Cały czas powtarza pan moje imię.
- Doprawdy? - spytał zafascynowany.
- Tak, moje prawdziwe imię.

Nie spytał jej, co to za imię. Być może uznał, że to jakaś metafora.

- Muszę już iść - powiedziała, kierując się do wyjścia.
- To jak, o szóstej jutro? Ale jej już nie było.

Tamtego wieczoru świry i były menel zjedli razem kolację. Wciąż spotykali się równie często jak zawsze, tyle że teraz przyciągała ich do siebie nie obsesja, tylko nawyk, mroczna wzajemna ciekawość, a wręcz nawet coś na kształt dziwnej, mało zrozumiałej przyjaźni.

Lynn przyprowadziła Patricię. W połowie posiłku pozostali zauważyli, że Lynn rzadko się odzywa, więc spytali, co u niej.

- Poznałam mężczyznę z moich marzeń - odparła.
- Naprawdę? - spytał Ray.
- Naprawdę. On zna moje imię.
- My też je znamy - powiedział Roland.
- Nie, wy go nie znacie. Mam sekretne, bardziej prawdziwe imię.
- Zdradzisz je nam?
- Moje imię to Ariella.
- I wypowiedział je? - spytał Alan ze zdumieniem. - Tak.
- Coś takiego - zdziwił się Ray.
- Powiedział coś innego, powiedział „Kocham arie Le-hara” - wtrąciła się Patricia.
- Na jedno wychodzi - uznała Lynn.

- A jakim cudem? - dziwił się Roland.
- A takim - odparła Lynn i wyskandowała z emfazą: - Kocham-ariete-hara.
- Trochę to naciągane — stwierdził Roland.
- Wcale nie.
- Jak mówi, że nie, to nie - powiedział Ray zirytowany, że mimo swej biegłości w swataniu nie był w stanie dostarczyć Lynn jej idealnego mężczyzny. - A co z „Komar je lazanie”
- Że jak?
- Kom-ariete-zanie - powtórzył Ray.
- Zostawcie mnie w spokoju - warknęła Lynn.
- My się po prostu martwimy - powiedział Roland. - A co z „Kuguar i elanobawełna”? Oj - dodał, przyciskając dłoń do ust. — Właśnie wymówiłem twoje prawdziwe imię. Kugu-ariete-nobawełna. To pewnie oznacza, że ja też jestem mężczyzną z twoich marzeń.
- Czy szykujemy się do zbiorowego pozbawiania jej złudzeń? - naskoczył na tamtych Alan.
- To nie są złudzenia - poprawiła go Lynn. - To prawda. Powiedział także „Sam czar i elegancja”.
- Słyszę - ucieszył się Alan. - „Samcz-ariete-gancja”.
- Jezu! - jęknął Roland.
- Co to za bzdury, Lynn? - spytał Ray pobłaźliwie, jakby przemawiał do dziecka. - Właśnie ci pokazaliśmy, że każdy jest w stanie wypowiedzieć twoje sekretne imię, z równą łatwością i częstotliwością.
- Być może - odparła Lynn. - Ale ja w życiu go nie słyszałam. Słyszę je tylko wtedy, gdy on je wypowiada.
- A zresztą skąd wzięłaś to imię? - spytała Patricia.
- Byłam na kostiumowym przyjęciu urodzinowym, kiedy miałam około sześciu lat, i pewna wróżka powie-

działa mi, że mam sobie wymyślić sekretne imię dla siebie i że któregoś dnia rozpoznam mężczyznę z moich marzeń, bo on to imię wypowie.

- Wróżka? - spytał Roland.

- Tak, panna Tuttle, wróżka z urodzinowego przyjęcia.

- Panna Tuttle? - powtórzył Alan, czując dreszcze na plecach.

- Tak - potwierdziła Lynn.

- Czy była również fryzjerką?

-Owszem, była. Znałeś ją? No tak, pochodziła z Cross. Panna Ann Tuttle.

- Żebyś wiedziała, że ją znałem! Roland wmówił mi niedawno, że w dzieciństwie molestowała mnie seksualnie, ale wcale tak nie było - powiedział Alan, patrząc surowo na Rolanda. - Poszedłem do niej i okazało się, że trzymała mangorybę w akwarium we własnym domu.

- Ta ryba to prawdopodobnie przykrywka - stwierdził zblazowanym tonem Roland. - Kupiła ją do ugłaskiwania mężczyzn, którzy przez lata pukali do jej drzwi i pytali, czy molestowała ich w dzieciństwie.

-O tym nie pomyślałem... - zadumał się Alan. -Mam nadzieję, że to prawda, bo jakoś tak zrobiło mi się jakby żal, że jednak nie byłem molestowany.

- Masz nierówno pod sufitem - stwierdził Roland.

- Wcale nie. Molestujący dzieci są jak kosze na śmieci. Możesz do nich wrzucać wszystkie swoje brudy.

- Jeśli chcesz, na pewno znajdziemy kogoś, kto w razie czego zechce cię molestować - powiedział Roland.

- Za późno. Już nie jestem mały.

- Ale tam. Nadal jesteś dość mały.

- Alan, jestem pewna, że panna Tuttle cię nie mole-

stowała - odezwała się Lynn. - Mangoryba w jej domu to nie była przykrywka. Panna Tuttle, wróżka, jest odpowiedzialna za to, że znalazłam mężczyznę mojego życia. To cudowna osoba.

Zawdzięczam jej jeśli nie życie, to przynajmniej szczęście i jestem absolutnie przekonana, że nigdy nie skrzywdziłaby dziecka. Ona jest boska i mówię to w sensie dosłownym.

- Czy ktoś z was kiedykolwiek słyszał o mangorybie? - spytał Roland. - Bo ja nie. Nie denerwuj się, chłopczyku, na pewno cię molestowali. - Poklepał Alana po ręce i ukradkiem wrzucił pod stół spinacz.

Następnego dnia, o szóstej, mężczyzna życia Lynn czekał już w kawiarni, kiedy tam weszła. Zadzwoił do niej wcześniej do galerii i powiedział, gdzie będzie na nią czekał.

Siedział na stołku barowym, przy wysokim, za to niewielkim okrągłym stoliku. Nie miał na sobie fartucha. Nie pojmowała, jak to się stało, że nigdy wcześniej go nie zauważyła, że nigdy nie wpadła na niego na ulicy. Rudo-blond szczecina okalała piękne, pełne wargi, w których odzwierciedlała się cudowna osobowość. A jego gestykulacja z całą pewnością nie była sztuczna.

Usiadła na stołku naprzeciwko niego i pochyliła się nad blatem stolika.

- Nic mnie nie obchodzą ani arie Lehara, ani komary jedzące lazanie.

- Mnie też nie - odparł. Oboje się roześmieli.

Szesnaście

Alan i Roland potajemnie zazdrościli Lynn, bo też pragnęli odnaleźć magiczne szczęście. Szczególnie Roland nie mógł się doczekać jakiegoś czarodziejskiego spotkania. Stale wierzył, że do niego dojdzie, ale nic się z nim takiego nie działo. Aż do pewnego popołudnia.

Właśnie wyszedł z restauracji, w której często bywał, upuściwszy spinacz obok drzwi. Na dworze panował ziąb i smutek.

Stał przy krawężniku, opatulając szyję szalikiem, i patrzył w lewo i prawo, szukając taksówki. Usłyszał blisko siebie kobiecy głos.

- O tej porze dnia jest ich zazwyczaj więcej. Spojrzał na osobę, która to powiedziała. Atrakcyjna, młoda kobieta, stojąca obok niego, też samotna. Uznał, że to wszystko wygląda całkiem romantycznie, może wręcz nawet podobnie do tego, co przydarzyło się Lynn. Frapująco i nastrojowo.

- To prawda - odparł. - Bywa tu pani codziennie?

- Co? - spytała wyraźnie zirytowana.

W tym momencie zauważył, że z jej ucha wystaje czarny sznurek.

- Co? - powtórzyła. - Rozmawiam przez telefon!

Zabłyło zielone światło i przeszła młodzieńczym krokiem na drugą stronę ulicy. Usłyszała jej cichnący głos: „Przepraszam cię, ale znowu jakiś zboczek, który sobie ubrdał, że mówię do niego albo do siebie, jak jakaś wariatka”. I potem jej śmiech.

Owładnięty smutkiem Roland nie był w stanie ruszyć z miejsca.

Czuł się jak stary dureń. Ckliwa, głupia historyjka Lynn narobiła mu niezłego zamieszania w emocjach. Zniesmaczony zacisnął pięści w kieszeniach i długi czas tkwił tam jak słup.

Kiedy już miał przejść na drugą stronę ulicy, usłyszał kobiecy głos.

- Przepraszam?

Odwrócił się i zobaczył kobietę olśniewającej urody, z czarnymi włosami zwieńczonymi śnieżnobiałym puklem, który trochę upodabniał ją do skunksa albo Susan Sontag.

- Tak? - spytał.

- Coś pan upuścił - powiedziała.

- Czyżby?

Wyjęła dłoń z kieszeni, pokazała spinacz.

- Nie byłam pewna, czy powinnam zawracać panu tym głowę.

- Ależ jak najbardziej. - Wziął spinacz.

- W takim razie może chciałby pan odzyskać pozostałe przedmioty - powiedziała. Zmarszczył czoło.

- Jakie przedmioty?

- No te, które ciągle pan gubi. - Wyjęła z torby plastikową torebkę pełną rzeczy, które gubił gdzie popadło.

- Pani się chyba myli - wyjąkał, nagle straszliwie zawstydzony.

- Tak, pewnie się mylę - odparła, chowając znalezione do torebki. Rozejrzał się dookoła, w nadziei że znajdzie coś, co doda mu ducha w tym niezręcznym momencie.

- Kim pani jest? - spytał.

- Przychodzę codziennie do tej restauracji na lunch, pracuję tu też na laptopie. Bardzo często widywałam, jak pan tu gubił różne przedmioty. Tyle tego było.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Chętnie bym się dowiedziała, dlaczego pan to robi - dodała. Zastanowił się i po raz pierwszy przyszło mu do głowy jakieś wytłumaczenie.

- Żeby znaleźć coś bardziej cennego. - Odwrócił wzrok, ale jednocześnie wyciągnął rękę w jej stronę i zapytał: - Czy mogę dostać z powrotem moje rzeczy?

Podawała mu zgubione przedmioty. Torebka była za duża i nie mieściła się w jego kieszeni, ale trzymał ją dyskretnie przy boku, zwinawszy w jak najmniejszy tobołek.

- Poznałem pokrewną duszę - wyznał pozostałym Roland podczas kolacji, na którą się uparł w dwa tygodnie po ostatniej.

- Naprawdę? - spytał Ray.

Alan przywołał kelnera i zamówił drinka, mając nadzieję, że albo mu schlebią żądaniem okazania dowodu tożsamości, albo uda mu się upić.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości? - spytał kelner.

- Sto lat temu zgubiłem prawo jazdy. Naprawdę wyglądam na kogoś, kto jeszcze nie skończył dwudziestu jeden lat?

- To całkiem możliwe - odparł kelner.
- W takim razie wezmę Krwawą Mary bez wódki pnowicd/ial Alan i zwrócił się do Rolanda. - Mówiłeś' nam, że poznałeś' pokrewną duszę.
- Tak. Miała moje rzeczy! - pochwalił się Roland.
- Jakie znowu rzeczy? - spytał Ray.
- No te wszystkie, które od lat gubię.
- Rzeczy, które gubisz? -Tak.
- A co to za rzeczy? - zaciekawił się Alan.
- Guziki, spinacze, monety, zużyte bilety do kina.
- Jak często?
- Codziennie. Wiele razy dziennie.
- Gdzie?
- Gdziekolwiek się akurat znajduję. Zazwyczaj wtedy, kiedy opuszczam jakieś' miejsce.
- Celowo?
- Jak najbardziej.
- Śmiecisz?
- Nie, gubię.
- Ale dlaczego? - spytali tamci unisono.
- Żeby znaleźć coś bardziej cennego.
- Jak na przykład co, kobietę, która będzie po tobie sprzątać? - spytała Lynn.
- Nie.
- No to co jest bardziej cennego? - spytał Alan, popijając już swojego drinka. - Czemu mataczysz, zamiast nam coś wyjaśnić?
- Nie wiem - przyznał Roland, upijając łyk białego wina. - Wiem tylko, że zawsze mam przy sobie coś, co mogę stracić. Nie mogę wytrzymać, jak nie mam nic do stracenia. Nie potrafię opuścić danego miejsca, jeśli czegoś

po sobie nie zostawię, nawet jeśli to tylko nitka wypruta z kieszeni. W przeciwnym razie ogarnia mnie lęk. Jeśli macie jakieś lepsze wytłumaczenie, to proszę, podzielcie się nim ze mną.

- Tak, ja takie mam - powiedział Alan. - Gubisz różne rzeczy. A więc jesteś oferumą.

- Gubię je celowo.

- To w takim razie jesteś podwójną oferumą.

- Nie - wtrącił się Ray. - Gubisz rzeczy, bo podświadomie podsuwasz innym pretekst do nawiązania z tobą znajomości. W ten właśnie sposób nawiązujesz kontakty. Pragniesz, by ludzie znajdowali dostęp do ciebie mimo twojej chłodnej miny.

- Być może... - zgodził się Roland. - Ale w takim razie dlaczego gubię rzeczy tam, gdzie nikt nie może do mnie podejść, na przykład na samym środku oceanu?

- Gubienie rzeczy przeszło w kompulsywny nawyk - wyjaśnił Ray. - Jako że nie bardzo zdawałeś sobie sprawę, dlaczego to robisz, to logiczne, że czasami robiłeś to wtedy, kiedy to nie miało sensu. Czy nie tak?

- Boże, dlaczego ty nie zostałeś psychoterapeutą? - powiedziała Lynn, wyraźnie pod wrażeniem.

- Owszem, byłem psychoterapeutą.

- A mówiłeś, że byłeś ślusarzem!

- Kłamałem. Byłem psychologiem.

- Dlaczego nam nie powiedziałeś?

- Z różnych powodów.

- Jak zostałeś bezdomnym, skoro byłeś psychologiem? - dopytywał się Alan.

- Byłem złym psychologiem.

- W jakim sensie złym? - spytał Roland.

- No cóż... - Ray zawiesił głos.

- Źle analizowałeś ludzi? - spytała Lynn. -Nie...
- Udzielałeś złych rad? - podpowiedział Roland. -Nie...
- Zdradzałeś poufne informacje? -Nie...
- No więc jak było? - spytał Alan.
- Zadawałem zbyt wiele pytań.

Uznali, że to jego komentarz do tego przesłuchania.

- No powiedz nam - błagała Lynn. Ray nie wiedział, co powiedzieć.

-Właśnie wam wyjaśniłem. Zadawałem pacjentom zbyt wiele pytań.

- Ale przecież psychoterapeuta powinien zadawać pytania! - zdziwił się Alan.

- Tak, to prawda, ale nie aż tak wiele. A ja zadawałem ich całe mnóstwo. I zbyt często.

- Jak to zbyt często?

- Dzwoniłem do nich do domu, co godzinę, i pytałem o najnowsze zdarzenia w ich życiu.

- Ach tak.

- Ale byłem całkiem niezły w analizowaniu zachowań i udzielaniu porad. Roland, gdybyś powiedział mi wcześniej o swym kompulsywnym nawyku gubienia różnych rzeczy, pomógłbym ci to zrozumieć.

- Łatwo ci tak mówić - odparł Roland. - Gdybyś powiedział nam prędzej, że jesteś psychoterapeutą, może powiedziałbym ci o moim nawyku.

- Dobrze, że żaden z was nic nie powiedział - stwierdziła Lynn - bo wtedy Ray by cię wyleczył z nawyku i w ten sposób nie dopuściłby, żebyś poznał swoją pokrewną duszę.

- Hej, Roland - wtrącił Alan. - A nie mówiłem, że jeszcze wyjdiesz na prostą? Nie tylko przewidziałem, że wyjdiesz cało z tej afery z oceanem, ale że prawdopodobnie będziesz miał szczęśliwe życie. Tylko dlatego, że jesteś dupkiem, jeszcze nie oznacza, że kiedykolwiek będziesz za to cierpiał albo że zostaniesz ukarany. A co ze mną? Ja dokonałem realnego wysiłku, żeby zmienić swoje życie o sto osiemdziesiąt stopni i być dobrym człowiekiem, i co z tego mam? Jestem zupełnie samotny, nieszczęśliwy i pewnie nigdy nikogo nie poznam.

- Tak, być może masz rację - powiedział Roland. - To przekonujący argument.

- Ja ciebie pocieszałem w wodzie, więc skąd teraz to negatywne podejście?

- Myślałem, że wtedy byłeś szczery. Teraz odwzajemniam się szczerością za szczerść, stając się realistą - odparł Roland. - To prawda, życie jest niesprawiedliwe. Nie zasłużyłem sobie na to, żeby poznać tę wspaniałą kobietę. Nie mam prawa być szczęśliwy. Ale ona tak. I dlatego pragnę ją uszczęśliwić.

Alan zazdrościł Lynn i Rolandowi. Też chciał spotkać swoją pokrewną duszę. Teraz, kiedy Lynn i Roland doświadczyli takiej samej magii, prawdopodobnie spodziewali się tego samego po nim. Czuł presję. I to budziło w nim sprzeciw.

Powiedział im, że się denerwuje, bo ani nie ma sekretnego „prawdziwego” imienia, ani też jakiegoś potajemnego zбочzonego nawyku, które rozpoznałaby jego pokrewna dusza. Więc co w takim razie miał robić?

- Prawdopodobnie coś masz, tylko o tym nie wiesz - odparła Lynn. - Wszyscy skrywają jakieś dziwactwa.

- Wszyscy, tylko nie ja! Ja swoich dziwactw nie skrywam.
- Nie martw się, jeszcze kogoś' poznasz - pocieszyła go. - A jeśli nie, to też będzie dobrze.

Alan bał się jednak, że do niczego nie dojdzie, że już wiecznie będzie taki niezadowolony i rozgoryczony. To nie było sprawiedliwe i doprowadzało go do szału, ten trend, to szaleństwo z pokrewnymi duszami wyskakującymi nie wiedzieć skąd. Zaczął więc postępować nieobliczalnie.

Naśladowując najcudaczniejsze zachowania tamtych dwojga, wymyślał najrozmaitsze dziwactwa i rytuały, by sprawdzić, czy jego pokrewna dusza go rozpozna. Na przykład ciskał garście płatków róż w twarze kobiet idących po ulicy, a potem obserwował ich reakcje. Kiedy to nie poskutkowało, próbował rzucać czekoladki w powietrze i za siebie, kiedy szedł tłoczną Piątą Aleją, a potem obracał się i sprawdzał, czy jakaś kobieta została trafiona albo czy wręcz złapała taką czekoladkę i była zachwycona - jak przystało na jego pokrewną duszę. Ale nie. Przechodnie otrzepywali się z kakao, robili zirytowane miny albo wbijali zdumiony wzrok w ziemię, w miejscu gdzie upadła czekoladka. Ponieważ z tego pomysłu nie wyszło nic dobrego, zajął się wdrażaniem planu B: kupował mianowicie maleńkie brylanty, rubiny, szafiry, szmaragdy i opale i rzucał nimi, nigdy mocno, w kobiety.

Zastanawiał się także, czy nie chodzić na spacerzy ze swoim szczurem i nie wyciągać go w stronę mijanych kobiet, niczym detektor pokrewnych dusz, sprawdzając w ten sposób, czy któraś z nich jest zaczarowana. Ale w tym tkwił sęk - skoro płatki kwiatów, czekoladki i kamienie szlachetne nie działały, to jakim cudem miałyby działać szczur? Dlatego uparcie kontynuował rzucanie.

Kiedy Lynn, Roland i Ray dowiedzieli się, co on wyprawia, próbowali mu wyjaśnić, że oni nie fabrykowali swoich dziwactw. — Ależ moje dziwactwo też jest autentyczne — zaperzył się. - Lekko kamieniuje kobiety pięknymi kamyczkami. Dlaczego nie wierzycie, że to naturalne dziwactwo?

— Jesteś nienormalny — powiedział z troską Ray.

-A zatem jestem stracony dla sfery uczuć, bo nie mam żadnych ukrytych dziwactw, czy tak? - Tę rozmowę prowadził z nimi z aresztu, w którym zamknięto go na noc, kiedy policja zgarnęła go wreszcie za rzucanie kamieniami.

Lynn przyprowadzała swoją pokrewną duszę, Jima, na wernisaże, kolacje i przyjęcia. Kiedy ludzie pytali go, czym się trudni, nie przeszkadzało jej, że przedstawia się jako florysta. W rzeczy samej była z tego dumna. Jego wdzięk i inteligencja tak mocno rzucały się w oczy, że to dodatkowo umacniało jej ocenę sytuacji. A przecież oceniać potrafiła doskonale.

Ray, Lynn i Alan wymyślili kilka przezwisk dla dziewczyny Rolanda, Victorii. Jedno z nich brzmiało „Tłumaczka”, bo jak ujęła to Lynn: „Ona potrafi przetłumaczyć tego francuskiego dupka na miłą osobę”. Przewali ją także Pokrzepicielką.

Tłumaczka dostrzegła, co jest wspaniałego w Rolandzie, i dzięki temu inni ludzie też to widzieli. Jeśli Roland robił albo mówił coś, co wydawało się niesympatyczne, potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak naprawdę to jest sympatyczne, albo po prostu parafrazowała jego wredne uwagi w taki sposób, że słuchało się ich z prawdziwą przyjem-

nością. Nigdy niczego nie przekłamywała. Ona korygowała. Roland zwykł o niej mawiać: „Ona mnie rozumie”. Pokochał siebie samego za to, że pokochał ją. Facet jego pokroju normalnie nie przeszedłby aż takiej ewolucji, by go do niej przyciągnęło albo by stał się pociągający dla niej. Była mądra. Była silna. Nie malowała się. I nawet miała w sobie trochę męskich cech.

Pracowała w banku. Zawładnęła nim z kretesem.

Alan poddał się z wymyślaniem sztucznych dziwactw. Próbował zapomnieć o romansowaniu i w związku z tym postanowił skierować uwagę na drobne domowe sprawy typu sprzątanie mieszkania i pozbycie się wreszcie białego fotela. Wystawił go na chodnik, jako przyszły łup dla kolekcjonerów śmieci.

Emocjonalnie nie było to łatwe. Zawsze identyfikował się z tym fotelem, niemal miał wrażenie, że wyrzuca do śmieci samego siebie. Bywa, że drobne smutki potrafią odciągnąć myśli od większych smutków bardziej skutecznie niż drobne radości.

W nadziei, że odciągnie myśli od tego drobnego smutku, poszedł na zakupy. Kiedy wrócił, zauważył, że obok jego białego fotela stoi taksówka; kierowca wciągał fotel do bagażnika, przy czym pomagała mu jakaś przepiękna dziewczyna. Dziewczyna zabierała jego fotel. Uznała, że jest godny pożądania. Alan stał tam z plastikowymi torbami pełnymi papieru toaletowego i mrożonych obiadów i przyglądał się widowisku. Dziewczyna otrzepała dłonie z kurzu. Odwróciła się i zobaczyła go. Spojrzała mu w oczy. Może nie był to uśmiech, ale tak czy owak miała miły wyraz twarzy. A potem wskoczyła do taksówki i odjechała.

Alan nie bardzo był pewien, co go trafiło. Czy raczej tak się czuł, jakby coś go o mały włos nie trafiło. Dopiero co otrzymał jak na tacy szansę na doświadczenie jednej z tych magicznych, romantycznych chwil, a on pozwolił, żeby ta szansa przeciekła mu przez palce. Mógł podejść do dziewczyny, wyjaśnić, że zabiera jego fotel. Nawet gdyby nie należał do niego, byłby to niezły tekst. To mój fotel. Spodobał ci się mój fotel. Zabierasz mój fotel. Nikt inny nie chce mojego fotela, mój fotel nikomu się nie podoba. Ale tobie tak. Mamy ten sam gust co do foteli. Wrócił do mieszkania. Trzasnął frontowymi drzwiami, podszedł prosto do kanapy i usiadł na niej, objuczony plastikowymi torbami, i zagapił się na tę pustą przestrzeń, którą przedtem wypełniał biały fotel. Ukrył twarz w dłoniach.

Trzeba jej było powiedzieć, że fotel należał do niego. Może podziwiałaby jego gust.

Kilka dni później Roland i jego pokrewna dusza, „Tłumaczka” vel Victoria, jedli kolację w towarzystwie Lynn, Alana i Raya. Pokrewna dusza Lynn była zajęta, ale obiecała dołączyć do nich później.

W połowie posiłku Lynn zauważyła, że Roland wydaje się szczęśliwy, i spytała, czy zdobył swój nowy zapas. Wszyscy zresztą od dawna chcieli mu zadać to pytanie -zwłaszcza Ray, powodowany swoją chorobliwą ciekawością - tylko stale zapominali.

Rolandowi odebrało mowę ze zdumienia, że Lynn wie o cyjanku, ale zaraz się połapał, że nie wiedziała. Pamiętał teraz, jak wyznał im w oceanie, że chciałby dostać nowy zapas, by przytłumić swoje oceaniczne cierpienie. Tylko tyle powiedział - nowy zapas - nie mówiąc precy-

zyjnie czego, nie wspominając ani o cyjanku, ani o medalioniku. Westchnął z ulgą.

- Tak, zdobyłem. Ale teraz już mnie to nie interesuje. - Urwał, chcąc, żeby to tak wyglądało, jakby zmienił temat. - A tak nawiasem, popatrzcie! - Otworzył swój medalionik. W środku znajdowało się zdjęcie Victorii.

Wszyscy zaszemrali z podziwem.

- A co w nim było wcześniej? Nigdy nam nie pokazałeś' - zauważył Alan.

- Nie twój interes. - Roland zatrzasnął medalionik.

- Tak, wasze zainteresowanie zasługuje na wdzięczność - przetłumaczyła Victoria - niemniej mężczyźni, którzy traktują miłość z fenomenalną powagą, nie zawsze są gotowi, by ujawniać zawartość swego medalionika.

Później dotknęli tematu doświadczenia na oceanie. Victoria знаła już tę historię od Rolanda.

Ray spytał ich, czy nadal żałują, że popełnili półsamo-bójstwo. Wszyscy przytaknęli.

- Jak możecie tak uparcie tego żałować, skoro przecież musicie przyznać, że doświadczyliście wtedy jednej z największych przyjemności w życiu?

Roland naburmuszył się.

- O czym ty mówisz?

- O wyjściu z wody - odparł Ray.

- Jaki kretyn mógł wpaść na taki pomysł? - spytał Roland.

- Prawda jest taka, że tylko szaleni geniusze wpadają na takie pomysły - przełożyła Victoria.

- Dziękuję ci - wyszeptał oczarowany nią Ray.

- Victoria jest niesamowita - powiedział Alan do Ro-

landa. - Nie tylko zbiera to, co gubisz, ale jeszcze sprząta po tobie. Definitywnie na nią nie zasługujesz. Nie rozumiem, skąd miałeś takie szczęście. Ja na takie nigdy nie będę mógł liczyć. Któregoś dnia los prawie się do mnie uśmiechnął: przez sekundę miałem szansę poznać olśniewającą dziewczynę w bardzo romantycznych okolicznościach, bo na ulicy, ale nie skorzystałem z okazji i teraz jest już po ptakach.

- Będziesz miał inne okazje - próbowała go pocieszać Lynn.

-Nie takie. Ta sprawiała wrażenie... wyjątkowej. -Alan pokręcił głową. - Aktualnie sprawy nie idą dla mnie dobrze. Nie mówiąc o tym, że wydałem wszystkie oszczędności na szlachetne i półszlachetne kamienie.

- Nikt nie rozumie lepiej niż ja pokusy pozostawiania czegoś po sobie - powiedział Roland. - Tylko że ja zostawiałem spinacze, guziki i monety, nie brylanty, szafiry i opale, Alan!

Alan wzruszył ramionami.

- Ja nie jestem taki skąpy.

- Lepiej być skąpym, niż potem jęczeć - warknął Roland.

- Prawda - uszczegółowiła jego wypowiedź Victoria. -Osoby takie jak ty, Alan, a więc nadzwyczaj hojne, znajdują się w tym niekorzystnym położeniu, że jeśli nikt nie docenia ich gestów, to ich cierpienie i strata są tym większe.

- A poza tym wcale nie musiałeś rzucać szlachetnymi kamieniami! - powiedział Roland do Alana.

- W odróżnieniu od ciebie nie miałem nikogo, kto by je za mną zbierał, Roland.

Nikt się nie odezwał.

- Och, właściwie to mam gdzieś, że jestem splukany.

Nie wiem, czemu w ogóle się z tego zwierzam - dodał w końcu Alan. - Przykro mi tylko, że niezwykła, romantyczna okazja przeleciała mi koło nosa.

-Jestem pewien, że była wyjątkowa - powiedział Ray. - Ale z kolei każda jest wyjątkowa.

- Być może - zgodził się Alan. - Ale ta wydawała się bardziej wyjątkowa niż inne.

Dni Alana mijały monotennie. Był przygnębiony i samotny. I na pewno nie pomagająca luka powstała w wyniku usunięcia fotela, próżnia, którą Naleśniczek, Buggy, Toto i Futrzaczek byli w stanie zapełnić jedynie częściowo. Alan nie bardzo potrafił się przyzwyczaić do tej luki. Stale przypominała mu o wyjątkowej okazji, z której nie skorzystał. Postanowił, że kupi nowy fotel, jeszcze jeden biały fotel, żeby wypełnić lukę i przestać myśleć o dziewczynie, którą mógł poznać, a nie poznał. Nie był jednak pewien, czy nowy fotel na coś się przyda, bo w głębi ducha wiedział, że to nie będzie ten sam fotel.

Wmawiał sobie, że jakoś przebrnie przez ten zły okres, choćby z pomocą zwierzaków. I zmuszał się, by częściej wychodzić na miasto, poznawać nowych ludzi. A właśnie, że odmieni swe życie o sto osiemdziesiąt stopni. Robił to już wcześniej, więc czemu nie miałby tego powtórzyć. Zorganizowano nowe warsztaty nawlekania paciorków -już ostrzył sobie zęby. Gdyby rak poznał idealną czy choćby w miarę odpowiednią partnerkę, jeszcze mógłby zaznać szczęścia. Jeśli popracuje nad skonstruowaniem sobie bogatego i spełnionego życia, w końcu będzie szczęśliwy, nawet jeśli nie znajdzie pokrewnej duszy.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, zadzwonił do niego portier.

- Tu na dole jest jakaś pani, która chce się z panem zobaczyć.

- A jak się nazywa?

- Twierdzi, że pan jej nie zna, ale że ma coś dla pana. Zjechał windą na dół, bo nie chciał wpuszczać do swojego mieszkania żadnych obcych kobiet.

W holu stała przepiękna dziewczyna, ta sama, która zabrała fotel.

- Pani ma moją chybioną inwestycję - powiedział cicho i podszedł do niej.

Uśmiechnęła się, choć była wyraźnie zdezorientowana.

- Nie, mam pańskie prawo jazdy, znalazłam je między poduszkami fotela. Nie byłam pewna, jak dawno je pan zgubił i czy przypadkiem nie wyrobił pan sobie duplikatu. Nie wiedziałam, czy w ogóle warto je panu zwracać.

- O tak, słusznie pani postąpiła. Ciągle mnie ktoś legitymuje.

Roześmiała się i wręczyła mu prawo jazdy.

- Bywa, że kiedy coś gubisz, znajdujesz coś cenniejszego -

mruknął, niemalże do siebie. I nagle się przestraszył, że zabrzmiało to banalnie i staroświecko, więc dodał: - Straciłem fotel, ale odnalazłem moje drogocenne prawo jazdy. - Podniósł wzrok i spojrzał na nią. - Bardzo bym chciał dostawać od czasu do czasu raporty o moim fotelu. Czy mogę podać pani mój numer telefonu?

Roześmiała się.

- Jasne. A ja po prostu dam panu moją wizytówkę. - Wyjęła z torebki bilecik. - Dopiszę na niej mój domowy numer. Nie zawsze to robię, bo miewam kłopoty z prześladowcami.

Zarumieniony i zbity z tropu Alan zachichotał. Dziew-

czyna dopisywała swój numer na wizytówce, a on tymczasem starał się wymyślić, co by teraz powiedział normalny, zdrowy, przeciętny mężczyzna.

- Proszę się nie bać - powiedział w końcu - przestałem prześladować wieki temu.

Spojrzała na niego z zaskoczoną miną i roześmiała się.

Tamtego tygodnia dwa razy umówili się na kolację i drinka. Za każdym razem kazano mu okazywać dowód tożsamości i wtedy pokazywał swoje prawo jazdy.

Niebawem udało mu się znowu zobaczyć fotel. Udało mu się w nim posiedzieć. I robić na nim różne inne cudowne rzeczy.

Patrzeć na swoją pokrewną duszę, jak w nim siedzi. I patrzeć na nią, jak siedzi na nim, który w nim siedzi. I na samego siebie, na niej, w nim. I na siebie, w niej. I na nich oboje, w nim.

KONIEC

(Jeśli serce masz zajęte, dalej lepiej nie czytaj.)

Siedemnaście

Poznałem dziewczynę z moich marzeń, moją pokrewną duszę - pochwalił się Alan Lynn, Rolandowi i Rayowi.

- No to opowiadaj, opowiadaj - zachęcił go Ray.

- Wprost nie wiem, jak to ująć, żeby oddać sprawiedliwość całej historii.

- Po prostu wyrzucić to z siebie, jakkolwiek - podpowiedziała Lynn.

- Niech będzie. Zgubiłem się. A ona pomogła mi się odnaleźć.

- No i fajnie - powiedział Roland. - A mógłbyś być bardziej konkretny? My byliśmy konkretni.

- Znalazła mnie w fałdach tego, czego się pozbyłem.

- Trochę mniej poetycko, błagam. Jakież szczegóły?

- Podobnie jak twoja pokrewna dusza, Roland, ona zwróciła mi to, co zgubiłem.

Ray, Roland, Lynn i nawet Patricia koniecznie chcieli poznać nową dziewczynę Alana, Ruth. Zdecydowali więc, że zjedzą razem kolację. Lynn uparła się, że to ona ją zorganizuje, w galerii, z pomocą firmy cateringowej. Tak dla odmiany.

Wszyscy zauważyli, że na ścianach galerii znowu jest pusto. Taktownie tego nie skomentowali.

Usiedli przy okrągłym stole, pośrodku którego stał bukiet kremowych róż, dar od florysty i pokrewnej duszy Lynn. Florysta siedział obok niej; po jego drugiej ręce siedziała Tłumaczka i pokrewna dusza Rolanda. W oczekiwaniu na pokrewną duszę Alana zadawali mu rozmaite pytania na jej temat, w tym również o to, czym się trudni.

- Nie mam pojęcia - odparł Alan.

- Nie pytałeś jej?

- Ależ pytałem, ale uchylała się od odpowiedzi. To ta jedyna rzecz, która w związku z nią nie daje mi spokoju. Ukrywa przede mną swój zawód.

- No tak, to musi być męczące - stwierdził Ray.

- Właściwie to byłbym wdzięczny, gdyby któreś z was wyciągnęło to od niej podczas posiłku.

- Może ona nie ma zawodu. Może nie pracuje - powiedział Ray.

- A właśnie, że pracuje - odparł Alan. - Często napomyka, że musi iść do pracy albo że jest wykończona pracą. Tak czy siak, odnoszę wrażenie, że nie pracuje o stałych godzinach.

- Lubi twojego szczura? - spytał Roland. - Tak.

- To może być wskazówka.

- Na co?

- Jaki wykonuje zawód. Powiedziałeś kiedyś, że kobiety, które mają broń, lubią szczury. Więc jakie jeszcze kobiety lubią szczury? Zapewne takie, które wykonują jakieś inne zawody, do których trzeba mieć jaja. Może jest gliną, jak mama Lynn. Albo kolekcjonerem śmieci jak tato Lynn.

- To właśnie robią twoi rodzice? - spytała Tłumaczka, zwracając się do Lynn. - To fantastyczne.

W tym momencie zjawiała się Ruth, dziewczyna Alana.

Wszystkich przy stole, z wyjątkiem Alana, zamurowało ze zdumienia.

- Alan, przecież to prawie supermodelka - wykrztusiła Lynn.

-Wiem, jest wyjątkowo piękna. - Alan uśmiechnął się czule, gładząc Ruth po ramieniu.

Wszyscy z zażenowaniem spuścili wzrok. Ruth pocałowała go w usta.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Alan, ona wcale nie ukrywa przed tobą swojego zawodu - wymruczał Roland przez zaciśnięte zęby.

Alan spojrział na niego z oburzeniem.

- Po pierwsze, powiedziałem wam o tym w zaufaniu, a po drugie, co ty pleciesz, do diabła?

- Ona może nie nazywa tego po imieniu, ale niczego nie ukrywa. Nie mogłaby tego ukryć, nawet gdyby chciała - wtrącił Ray.

- Alan, ona jest prawie supermodelką w dosłownym sensie. To bardzo sławna modelka, w rzeczy samej super-modelka - dodała Lynn.

Alan dalej chyba uważał, że to tylko komplement z tą supermodelką.

Lynn potrząsnęła głową i zaczęła energicznie wertować egzemplarz „Elle”, który miała w torebce.

- Jej twarz jest na billboardach. Minałem jeden taki, kiedy tu szedłem - wskazał Roland.

Patricia przytaknęła.

- Przepraszam, że rozmawiamy o tobie tak, jakby ciebie tu nie było - powiedziała do Ruth.

- Nie ma sprawy. Rozumiem - odparła Ruth, rozbawiona i zawstydzona zarazem.

- O proszę! - wykrzyknęła Lynn i podsunęła Alanowi czasopismo, orwarte na stronie ze zdjęciem Ruth prezentującej brązowy damski garnitur.

Patricia nachyliła się ku Lynn.

- To mi przypomniało, że dziś rano zostałam odrzucona przez Agencję Modelek Forda - szepnęła.

- No popatrz, popatrz - odparła głośno Lynn. - A mi to z kolei przypomina o tym, o czym od dawna chciałam ci powiedzieć, a mianowicie, że chyba przestanę posyłać podania do miejsc, w których mnie nigdy nie przyjmą.

- Jesteś pewna? - spytała Patricia.

- Tak, chciałabym spróbować żyć normalnie. Do szaleństwa będę zawsze mogła wrócić, jeśli zdrowie psychiczne nie utrzyma mnie na stabilnym poziomie.

Alan długo przyglądał się zdjęciu.

- Dlaczego jesteś ze mną? - spytał cicho swoją dziewczynę.

- A dlaczego nie? - powiedziała i usiadła. - Przecież wśród wielkich ludzi jest wielu mało spostrzegawczych.

- On nie o to pytał - wskazała Tłumaczka, która potrafiła także tłumaczyć innych ludzi. - Pytał, dlaczego z nim jesteś, skoro jesteś modelką. Mogłabyś mieć każdego mężczyznę et cetera. Uważa, że sam nie jest atrakcyjny et cetera.

- Dzięki - mruknął Alan.

- Co ja mogę powiedzieć? Pasujesz do mnie - wyznała Ruth. - Jesteś w moim guście. I mówiąc uczciwie, zawsze mnie pociągali tacy jak ty. Znajomi uważają, że mam perwersyjny gust do mężczyzn i mebli. Co wcale nie znaczy, bym uważała związek z tobą i twoim fotelem za akt per-

wersji. No tak, z tego, co tu wygaduję, wynika, że jestem zimna i nieczuła.

- Moim zdaniem twoi znajomi mają rację - odparł Alan. - Jesteś perwersyjna. A ja jestem szczęściarzem.

- Ty, mój przyjacielu, jesteś płytki - powiedział do niego Roland.

- Nigdy wcześniej do mnie nie dotarło, że jesteś taki powierzchowny, że uganasz się za modelkami.

- Kiedy ja nie wiedziałem, że ona jest prawie super-modelką - wykrzyknął Alan z oburzeniem.

- Po pierwsze, nie wierzę, a po drugie: co z tego? To nadal dowodzi, że ty cenisz w kobietach przede wszystkim wygląd. Ruth miała lekko ponurą minę.

- Och, ja też się tu zgadzam w całej rozciągłości - przetłumaczyła Victoria - że postępujesz roztropnie i szlachetnie, Alan.

Niesprawiedliwie jest oceniać kogoś na podstawie czegoś jeszcze prócz wyglądu, jeśli związek nie trwał dostatecznie długo, by ten ktoś miał szansę ujawnić swoje wewnętrzne „ja”.

- A skoro już mowa o wyglądzie - odezwał się Jim, wskazując okno galerii - powiedzcie, czy to nie wygląda dziwnie, że ci ludzie tak się na nas gapią?

Wszyscy odwrócili się w stronę okna. Stało za nim trzech mężczyzn, którzy zaglądali do środka z czołami przyciśniętymi do szyby.

- Ach, to moi prześladowcy - wyjaśniła Ruth. - Alan, mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że przychodzę tu z niewielkim bagażem. To czubki, ale są nieszkodliwi.

- Lynn też miała kiedyś prześladowcę - wtrąciła Patricia.

Ruth z sympatią skinęła głową w stronę Lynn.

- Powinieneś się rozkoszować każdą chwilą swojego

związku, chłopie - powiedział Roland do Alana - bo z pewnością zdajesz sobie sprawę, że twoje dni jako chłopaka supermodelki są policzone.

- Co w ciebie wstąpiło, Roland? - spytała Lynn. - Odkąd znalazłeś swoją pokrewną duszę, jesteś bardziej wredny niż zazwyczaj. Ruth była mile zdziwiona, że Alan i jego znajomi tak lekko traktują jej prześladowców.

- Źle go zrozumiałaś, Lynn - zaprotestowała łagodnie Victoria. - Roland mówi samą prawdę. Najlepiej zaczynać od skromnych oczekiwań; kiedy wszystko okaże się wspaniałe, Alan przyjemnie się zdziwi.

- A mówiąc o skromnych oczekiwaniach - powiedział Roland, zwracając się do pokrewnej duszy Lynn - nigdy nie miałeś wyższych ambicji niż florystyka, Jim?

- Bo jeśli nie miałeś - rozwinęła jego wypowiedź Victoria - to w takim razie robisz wrażenie tym, że nie jesteś materialistą i że jesteś taki oryginalny. W dzisiejszych czasach to bardzo rzadkie cechy.

- Obawiam się, że nie mogę tak do końca twierdzić, że nie jestem materialistą - odparł Jim. - Po studiach zrobiłem MBA i przez kilka lat pracowałem w biznesie, ale stale myślałem, że byłbym szczęśliwszy, gdybym żył bardziej ascetycznie. Kocham kwiaty i naturę, ale za bardzo też kocham ludzi i miasto, żeby wyjechać. Wiem, że zapewne nikt nie uzna tego za zbyt ekscytujące, ale nie potrzebuję dużych pieniędzy i jestem bardzo szczęśliwy z powodu dokonanego przeze mnie wyboru. A już szczególnie dlatego, że dzięki niemu poznałem Lynn. - Ścisnął ją za rękę. Roland stracił zainteresowanie tematem i znalazł sobie łatwiejszy cel ataku.

- Mój ty biedny Alanie, martwię się o ciebie, o twoje oczekiwania. Zadaj sobie pytanie, dlaczego prawie super-modelka miałaby w ogóle chcieć z tobą przebywać, nie mówiąc już o wiązaniu się z tobą.

Alan miał zbolaną minę. Wszyscy spojrzeli na Victorię, choć nie bardzo liczyli, że będzie w stanie zmoderować ten obrzydliwy komentarz.

- Roland ma rację - powiedziała Victoria po kilku sekundach namysłu. - Postawienie sobie pytania, dlaczego supermodelka miałaby chcieć się z tobą wiązać, byłoby doskonałym ćwiczeniem terapeutycznym. Powinieneś stworzyć listę wszystkich powodów, jakie ci przyjdą do głowy... a będzie ich wiele bez wątpienia... takich jak twoja dobroć, poczucie humoru, czarująca niewinność, oczy barwy przenikliwego błękitu czy pierzaste blond włosy, i następnie z religijną czcią przestudiować tę listę. Dzięki temu nabędziesz pewności siebie, przestaniesz się tak bać i będziesz mógł w całej rozciągłości cieszyć się swoim związkiem.

Ray położył rękę na jej ramieniu.

- Lubię cię, Victorio, i nie chcę patrzeć, jak dzieje ci się krzywda. Za każdym razem, kiedy recytujesz jedną ze swych cudownych translacji, drzę z obawy o twoje bezpieczeństwo. Roland jest krewki. Ostrzegam cię, któregoś dnia może ci przyłożyć.

Roland poczerwieniał na twarzy.

- Nie podoba mi się to, co insynuujesz! - warknął, uderzając dłonią w stół i z groźną miną lekko unosząc się z krzesła. - Dajesz do zrozumienia, że jej translacje są irytujące? Że mnie zdenerwują? No to się mylisz! Po raz pierwszy w życiu czuję się wolny! Już nie muszę pilnować tego, co mówię. Nie muszę stąpać po rozżarzonych wę-

glach i uważać, żeby nie zranić cudzych uczuć. Dopóki ona jest ze mną, mogę być po prostu sobą, bo ona naprawi zniszczenia, zanim w ogóle ktoś je zauważy!

- Ty stąpasz po rozżarzonych węglach? - spytała Lynn.

- A żebyś wiedziała. I oszczędź mi tej zdumionej miny - odparł Roland.

Wszyscy umilkli na kilka długich sekund, przemyślując wizję Rolanda stąpającego po rozżarzonych węglach.

Później, podczas posiłku, rozmawiali o samobójstwie Maksa.

Roland nie bardzo interesował się tematem, ponieważ to on go zamordował. Poza tym ten temat wprawiał go w zakłopotanie.

Gdyby to jednak było samobójstwo, to oczywiście byłby bardzo ciekaw, tak jak się zainteresował chwilę później, gdy dziewczyna Alana wyznała z rozbrajającą szczerością, że jeden z jej byłych chłopaków cierpiał na depresję i trzy lata temu popełnił samobójstwo. Roland koniecznie chciał ją spytać, jak on to zrobił, ale się pohamował, z obawy, że byłoby to nietaktowne. Inni też nie pytali.

Alan z zakłopotaniem zauważył, że kiedy rozmawiali o śmierci Maksa, Ruth gapiła się dość uporczywie na Rolanda. Miał nadzieję, że nie dlatego, iż Roland się jej spodobał. Mówił sobie, że jest po prostu paranoikiem.

Mijały dni, potem tygodnie i Alana zaczęły denerwować spojrzenia, jakie jego pokrewna dusza wymieniała z Rolandem za każdym razem, kiedy się spotykali.

Uznał, że z jego związkiem jest coś straszliwie nie tak. To, że jakakolwiek ludzka istota mogłaby mieć aż tyle perwersji, by być prawie supermodelką i czuć do niego

pociąg, wydawało mu się nadzwyczaj podejrzanym. Kto wie, do czego jeszcze jest zdolna? Niewykluczone, że do niewierności. Po tym, co przeżył z Jessicą, wyobrażał to sobie bez trudu. Niemniej postanowił walczyć ze swoimi obawami. Wierzył, że jeśli znajdzie w sobie dość wiary, ślepej wiary, jego miłość przetrwa i dzięki temu zatrzyma przy sobie swoją pokrewną duszę. Chciał, żeby prawdziwa miłość była możliwa, i chciał być jednym z tych nielicznych szczęśliwców, którzy jej doświadczyli.

Nie mógł wiedzieć, że Roland gapi się na jego dziewczynę bynajmniej nie z powodu jej zniewalającej urody czy sławy ani też nie dlatego że czuł do niej pociąg (jak już, to raczej nikły), tylko dlatego że jej były chłopak popełnił samobójstwo i Roland gorączkowo szukał pretekstu, by móc ją spytać, jak on właściwie to zrobił.

Alan nie mógł wiedzieć, że jego pokrewna dusza gapi się na Rolanda tak często i tak uporczywie nie dlatego że uważa go za przystojnego czy czarującego albo dlatego że chciałyby się umawiać z nim na randki, albo żeby wręcz tylko z nim rozmawiać (wcale tego nie chciała), ale dlatego że dla niej było oczywiste, iż to Roland zamordował Maksa. Nie posiadała się ze zdumienia, że dla innych to wcale nie jest oczywiste, ale z kolei jak mogło być - nie mieli pojęcia, jak to jest, kiedy się kogoś zamordowało.

Jej były chłopak „popełnił samobójstwo”, ale Roland nie zauważył tych znaków cudzysłowu, kiedy o tym wspomniała tamtego wieczoru, gdy poznała przyjaciół Alana.

Kiedy jednak wspomnieli o „samobójstwie” Maksa, zauważyła coś dziwnego w sposobie, w jaki Roland się poruszał, mrugał albo oddychał. Albo może to było coś w tym spuszczonej wzroku. Nie wiedziała, co to takiego,

ale cokolwiek to było, rozumiała to, czuła w trzewiach. I w tym momencie już wiedziała, że to Roland zabił Maksa. Nic nie powiedziała, bo nie uważała, by miała prawo go oceniać, jako że sama zamordowała swojego byłego chłopaka i upozorowała to jako samobójstwo, gdy jego brak umiejętności logicznego myślenia i tendencja do zaprzeczania samemu sobie stały się dla niej zbyt irytujące.

Alan był przekonany, że jego pokrewna dusza go porzuci, skazując na dopełnienie żywota w samotności, gdy tymczasem Roland i Lynn będą żyli długo i szczęśliwie w towarzystwie swych pokrewnych dusz. Śmiertelnie się mylił.

Roland niebawem odkrył, że jego pokrewna dusza, jego Tłumaczka, jego Pokrzepicielka, ma HIV. Szukał aspiryny w jej apteczce i znalazł Combivir, AZT i inne pigułki, które stosują chorzy na AIDS. Sprawdził to dwukrotnie w Internecie i się upewnił.

Był wściekły na Tłumaczkę za to, że mu nie powiedziała, że nie zadbała o jego bezpieczeństwo.

- Na wypadek, gdybyś nie zdawała sobie z tego sprawy - powiedział do niej - AIDS to śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową.

- Podobnie jak mnóstwo innych rzeczy — odparowała. - Życie to śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową.

Roland odezwał się po długim milczeniu.

- Czekam.

- Na co? - spytała.

- Aż wspomnisz, że właśnie zacytowałaś Jacques'a Du-tronca. Czy może zamierzasz udawać, że to było twoje własne?

- Wyluzuj - powiedziała.
 - Ciebie w ogóle nie obchodziło, że mogę złapać AIDS!
 - Zawsze nalegałam, abyśmy używali prezerwatyw. A poza tym moje stężenie wirusa jest niskie.
 - To nadal ryzykowne!
 - Raczej nie. I czemu grzebałeś w mojej szafce z lekarstwami? I co ty wyprawiasz teraz? Udajesz wściekłego! Powinieneś nie posiadać się ze smutku, że twoja pokrewna dusza może umrzeć!
 - Moja pokrewna dusza powinna być prawdomówna i nie ukrywać, że jest nosicielem zaraźliwej choroby! Dlaczego mi nie powiedziałaś?
 - Chciałam, żebyś się ze mną związał, zanim ci powiem. Żebyś mnie nie rzucił.
- Roland rzucił swoją pokrewną duszę.
- Również Lynn przeszła przykry moment z Jimem.
- Nie mogę spotkać się z tobą jutro. Spotykam się z Tristą - powiedział któregoś dnia Jim.
 - Kto to jest Trista? - spytała Lynn, myśląc, że to może siostra, o której dotąd nie wspomniał, albo księgowa.
 - To dziewczyna, z którą się czasem spotykam.
 - Dziewczyna?
 - Albo kobieta, jak kto woli.
 - Widujesz się z nią sam na sam? Jim wyraźnie dobrze się bawił.
 - Owszem.
 - A skąd ją znasz?
 - Trzy lata temu poznałem ją na randce w ciemno, zaaranżowanej przez kumpla.
 - Ach tak? I od tego czasu chodziliście jeszcze na randki?

- Tak. Właśnie ci powiedziałem, że jestem z nią jutro umówiony na wieczór.

- To randka?

- Niektórzy ludzie tak by to nazwali, ale sam nie byłbym tego taki pewien. Bo to nie jest tak, jak byśmy przechodzili przez cały ten rytuał typu oficjalna kolacja plus konwersacja. Ten etap mamy już dawno za sobą.

Lynn nagle poczuła, że jej ciało jest lodowato zimne.

- Co ty chcesz powiedzieć? Nabijasz się ze mnie czy co?

- Raczej nie. Nie jestem pewien, co rozumiesz przez słowo „nabijać się”.

- Spisz z tą kobietą?

- To mało precyzyjne pytanie. Więc trudno odpowiedzieć. Chcę powiedzieć, że użyty przez ciebie czas terazniejszy jest mylący. Nie śpię z nią w tym momencie, jak łatwo zauważyć.

Zmarznięte na kość ciało Lynn stało się znenacka bardzo gorące.

- A jutro? Czy jutro będziesz uprawiał z nią seks?

- Nie potrafię przepowiadać przyszłości. Nie jestem jasnowidzem.

- A czy uprawiałeś z nią seks od czasu, kiedy się poznaliśmy? - spytała Lynn.

-Tak.

Lynn długo milczała.

- Oszukiwałeś mnie?

- Czy ja cię oszukiwałem? Czy to, co było dotąd między nami, to jakiś sprawdzian? Nie rozumiem, jak słowo „oszukiwać” miałoby się stosować do tej sytuacji?

- Nie byłeś mi wierny?

-Mówisz o wyłączności seksualnej? Nie. Nigdy o czymś takim nie rozmawialiśmy.

W tym momencie Lynn wiedziała, że nie może być z tym człowiekiem. I wtedy pękło jej serce. I dobrze, że już wtedy, bo później zrobiło się jeszcze gorzej.

- Chcesz powiedzieć, że należało o tym pogadać, to może wtedy byś zechciał być mi wierny? - spytała.

-Nie.

Lynn przelotnie poczuła się odrobineczkę lepiej, dopóki nie dodał, że rozmowa o tym niczego by nie zmieniła.

- Nigdy nie poczułbym potrzeby, żeby dochować ci wierności - oświadczył. - Ani tobie, ani nikomu innemu. Monogamia mnie nie interesuje. To nie dla mnie.

- Wprowadziłeś mnie w błąd.

-A niby jak? Nie przyjąłem z góry, że jesteś aż taka zadufana w sobie, ani też nie postanowiłem cię chronić przed twoim zadufaniem, to nie są moje sprawy. Wolę myśleć o ludziach jak najlepiej. Każdy, kto zbiera cięgi za to, że wybrał dla siebie monogamię i egoistycznie usiłował narzucić ją innym, jest sam sobie winien. Chroniąc takich ludzi, tylko spowalnimy postęp, jaki się dokonuje w naszym społeczeństwie, które staje się coraz bardziej światłe i stara się adaptować wielość systemów wiary. Ow postępowidac już choćby na kartkach świątecznych, na których już rzadko kiedy przeczytasz „Wszystkiego najlepszego z okazji Bożego Narodzenia”. Obecnie pisze się na nich „Z najlepszymi życzeniami z okazji świąt”. Z miłością też tak powinno być.

Lynn opowiedziała przyjaciołom, co się stało.

- Zakochujesz się w pedałkowatym floryście i czego się spodziewasz? - powiedział Roland, nieprzetłumaczony i niezmiękczoney.

Jako że jedynie Alan miał jeszcze przy sobie swoją pokrewną duszę, Ray, Lynn i Roland czekali z napięciem na dalszy rozwój zdarzeń w jego życiu. Pytanie brzmiało: czy ona zostanie na dobre czy nie?

Minęło kilka tygodni. Alan zaczął się zachowywać jak zwycięzca. Dlatego więc Ray, Lynn i Roland postanowili pogrzebać w przeszłości Ruth, by sprawdzić, czy ma jakiś mroczny sekret. Zadzwonili do Jessiki, która akurat przebywała na Środkowym Zachodzie, i wynajęli ją, żeby pogrzebała. Twierdzili, że martwią się o Alana i że chcą się czegoś więcej dowiedzieć o jego dziewczynie, by nabrać pewności, że to przyzwoita, godna zaufania osoba. Jessica, która nie potrafiła nie skorzystać z okazji, by zrobić coś dla Alana, zgodziła się pogrzebać za darmo.

I rzeczywiście znalazła sekret w przeszłości Ruth, niemniej był to sekret, za sprawą którego modelka budziła jeszcze większy podziw.

Podejrzewali narkotyki albo alkohol, ewentualnie jakieś ekstremalne zboczenie seksualne, które by wyjaśniało, dlaczego Alan wpadł jej w oko. Zamiast tego jednak okazało się, że ona ma doktorat z ekonomii, który zrobiła potajemnie w wolnym czasie i który robił tym większe wrażenie, zważywszy na to, że jej życie było pełne takich traumatycznych zdarzeń jak samobójstwo jej chłopaka przed trzema laty oraz śmierć jej siostry w pożarze rok wcześniej.

Alan zezłościł się, kiedy go poinformowali, że grzebali w przeszłości jego dziewczyny. Bronili się.

- Chcieliśmy się upewnić, że jest taka wspaniała, na jaką wygląda. Szukaliśmy przez wzgląd na ciebie.

- Jak śmieliście! - zachnął się.

- Nasze pokrewne dusze okazały się do dupy. Pomyśleliśmy, że twoja też może być do niczego. Zależy nam na tobie.

- Ale z was kanalie.

- No i cóż, okazało się, że ona rzeczywiście ukrywa coś istotnego. Alan patrzył na nich z czystą nienawiścią.

- Tak, jest coś, do czego ci się nie przyznała - powiedzieli, wciąż przedłużając napięcie.

Alan czekał z zaciśniętymi ustami.

- Ma doktorat z ekonomii.

- Kanalie.

- Co? Nie jesteś uszczęśliwiony? Okazało się, że jest jeszcze lepsza, niż myśleliśmy.

- Jak nie jest zepsute, to tego nie naprawiaj!

Czuli się winni i chcieli wynagrodzić mu to węszenie, więc powiedzieli, że zorganizują przyjęcie na cześć jego i Ruth, by opić fakt, że ich węszenie nie przyniosło żadnych negatywnych rezultatów i że jak dotąd Ruth wcale nie jest taką złą pokrewną duszą.

Przyjęcie odbyło się w domu jednego z klientów Raya, który z przyjemnością użyczył swego dwupoziomowego apartamentu, bo liczył, że w trakcie tych uroczystości pozna dla siebie jakąś dobrą partię.

Podczas przyjęcia Alan cały czas musiał szukać swojej modelki. Przyszli razem, ale zaraz potem odkleiła się od jego boku. Znalazł ją na balkonie na piętrze; siedziała na balustradzie i patrzyła na ogród. Kiedy do niej podszedł, zauważył, że patrzy specyficznie na Rolanda, który stał samotnie, z kieliszkiem białego wina w rękę, twarzą do drzewek w donicach. Za każdym razem, kiedy Alan wi-

dział, że jego pokrewna dusza wpatruje się w Rolanda, czuł ból w trzewiach. Już to sobie wyobrażał: leniwe zainteresowanie, flirtowanie, niewierność. Nie chciał znowu przez to przechodzić. W rzeczywistości Ruth nie miała żadnych nieczystych myśli czy nielojalnych intencji. Po prostu zdumiewała ją ta jedna wspólna rzecz, która łączyła ją z Rolandem, oczywista jedynie dla niej. Posiadanie wspólnych rzeczy zazwyczaj potęguje wzajemne zainteresowanie ludzi. To zainteresowanie wcale nie musi być — i w rzeczy samej rzadko bywa - oparte na uczuciach. Ot, zwykle zainteresowanie jednego człowieka drugim człowiekiem. Im bardziej ważna jest ta rzecz, która łączy ludzi, tym bardziej nasycone znaczeniem jest owo zainteresowanie. Dlatego więc zainteresowanie Ruth Rolandem było absolutnie powściągliwe i poważne, jako że ową łączącą ich rzeczą było morderstwo. Ruth wyczuła, że Alan jest zazdrosny, i było jej przykro, że nie może rozproszyć jego wątpliwości. Potrzebował czasu, żeby zrozumieć, że jest mu wierna. Gdyby wiedział, że zabiła swojego byłego i na domiar własną siostrę, prawdopodobnie zmartwiłby się jeszcze bardziej, ale tym też nie musiał się przejmować. Jego życiu nie mogło nic zagrażać, dopóki jej nie wkurzał a) zaprzeczaniem samemu sobie, b) brakiem logiki, c) niezdolnością do obrony swojego zdania w sporze, względnie d) innymi powodami do irytacji. Powiedziała Alanowi, że idzie po drinka, i zostawiła go samego. Z kolei Roland odszukał Lynn, która stała na uboczu. - Zauważyłaś, że dziewczyna Alana nie przestaje się na mnie gapić?

- Nie - odparła Lynn, mimo że zauważyła.
- Ona mnie pragnie - stwierdził, patrząc na Ruth, która teraz wpatrywała się w niego, gawędząc z Rayem przy stoliku z drinkami.
- A ty nie powinienes się na nią gapić - powiedziała mu Lynn.
- Czemu nie? Jest na mnie napalona. Mogę zrobić 0 wiele więcej, niż tylko odwzajemniać spojrzenia. Lynn spojrzała na niego surowo.
- To, że ci nie wyszło z Victorią, wcale jeszcze nie oznacza, że powinienes bruzdzić Alanowi. Powinienes życzyć mu jak najlepiej.
- Ależ ja życzę mu jak najlepiej. Dlatego właśnie chcę poddać sprawdzianowi wierność Ruth. Sprawdzić, czy ona go nie oszukuje.
- Nie mam ochoty tego słuchać - oświadczyła Lynn i poszła pogadać z Alanem, który stał samotnie obok schodów, ponuro mieszając drinka.
- Gratuluję udanego związku. Naprawdę się cieszę z twojego powodu - powiedziała do niego. Uśmiechnął się blado.
- Dobrze się czujesz? - spytała.
- Zauważyła, że ona cały czas patrzy na Rolanda? - spytał Alan po chwili.
- Może trochę.
- Niewykluczone, że ona nie wierzy w monogamię. Może jest taka jak twój były, tylko mniej uczciwa. Lynn wzięła Alana za rękę.
- Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale jeśli to najlepsze się nie zdarzy, to i tak może być dobrze - powiedziała mu szczerze. - Z kimś innym albo tylko z przyjaciółmi. To wcale nie musi być takie złe.

Alan wyraźnie nie dał się przekonać, więc Lynn mówiła dalej.

- Nie każdemu jest sądzone, że znajdzie prawdziwą miłość. Mam nadzieję, że sama jeszcze taką znajdę, ale być może tak się nie stanie. I kto wie, ty może też nie. Ale są jeszcze inne rzeczy, które są dobre. Przyjaźnie, związki, które cię wspierają, umacniają i bawią, nawet jeśli nie są oparte na uczuciach czy namiętności. Poza tym możesz znaleźć namiętność w innych dziedzinach. Niezależnie od tego, jak to będzie między tobą i Ruth, w razie czego możesz zawsze liczyć na mnie, na Raya, na innych twoich przyjaciół.

Alan tylko skinął głową, zbyt wzruszony, by coś odpowiedzieć. Przyłączył się do nich Roland.

- Hej ty, twoja dziewczyna stale się na mnie gapi. Zauważyłeś? Alan zrobił się czerwony na twarzy.

- Nie, nie zauważyłem.

- Tere-fere. A nie boisz się, że będzie cię zdradzała? Tak jak Jessica?

Alan zagapił się na transparent triumfalnie zawieszony na suficie, na którym Ray napisał: „Party na cześć nie takiej złej pokrewnej duszy”. Usiłował nie czuć się przez niego ośmieszony. Nagle dotarło do niego, że ma dwie rzeczy do wyboru.

Mógł oczekiwać najlepszego i zostać nagrodzony długim i szczęśliwym życiem ze swoją pokrewną duszą, która kochałaby go z wszystkimi jego wadami, już zawsze, choćby nie wiadomo co.

Mógł także ulec zazdrości i negatywnemu myśleniu, stracić swoją dziewczynę - która była najlepszą rzeczą,

jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła - stoczyć się po równi pochyłej i być może znowu nabawić się samobójczych myśli. Nie.

Nie da się pokonać. Był zwycięzcą. Miał wszystko, czego chciał, i był zdecydowany cieszyć się długim, szczęśliwym życiem z Ruth. Roland, Lynn i Ray próbowali znaleźć w niej coś złego, ale na to wychodziło, że nic złego nie dawało się znaleźć. Była dobrą pokrewną duszą, jego bratnią duszą. Nie pozwoli, by jego paranoja wszystko zniszczyła. Ruth była wierna. Kochała go. Wcale nie pragnęła Rolanda.

- Nie. Kocham Ruth i ufam jej - odrzekł w końcu. - Myślę o niej same dobre rzeczy.

- To wspaniale! - odparł Roland. - Ludzie mówią, że właściwe podejście wszystko zmienia. Zaprzegasz wielką amerykańską moc pozytywnego myślenia.

- Tak. Spróbuję. Co mam do stracenia? To nie może zabołec. Popatrzeli na niego.

- Wiem, że z Ruth będę niesamowicie szczęśliwy. Naprawdę koniecznie chcę się z nią zestarzeć.

Jego pozytywna postawa zdawała się nasączać wnętrze różową poświatą. Lynn i Roland od razu poczuli więcej optymizmu w związku z własnym życiem. Zostawili Alana i wmieszali się w tłum gości.

Alan też poczuł się lepiej.

Ruth przyniosła mu jeszcze jedną Krwawą Mary, prawdziwą, z wódką. Gawędzili jak przystało na zakochanych, żartobliwie komentowali zachowania innych gości. Dobrze się bawili.

Między nimi zelżało, napięcia było znacznie mniej niż na początku wieczoru. Jego pozy-

tywne podejście naprawdę poskutkowało! Jeśli będzie się go trzymał, to Ruth przy nim zostanie. Już nigdy, przenigdy nie będzie singlem, nie będzie więcej szukał nowej miłości, tak jak Lynn i Roland. Zrobi co w jego mocy, by nadal kroczyć tą pozytywną ścieżką, i nie dopuści, by takie drobiazgi jak spojrzenia Ruth na Rolanda nie dawały mu spokoju. Jego dziewczyna była taka cudowna, i to pod tyloma względami. Alan miał rację. Jego dziewczyna miała mnóstwo cudownych cech. Była inteligentna, piękna, wierna, pomocna, opiekuńcza, zabawna, śmieszna, ciepła, wysportowana, wykształcona, hojna, rozumna, racjonalna i kochała przyrodę. I również zła, ale to była jej jedyna wada.

LA FIN